

ŚPIĄCY
GIGANCI



S Y L V A I N
N E U V E L

S Y L V Δ I N
N E U V E L

ŚPIĄCY
GIGANCI



przełożył
Marcin Wawrzyńczak



Tytuł oryginału: ***Sleeping Giants***

Projekt okładki:

Faceout Studio, Charles Brock

Redakcja:

Dorota Kielczyk

Redakcja techniczna:

Anna Sawicka-Banaszkiewicz

Skład wersji elektronicznej:

Robert Fritzkowski

Korekta:

Elżbieta Steglińska, Daria Bednarek

Copyright © 2016 by Sylvain Neuvel.

Ilustracje na okładce

© RYGERSZEM/Thinkstock

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Marcin Wawrzyńczak

ISBN 978-83-287-0431-2

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I

Warszawa 2016

À Théodore.

Maintenant, on va t'apprendre
à lire . . . et l'anglais. [\[1\]](#)

Spis treści

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA
CZĘŚCI CIAŁA

DOKUMENT NR 3

WYWIAD DR ROSE FRANKLIN, STARSZY
PRACOWNIK NAUKOWY, INSTYTUT ENRICO
FERMIEGO

DOKUMENT NR 4

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

DOKUMENT NR 7

WYWIAD DR ROSE FRANKLIN, STARSZY
PRACOWNIK NAUKOWY, INSTYTUT ENRICA
FERMIEGO

DOKUMENT NR 9

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

DOKUMENT NR 17

WYWIAD CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA

DOKUMENT NR 31

DZIENNIK OSOBISTY STARSZY CHORAŻY KARA
RESNIK, ARMIA USA

DOKUMENT NR 33

ARTYKUŁ PRASOWY REPORTERKA CATHERINE
MCCORMACK, „THE ARIZONA REPUBLIC”

DOKUMENT NR 34

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT

PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH DO
SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

CZĘŚĆ DRUGA

POŁAMANIA NÓG

DOKUMENT NR 37

WYWIAD DR ROSE FRANKLIN

DOKUMENT NR 39

ZAPIS GŁOSOWY Z EKSPERYMENTU STARSZY
CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

DOKUMENT NR 41

DZIENNIK OSOBISTY DR ROSE FRANKLIN

DOKUMENT NR 42

ZAPIS GŁOSOWY Z EKSPERYMENTU STARSZY
CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

DOKUMENT NR 47

WYWIAD VINCENT COUTURE, STUDENT
OSTATNIEGO ROKU

DOKUMENT NR 92

WYWIAD CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA

DOKUMENT NR 93

RAPORT Z MISJI – OPERACJA „SPRZĄTANIE ŚWIATA”
STARSZY SIERŻANT DYLAN RODRIGUEZ,
SPECJALISTA DS. TRANSPORTU, ARMIA USA

DOKUMENT NR 94

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT
PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA
NARODOWEGO

DOKUMENT NR 118

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

CZĘŚĆ TRZECIA

ŁOWCY GŁÓW

DOKUMENT NR 120

WYWIAD VINCENT COUTURE, STARSZY DORADCA
DS. WYWIADOWCZYCH

DOKUMENT NR 121

WYWIAD DR PAVEL HAAS, ORDYNATOR ODDZIAŁU
CHIRURGII

DOKUMENT NR 126

WYWIAD DR ALYSSA PAPANTONIOU, GENETYK

DOKUMENT NR 129

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT
PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA
NARODOWEGO

DOKUMENT NR 141

WYWIAD DOKTOR ROSE FRANKLIN

DOKUMENT NR 143

WYWIAD KAPITAN DEMETRIUS ROOKE,
MARYNARKA USA

DOKUMENT NR 161

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

DOKUMENT NR 182

DZIENNIK OSOBISTY DR ROSE FRANKLIN

DOKUMENT NR 188

RAPORT WSTĘPNY – ZAGINIĘCIE LOTU ICELANDAIR
670

DOKUMENT NR 189

WYWIAD VINCENT COUTURE, STARSZY DORADCA
DS. WYWIADOWCZYCH

CZĘŚĆ CZWARTA

MOCNY CIOS

DOKUMENT NR 211

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT
PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA
NARODOWEGO

DOKUMENT NR 229

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

DOKUMENT NR 230

WYWIAD NN

DOKUMENT NR 233

WYWIAD INES TABIB, ASYSTENTKA PREZYDENTA
DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

DOKUMENT NR 237

WYWIAD VINCENT COUTURE, BEZROBOTNY

DOKUMENT NR 239

WYWIAD ALYSSA PAPANTONIOU, PREZES, FIRMA
NR 462753, ZAREJESTROWANA NA BRYTYJSKICH
WYSPACH DZIEWICZYCH

DOKUMENT NR 249

WYWIAD VINCENT COUTURE, KONSULTANT, FIRMA
NR 462753, ZAREJESTROWANA NA BRYTYJSKICH
WYSPACH DZIEWICZYCH

DOKUMENT NR 250

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

CZEŚĆ PIĄTA

ZBROJNE RAMIĘ

DOKUMENT NR 251

POŁĄCZENIE GŁOSOWE – TRANSKRYPT STARSZY
CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

DOKUMENT NR 252

WYWIAD ALYSSA PAPANTONIOU, PREZES I

KIEROWNIK NAUKOWY, KONSORCJUM GAJA

DOKUMENT NR 253

OBSERWACJA SATELITARNA – TRANSKRYPT
SATELITA SZPIEGOWSKI KH-9 („Big Bird”)

DOKUMENT NR 254

WYWIAD VINCENT COUTURE, KONSULTANT,
KONSORCJUM GAJA

DOKUMENT NR 255

WYWIAD PAN BURNS, ZAWÓD NIEZNANY

DOKUMENT NR 256

POŁĄCZENIE GŁOSOWE – TRANSKRYPT STARSZY
CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA

DOKUMENT NR 257

WYWIAD INES TABIB, ASYSTENT PREZYDENTA DO
SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

DOKUMENT NR 263

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA
USA

EPILOG

DOKUMENT NR 360

WYWIAD NN

PODZIĘKOWANIA

(W ODWROTNYM PORZĄDKU CHRONOLOGICZNYM)

PROLOG

To były moje jedenaste urodziny. W prezencie od ojca dostałam nowy rower: biało-różowy, z frędzelkami na kierownicy. Rwałam się do jazdy, ale rodzice nie chcieli, żebym wychodziła, kiedy są u mnie przyjaciele. Tyle że tak naprawdę to nie byli moi przyjaciele. Kumplowanie się z kimś nigdy nie było moją mocną stroną. Lubiłam czytać; spacerować po lesie; być sama. I zawsze miałam wrażenie, że nie bardzo pasuję do rówieśników. Gdy więc zbliżały się moje urodziny, rodzice zwykle zapraszali dzieciaki z sąsiedztwa. Mnóstwo dzieciaków, niektóre ledwie znałam po imieniu. Wszyscy moi goście byli bardzo mili i przynieśli prezenty. Więc zostałam. Zdmuchnęłam świece. Otworzyłam prezenty. Uśmiechałam się. Nie pamiętam dokładnie, co jeszcze dostałam, bo myślałam tylko o tym, żeby wsiąść na ten rower i się przejechać. Impreza skończyła się mniej więcej w porze kolacji, więc nie mogłam czekać ani chwili dłużej. Już się ściemniało. A wiedziałam, że po zmroku ojciec nie puści mnie na dwór.

Wymknęłam się tylnymi drzwiami i co sił w nogach popedałowałam na sam koniec ulicy, gdzie zaczynał się las. Minęło z dziesięć minut, zanim zaczęłam zwalniać. Być może robiło się trochę za ciemno i myślałam o powrocie. Może byłam tylko zmęczona. Zatrzymałam się na chwilę; wiatr poruszał gałęziami. Była jesień. Las stopił się z wielobarwnym krajobrazem, nadając głębię stokom wzgórz. Nagle zrobiło się wilgotno i zimno, jakby miało zacząć padać. Słońce zachodziło, a niebo za drzewami było różowe jak frędzelki roweru.

Usłyszałam za plecami jakiś trzask. To mógł być zając. Coś u podnóża pagórka przyciągnęło mój wzrok. Zostawiłam rower na ścieżce i rozchylając gałązki, zaczęłam powoli schodzić po zboczu.

Niewiele było widać, bo liście nie opadły jeszcze, ale przez korony drzew sączył się dziwny turkusowy blask. Nie potrafiłam określić jego źródła. To nie rzeka; słyszałam ją w oddali, a światło było dużo bliżej. Zdawało się, że dochodzi ze wszystkich stron.

Zeszłam na sam dół. Wtedy ziemia jakby usunęła mi się spod stóp.

Niewiele więcej pamiętam. Byłam nieprzytomna przez kilka godzin. Kiedy się ocknęłam, już świtało. Ojciec stał kilkanaście kroków ode mnie. Mówił coś, ale nic nie słyszałam.

Dziura, w którą wpadłam, była idealnym sześcianem, wielkości naszego domu. Ściany miała ciemne i równe, a przez misterne rzeźbienia przeświecało jasne turkusowe światło. Światło było wszędzie wokół. Pomacałam wokół dłońmi. Leżałam na usypisku z piachu, kamieni i połamanych gałęzi. Ale pod tym rumowiskiem powierzchnia była lekko wklęsła, gładka i zimna, jakby zrobiona z metalu.

Dopiero wtedy zauważyłam stojących na górze strażaków w żółtych kombinezonach. Zrzucili mi linę – dyndała nad moją głową. Po chwili położyli mnie na noszach i powieźli w światło wstającego dnia.

Ojciec nie chciał o tym potem rozmawiać. Gdy pytałam go, w co wpadłam, wymyślał tylko kolejne sprytne wytłumaczenia. Jakiś tydzień później zadzwonił dzwonek u drzwi. Zawołałam, żeby tata otworzył, ale nie odpowiedział. Zbiegłam po schodach i sama otworzyłam. Był to jeden ze strażaków, którzy wyciągali mnie z dziury. Zrobił wtedy parę zdjęć i pomyślał, że chętnie bym je zobaczyła. Słusznie. I oto ja – malutka istota leżąca w gigantycznej metalowej dłoni.

CZĘŚĆ PIERWSZA

CZĘŚCI CIAŁA

DOKUMENT NR 3

WYWIAD DR ROSE FRANKLIN, STARSZY PRACOWNIK NAUKOWY, INSTYTUT ENRICO FERMIEGO

**Miejsce: Uniwersytet Chicagowski,
Chicago, stan Illinois**

Jak duża była dłoń?

Sześć i dziewięć dziesiątych metra długości, to jest około dwudziestu trzech stóp; jedenastoletniej osobie oczywiście wydawała się dużo większa niż w rzeczywistości.

Co pani robiła po tym, jak to się stało?

Nic. Nie rozmawialiśmy na ten temat zbyt wiele. Codziennie chodziłam do szkoły jak inne dzieciaki w moim wieku. Nikt z mojej rodziny nie studiował, nalegali więc, żebym kontynuowała naukę. Zrobiłam dyplom z fizyki.

Wiem, co pan powie. Chciałabym móc stwierdzić, że poszłam w przedmioty ścisłe z powodu tej dłoni, ale prawda jest taka, że zawsze byłam z nich mocna. Rodzice wcześniej to zauważyli. Pierwszego „małego elektronika” dostałam w wieku, zdaje się, czterech lat. Budowało się telegraf czy coś w tym rodzaju, wciskając końcówki przewodów w metalowe sprężynki. Czy dzisiaj

zajmowałabym się czymś innym, gdybym posłuchała wtedy ojca i została w domu? Nie sądzę.

Skończyłam ogólniak i postanowiłam ciągnąć dalej to, na czym już się znałam. Poszłam na studia. Pamiętam ojca, kiedy dowiedzieliśmy się, że przyjęto mnie na Uniwersytet Chicagowski. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby kogoś aż tak rozpierała duma. Trafienie szóstki w totka by go równie mocno nie uszczęśliwiło. Po tym, jak zrobiłam doktorat, uniwersytet zaproponował mi pracę.

Kiedy ponownie odnalazła pani dłoń?

Ja jej nie odnalazłam. Bo jej nie szukałam. Trwało to siedemnaście lat, ale chyba można powiedzieć, że to ona mnie znalazła.

I co potem?

Z dłonią? Wojsko zajęło teren, kiedy sprawa wyszła na jaw.

To znaczy kiedy?

Wtedy kiedy wpadłam do dziury. Wojsko przybyło mniej więcej po ośmiu godzinach. Pułkownik Hudson – chyba tak się nazywał – dowodził akcją. Był z okolicy, więc praktycznie wszystkich znał. Ja osobiście go nie znałam, ale ludzie mieli o nim jak najlepsze zdanie.

Czytałam to, co przetrwało z jego notatek po ingerencjach wojskowej cenzury. Przez trzy lata dowodzenia akcją skupił się przede wszystkim na znaczeniu tych rzeźbień. Sama dłoń, określana zwykle jako „artefakt”, jest wymieniona mimochodem zaledwie kilka razy, jako dowód, że budowniczy komory musiał mieć dość rozwinięty system religijny. Myślę, że pułkownik miał dość jasno sprecyzowany pogląd na całą sprawę.

A konkretnie jaki?

Nie wiem. Był zawodowym żołnierzem. Nie fizykiem. Nie archeologiem. Nigdy nie czytał nic z zakresu antropologii, lingwistyki, nic, co byłoby choć częściowo przydatne w tej sytuacji. Jego pogląd musiał się brać z kultury popularnej, z oglądania Indiany Jonesa i podobnych rzeczy. Na szczęście dla niego otaczali go kompetentni ludzie. Mimo to musiał czuć się niezręcznie, kiedy dowodził, a jednocześnie zasadniczo nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi.

Fascynujące, jak wiele wysiłku włożyli w negowanie własnych odkryć. Pierwsze analizy wykazały, że komora ma około trzech tysięcy lat. To wydało im się bez sensu, więc zaczęli badać materiał organiczny metodą węglową. Ta pokazała, że komora może być dużo starsza, że może mieć między pięć a sześć tysięcy lat.

To była niespodzianka?

Można tak powiedzieć. Trzeba pamiętać, że to wbrew wszystkiemu, co wiemy o Ameryce prekolumbijskiej. Najstarsza cywilizacja, jaką znamy, rozwinęła się w regionie Norte Chico w Peru, a dłoń wydawała się o jakieś tysiąc lat starsza. A nawet gdyby była z tego samego okresu, to raczej oczywiste, że nikt nie przetransportował jej z Ameryki Południowej do Dakoty Południowej, a w Ameryce Północnej podobny poziom cywilizacyjny osiągnięto o wiele później.

W końcu ludzie Hudsona uznali, że radiowęglowy odczyt jest błędny ze względu na zanieczyszczenie materiału. Po kilku latach niezbyt intensywnych badań wiek znaleziska oszacowano na tysiąc dwieście lat i zaklasyfikowano jako świątynię jakiejś podgrupy cywilizacji Missisipi.

Czytałam te akta kilkanaście razy. Nie ma w nich nic, dosłownie nic, na poparcie tej tezy, poza faktem, że to bardziej prawdopodobne niż wszystko, co sugerowałyby wyniki badań. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że Hudson nie widział tu nic ciekawego z punktu widzenia wojska. Żałował pewnie, że jego kariera ugrzęzła

w podziemnym laboratorium badawczym i chciał zamknąć sprawę, nawet ogłaszając kompletną bzdurę, byle się stamtąd wyrwać.

I co, udało mu się?

Wyrwać? Tak. Trwało to nieco ponad trzy lata, ale w końcu jego życzenie się spełniło. Dostał udaru na spacerze z psem i zapadł w śpiączkę. Zmarł kilka tygodni później.

A co się działo z projektem badawczym?

Nic. Nic się nie działo. Dłoń i rzeźbione płyty ściennie pokrywały się kurzem w magazynie przez czternaście lat, aż wreszcie projekt zdemilitaryzowano. Wtedy przejął go Uniwersytet Chicagowski dzięki pieniądzom z Narodowej Agencji Bezpieczeństwa[2] i w jakiś sposób znalazłam się na czele zespołu mającego badać dłoń, w którą wpadłam w lesie jako dziecko. Nie wierzę w przeznaczenie, ale to, że „świat jest mały”, jakoś mnie nie przekonuje.

Dlaczego NSA miałyby się interesować projektem archeologicznym?

Sama się nad tym zastanawiałam. Finansują rozmaite badania, ale wydawało się, że akurat ten przypadek ma niewielki związek z ich misją. Może zainteresował ich język w kontekście kryptologii; albo materiał, z którego była zrobiona dłoń. W każdym razie przydzielili nam spory budżet, więc nie zadawałam za dużo pytań. Dostałam paru ludzi do pomocy, żeby przeanalizować twarde dane, zanim prześlemy wszystko wydziałowi antropologii. Projekt wciąż był ściśle tajny i, tak jak Hudsona, umieszczono mnie w podziemnym laboratorium. Przypuszczam, że czytał pan mój raport, więc resztę pan zna.

Tak, czytałem. Złożyła go pani po zaledwie czterech

miesiącach. Niektórzy uważają, że trochę zbyt pospiesznie.

To wstępny raport. Ale nie sędzę, żeby był przedwczesny. No, może odrobinę, ale poczyniłam znaczące odkrycia i uważałam, że nie dowiem się wiele więcej na podstawie dostępnych mi danych, więc po co czekać? W tej podziemnej komorze jest dość materiału do analizy dla kilku pokoleń badaczy. Ale bez nowych danych nic już stamtąd nie wyciśniemy.

„My” to znaczy kto?

My. Ja. Pan. Ludzkość. Ogólnie. W tym laboratorium są rzeczy, których dzisiaj nie potrafimy zrozumieć.

To proszę mi opowiedzieć o tym, co rozumiecie. Proszę mi opowiedzieć o tych płytach ściennych.

Wszystko zamieściłam w raporcie. Jest ich szesnaście, mniej więcej trzy na dziesięć metrów każda, grube na cal. Wszystkie wykonano w tym samym okresie, około trzech tysięcy lat temu. Według nas...

Jeżeli mogę przerwać – rozumiem, że nie przekonuje pani teoria o zanieczyszczeniu materiału badawczego?

Według mnie nie ma naukowego powodu, żeby nie wierzyć datowaniu radiowęglowemu. Zresztą wiek tych rzeczy to tak naprawdę nasze najmniejsze zmartwienie. Czy wspomniałam, że symbole świecą od siedemnastu lat?

Każda ściana składa się z czterech płyt i zawiera kilkanaście rzędów rzeźbionych symboli: od osiemnastu do dwudziestu w każdym rzędzie, podzielonych na sekwencje po sześć albo siedem. Naliczyliśmy łącznie piętnaście różnych symboli. Większość pojawia się wielokrotnie, niektóre tylko raz. Siedem

symboli składa się z linii krzywych, z kropką pośrodku, siedem z linii prostych, a jeden jest kropką. Prostota stylu, ale przy tym duża elegancja.

Poprzedniej ekipie nie udało się rozszyfrować ich znaczenia?

Jednym z niewielu rozdziałów raportu Hudsona, nienaruszonych przez cenzurę, była analiza lingwistyczna. Porównali symbole z każdym znanym systemem pisma, żywym lub martwym, ale nie znaleźli żadnego interesującego związku. Założyli, że każda sekwencja symboli stanowi zdanie, ale bez układu odniesienia nie mogli nawet snuć domysłów na temat ich znaczenia. Byli dokładni i dokumentowali każdy krok. Uznałam, że nie ma sensu robić drugi raz tego samego, więc odrzuciłam propozycję i nie dołączyłam do zespołu specjalisty od lingwistyki. Bez materiału porównawczego nie było szans odczytać tych znaków.

Być może byłam stronnicza, bo wpadłam w tę dłoń, ale to właśnie ona sama mnie przyciągała. Nie potrafiłam tego wyjaśnić, ale każdym nerwem czułam, że to ona jest tu ważna.

To całkiem inaczej niż pani poprzednik. A zatem co mi pani może o niej powiedzieć?

Cóż, jest absolutnie niesamowita, ale zakładałam, że nie interesuje pana aspekt estetyczny. Mierzy niecałe siedem metrów od przegubu do końca środkowego palca. Wydaje się lita, zrobiona z tego samego metalicznego materiału co płyty ścienne, ale ma co najmniej dwa tysiące lat więcej niż one. Ciemnoszara, z refleksami brązu, lekko opalizuje.

Jest otwarta, z palcami złączonymi i lekko zgiętymi, jakby trzymała coś bardzo cennego albo próbowała nie przepuścić ani ziarnka piasku. Tam, gdzie skóra naszej dłoni zwykle się fałduje, znajdują się żłobienia, inne raczej pełnią funkcję wyłącznie

dekoracyjną. Wszystkie jarzą się tym samym turkusowym światłem, które powoduje efekt opalizacji. Dłoń wygląda na silną, ale mnie przede wszystkim wydaje się... subtelna, tylko takie określenie przychodzi mi do głowy. Sądzę, że to dłoń kobieca.

Na obecnym etapie bardziej interesują mnie fakty. Z czego jest zrobiona ta silna, lecz subtelna dłoń?

Nasze narzędzia praktycznie ledwo mogą naciąć czy w inny sposób naruszyć materiał. Pozyskanie niewielkiej próbki z jednej płyty ściennej wymagało wielu podejść. Analiza spektrograficzna wykazała, że to stop kilku metali ciężkich, głównie irydu, z dziesięcioprocentową zawartością żelaza i mniejszymi domieszkami osmu, rutenu i innych metali z grupy platynowców.

Zapewne jest warta tyle złota, ile sama waży.

Zabawne, że pan o tym wspomina. Waży mniej niż powinna, powiedziałabym więc, że jest warta o wiele więcej.

A ile waży?

Trzydzieści dwie tony... Wiem, to sporo, ale przy takim składzie chemicznym – dziwnie mało. Iryd jest jednym z najgęstszych pierwiastków, być może nawet najgęstszym, i nawet biorąc pod uwagę domieszkę żelaza, dłoń powinna ważyć dziesięć razy tyle.

Jak pani to wyjaśniła?

Nijak. I nadal nie potrafię. Nie mam bladego pojęcia, jak coś takiego można osiągnąć. Zresztą od kwestii masy o wiele bardziej zastanawiająca była wysoka zawartość irydu. To nie tylko jeden z najcięższych pierwiastków, ale także jeden z najrzadszych.

Widzi pan, metale z tej grupy – platyna też do niej należy – łatwo łączą się z żelazem. Przed milionami lat, kiedy powierzchnia planety

była jeszcze płynna, większość irydu na Ziemi właśnie to zrobiła – połączyła się z żelazem, a że iryd jest ciężki, zapadł się wiele tysięcy kilometrów w głąb. Ten iryd, który pozostał w skorupie ziemskiej, jest zwykle zmieszany z innymi metalami, a rozdzielenie ich wymaga przeprowadzenia skomplikowanego procesu chemicznego.

Jak rzadki jest w porównaniu z innymi metalami?

Bardzo, bardzo rzadki. Ujmijmy to tak: cała roczna produkcja czystego irydu na świecie nie przekracza zapewne kilku ton. To mniej więcej jedna duża walizka. Przy dzisiejszej technologii zgromadzenie takiej ilości irydu, żeby to wszystko zbudować, zajęłoby dziesięciolecie. To po prostu zbyt rzadki pierwiastek, a podaż chondrytów jest wysoce niewystarczająca.

Przepraszam, nie rozumiem.

Przepraszam. Chondryty to meteoryty kamienne. Iryd jest tak rzadki w skałach ziemskich, że często praktycznie niewykrywalny. Większość używanego przez nas irydu pochodzi z meteorytów, które nie spłonęły całkiem przy przejściu przez atmosferę. By zbudować tę komorę – a wydaje się nieprawdopodobne, żeby to było jedyne ich dzieło – trzeba by go szukać tam, gdzie jest go o wiele więcej niż na powierzchni naszej planety.

Podróż do wnętrza Ziemi?

Juliusz Verne podsuwa jeden z możliwych tropów. By pozyskać w dużych ilościach taki metal jak iryd, trzeba albo wydobyć go z głębokości tysięcy kilometrów albo szukać w kosmosie. Z całym szacunkiem dla pana Verne'a, ale nasze kopalnie nie są dość głębokie. Najgłębsze z nich w porównaniu z tym, co było potrzebne, to zwykle dołki w ziemi. Eksploatacja w kosmosie wydaje się o wiele bardziej realna. Już dzisiaj działają prywatne firmy, które

mają nadzieję w niedalekiej przyszłości pozyskiwać wodę i cenne minerały w kosmosie, ale te wszystkie projekty są wciąż we wczesnej fazie rozwoju. Mimo to, gdybyśmy potrafili wyłapywać meteoryty w przestrzeni kosmicznej, mielibyśmy dużo, dużo więcej irydu.

Co jeszcze może mi pani powiedzieć?

To już praktycznie wszystko. Po kilku miesiącach badania tego czegoś za pomocą wszelkich narzędzi znanych człowiekowi, miałam wrażenie, że stoimy w miejscu. Wiedziałam, że zadajemy złe pytania, ale nie znałam tych dobrych. Złożyłam wstępny raport i poprosiłam o urlop.

Proszę mi przypomnieć: jaka była konkluzja raportu?

Że my tego nie zbudowaliśmy.

Ciekawe. Jak zareagowali przełożeni?

Dali mi urlop.

I tyle?

Tak. Myślę, że mieli nadzieję, że już nie wrócę. Ani razu nie użyłam w raporcie słowa „obcy”, ale zapewne to właśnie z niego wyczytali.

A nie to miała pani na myśli?

Nie do końca. Może istnieć inne, bardziej przyziemne rozwiązanie. Jako naukowiec powiem tylko tyle, że przy obecnych zasobach, przy dzisiejszej wiedzy i technologii nie jesteśmy w stanie zbudować czegoś takiego. Zupełnie niewykluczone, że jakaś pradawna cywilizacja lepiej od nas znała się na metalurgii, ale irydu wcale nie było wtedy więcej, czy to pięć, dziesięć czy dwadzieścia

tysięcy lat temu. A więc, odpowiadając na pańskie pytanie – nie, nie sądzę, żeby to było dzieło ludzkich rąk. Może pan o tym myśleć, co tylko chce.

Nie jestem głupia; wiedziałam, że to już raczej koniec mojej kariery. W oczach NSA na pewno straciłam wszelką wiarygodność, ale co miałam robić? Kłamać?

Co zrobiła pani po złożeniu raportu?

Pojechałam do domu, tam, gdzie wszystko się zaczęło. Pierwszy raz od śmierci ojca, po prawie czterech latach.

Do domu, czyli gdzie?

Pochodzę z niewielkiej miejscowości Deadwood, około godziny drogi na północny zachód od Rapid City.

Nie znam tej części Środkowego Zachodu.

To miasteczko zbudowane w okresie gorączki złota. Przyciągało wszelkiej maści awanturników, zupełnie tak jak na filmach. Ostatnie burdele zamknięto, kiedy byłam dzieckiem. Nasz główny powód do chwały, poza programem na HBO, który szybko zszedł z anteny, to fakt, że Dzikie Bill Hickok został zastrzelony właśnie w Deadwood. Miasteczko przetrwało koniec gorączki złota i kilka dużych pożarów, ale liczba ludności spadła do około tysiąca dwustu.

Deadwood nie kwitnie, ale wciąż stoi. A położone jest przepięknie: na samym skraju parku narodowego Czarnych Wzgórz, z jego niezwykłymi formacjami skalnymi, urokliwymi sosnowymi lasami, głazami, wąwozami i strumieniami. Nie wyobrażam sobie piękniejszego miejsca na ziemi. Potrafię zrozumieć, dlaczego ktoś mógłby chcieć coś tam zbudować.

Wciąż to pani dom?

Tak. To część tego, kim jestem, choć moja matka pewnie by się ze mną nie zgodziła. Drzwi otwierała jakby z wahaniem. Prawie się do siebie nie odzywałyśmy. Wyczuwałam, że ma mi za złe, że nie przyjeżdżałam, że nawet nie byłam na pogrzebie ojca, że zostawiłam ją samą w żałobie. Każdy na swój sposób radzi sobie z bólem, i przypuszczam, że w głębi duszy rozumiała mnie, ale w jej tonie był gniew; niektórych rzeczy nie śmiałyby wypowiedzieć na głos, ale one na zawsze zepsuły naszą relację. Jasne, dość wycierpiała; miała prawo czuć do mnie żal. Nie rozmawiałyśmy wiele przez pierwszych kilka dni, ale szybko popadłyśmy w jakiś rodzaj rutyny.

Spanie w moim dawnym pokoju przywołało wspomnienia. Jako dziecko często wstawałam z łóżka i siadałam przy oknie. Obserwowałam, jak ojciec idzie do kopalni. Przed każdą nocną zmianą zaglądał do mnie i prosił, żebym wybrała zabawkę, którą zabierze w pudełku śniadaniowym. Mówił, że pomyśli o mnie, kiedy je otworzy, i że przyjdzie spędzić przerwę na posiłek ze mną w moim śnie. Nie mówił zbyt dużo, ani do mnie ani do matki, ale rozumiał, jak drobne rzeczy potrafią być ważne dla dziecka, i zadawał sobie trud, żeby zawsze przed nocną zmianą okryć mnie kołderką. Żałowałam, że go nie ma i nie mogę z nim porozmawiać. Nie był naukowcem, ale miał trzeźwe spojrzenie. Z matką nie mogłam poruszać tego tematu.

Po kilku dniach odbywałyśmy już niedługie, lecz przyjemne pogawędki. Miła odmiana po zaledwie uprzejmych uwagach na temat jedzenia, jakie wymieniałyśmy od czasu mojego przyjazdu. Moja praca była jednak ściśle tajna, więc bardzo się starałam tak kierować rozmową, żeby nie zahaczyć o to, co naprawdę mnie nurtuje. Stawało się to łatwiejsze z każdym tygodniem, w miarę jak coraz więcej czasu wspominałam błędy młodości, a coraz mniej myślałam o dłoni.

Minął niemal miesiąc, zanim wybrałam się tam, gdzie ją po raz pierwszy zobaczyłam. Dół już dawno zasypano, a miejsce po nim stopniowo zarastało. Nie było już co oglądać. Włączyłam się bez

celu aż do zmroku. Dlaczego ja pierwsza znalazłam dłoń? Z pewnością musiały istnieć inne takie podziemne konstrukcje. Dlaczego nikt ich nie znalazł? Dlaczego to wydarzyło się akurat tamtego dnia? Dłoń pozostawała w uśpieniu przez tysiące lat. Dlaczego to się stało wtedy? Co ją obudziło? Co zaistniało przed dwudziestu laty, czego nie było przez tysiące lat wcześniej?

Wtedy to do mnie dotarło z całą mocą. To było właściwe pytanie. Musiałam zrozumieć, co ją obudziło.

DOKUMENT NR 4

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: wojskowa baza lotnicza
Coleman, Mannheim, Niemcy**

Proszę podać nazwisko i stopień.

Zna pan moje dane. Ma pan przed sobą moje akta.

Powiedziano mi, że nie będzie pani utrudniała postępowania. Chciałbym, żeby podała pani swoje nazwisko do protokołu.

Może najpierw mi pan wyjaśni, czego to postępowanie dotyczy.

Tego nie mogę powiedzieć. A teraz proszę podać nazwisko i stopień do protokołu.

„Tego nie mogę powiedzieć”. Zawsze pan odpowiada takimi okrągłymi zdaniami?

Lubię precyzję. Pozwala uniknąć nieporozumień. Nie znoszę natomiast się powtarzać...

Tak. Moje nazwisko. Proszę samemu je wypowiedzieć, jeżeli to dla pana takie ważne.

Jak pani sobie życzy. Nazywa się pani Kara Resnik, ma stopień starszego chorążego i jest pani pilotem helikoptera w armii amerykańskiej. Czy to się zgadza?

Zgadzało się. Ale na chwilę obecną nie wolno mi latać, o czym pewnie pan wie.

O tym nie wiedziałem. Wolno spytać, co się stało?

Mam odklejoną siatkówkę. Nie boli, ale gorzej widzę. Jutro idę na zabieg. Kiedy zapytałam, czy wrócę do latania, odpowiedziano mi, że jest „spora szansa” – co zabrzmiało jak zawołowane „nie”.

Mówił pan, że jak się nazywa?

Tego nie mówiłem.

To dlaczego pan nie powie? Do protokołu...

Istnieje wiele powodów, dla których się nie przedstawię, jedno z nich są ważniejsze, inne mniej ważne. Z pani perspektywy powinna wystarczyć wiedza, że gdybym się przedstawił, to żywa by pani stąd nie wyszła.

Mógł pan po prostu odmówić. Naprawdę sądzi pan, że grożenie mi ma jakikolwiek sens?

Szczerze przepraszam, jeżeli poczuła pani, że jej grożę. Nie było to moim zamiarem. Nie chciałem tylko, żeby pomyślała pani, że się czegoś wstydę.

A więc chodziło o moje bezpieczeństwo? Jakże rycersko z pana strony. Dlaczego tu jestem?

Żeby mi opowiedzieć, co się wydarzyło w Turcji.

Nic się nie wydarzyło. Nic ciekawego w każdym razie.

Pozwoli pani, że ja to ocenię. Wie pani, że mam certyfikat bezpieczeństwa kilka poziomów wyższy od pani, więc proszę zacząć od początku.

Nie jestem pewna, co to oznacza.

Jak znalazła się pani w Turcji?

Wezwano mnie w związku z misją NATO. Dotarłam na miejsce wcześniej rano, więc przespałam się parę godzin. Odprawa odbyła się o czwartej po południu. Przedstawiono mi drugiego pilota, chorążego Mitchella, i omówiliśmy szczegóły zadania. Mieliśmy wystartować o drugiej w nocy zmodyfikowanym śmigłowcem UH-60 Black Hawk z lotniska w Adanie, wejść w syryjską przestrzeń powietrzną na bardzo niskim pułapie i pobrać próbki powietrza około dwudziestu kilometrów na południe od granicy, niedaleko Ar-Rakki.

Mówi pani, że nie znała chorążego Mitchella. Tymczasem wojsko zwykle pilnuje, żeby piloci latali w stałych zespołach. Dziwne, że rozłączyli panią z pani drugim pilotem i kazali lecieć z kimś nieznanym. Dlaczego nie poleciała pani z tym, z kim zwykle pani lata?

Zmieniono mu przydział.

Dlaczego?

Musiałby pan jego spytać.

Otóż spytałem. Zaskoczę panią, jeżeli powiem, że poprosił o dowolny przydział, byle nie latać z panią?

Określił panią jako osobę nieustępliwą, nieprzewidywalną i krewką. Ma facet bogate słownictwo.

Gra dużo w scrabble.

To dlatego nie ułożyła się wam współpraca?

Ja nigdy nic do niego nie miałam.

Chyba nie o to chodzi. Rzadko spotyka się kogoś, kto jest gotów poświęcić swoją karierę wojskową tylko dlatego, że nie chce przebywać w czyimś towarzystwie.

Nie zgadzaliśmy się w wielu sprawach, ale zawsze pilnowałam, żeby nie mieszać tego z lataniem. Być może w jego przypadku było inaczej, nic na to nie poradzę.

Więc to nie pani wina, że ludzie mają z panią problem. Po prostu taka pani jest i już.

Coś w tym rodzaju. Proszę posłuchać, chce pan, żebym powiedziała, że nie jestem najzgodniejszą osobą pod słońcem? Proszę bardzo, nie jestem. Ale jakoś nie wierzę, że spotkaliśmy się tutaj, by rozmawiać o mojej czarującej osobowości. Chce pan wiedzieć, dlaczego rozbiłam na środku pola pistacji helikopter wart dwadzieścia milionów dolarów. Czy tak?

Możemy od tego zacząć. A zatem mieliście pobrać próbki powietrza. Wie pani dlaczego?

NATO uważa, że Syria od lat realizuje program budowy bomby atomowej. Sojusz chce to zastopować. W 2007 roku Izrael zbombardował podejrzany reaktor, ale NATO nie zamierza robić nic aż tak drastycznego na podstawie samych podejrzeń.

Woleliby mieć twarde dowody, zanim podejmą

działania zbrojne.

Chcą złapać Syryjczyków na gorącym uczynku. Szpieg w syryjskim wywiadzie wojskowym poinformował Amerykanów, że podziemne próby nuklearne są prowadzone w okolicach Ar-Rakki, a ponieważ Syria nie wpuszcza międzynarodowych inspektorów, dostaliśmy zadanie, żeby to sprawdzić.

Chodziło o coś więcej niż pobranie próbek powietrza?

Nie. Mieliśmy tylko śmignąć tam i z powrotem. Razem z nami przyleciało sporo sprzętu do sprawdzenia tych próbek. Z bazy lotniczej w Incirlik wystartowaliśmy o drugiej w nocy, zgodnie z planem. Przez mniej więcej godzinę lecieliśmy na wschód wzdłuż granicy, a potem skręciliśmy na południe, w syryjską przestrzeń powietrzną. Obniżyliśmy pułap do dwudziestu pięciu metrów. Do wyznaczonego punktu dotarliśmy około trzeciej piętnaście, pobraliśmy próbki i wróciliśmy tą samą drogą.

Była pani zdenerwowana?

Dobre sobie. Zdenerwowana to jestem wtedy, kiedy zapomnę zapłacić rachunek za telefon. To jest trochę co innego. Leci się nad samą ziemią z prędkością blisko trzystu kilometrów na godzinę, na terytorium wroga, w noktowizorze. Jeżeli coś takiego nie podnosi ciśnienia, to już nie wiem, co mogłoby to zrobić. Więc owszem, oboje odczuwaliśmy ogromne napięcie. W noktowizorze da się patrzeć tylko do przodu. Tak jakby się pędziło wąskim zielonym tunelem.

Wszystko poszło zgodnie z planem?

Jak w zegarku. Po niecałych dwudziestu pięciu minutach byliśmy z powrotem w tureckiej przestrzeni powietrznej. Oddalając się od granicy, wspięliśmy się na pułap trzystu metrów. Dolatywaliśmy do

Harran[3], kiedy zauważyłam światła w dole. To nie były światła miejskie. Znajdowaliśmy się nad polami uprawnymi, a światło miało dziwną barwę. Wtedy nagle silnik stanął i w kokpicie zrobiło się zupełnie ciemno.

Słyszeliśmy, jak wirnik zwalnia, potem cisza. Teren pod nami jarzył się turkusowym blaskiem. Setki drzewek posadzonych równo co dziesięć metrów, a pomiędzy nimi tylko ziemia. Siedzieliśmy i się gapiliśmy. Nierzeczywisty widok, bardzo... kojący. Potem runęliśmy jak kamień.

Poduszka powietrzna wbiła mi się w noktowizor, straciłam przytomność. Ocknęłam się parę minut później. Drugiego pilota nie było. Starszy mężczyzna w białej bawełnianej tunice próbował wypiąć mnie z pasów. Musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. Miał ciemną karnację. Spojrzał na mnie i coś powiedział, chociaż zdawali sobie sprawę, że i tak nie zrozumie. Potem po prostu się uśmiechnął. Brakowało mu paru dolnych zębów, ale wzrok miał łagodny. Opanowałam się i pomogłam mu rozpiąć pasy.

Podtrzymując mnie, pomógł mi wydostać się z maszyny. Ktoś chwycił mnie za drugą rękę, młoda dziewczyna, może szesnastoletnia, bardzo ładna. Wzrok miała spuszczonej i odzywała się półgębkiem tylko w odpowiedzi na pytania mężczyzny. Mógł być jej ojcem albo dziadkiem. Posadzili mnie na ziemi kilkadziesiąt metrów od helikoptera. Mężczyzna dał mi się napić wody z manierki. Dziewczyna wyciągnęła kawałek płótna i wskazała gdzieś na moje czoło. Nie protestowałam, więc przetała mi prawe oko. Potem szybko schowała szmatkę w nadziei, że nie zauważę krwi.

Gdzie był wtedy drugi pilot?

Z początku nie wiedziałam. Dopiero po minucie czy dwóch zauważyłam grupkę kilku osób po drugiej stronie wraku. Nie widziałam twarzy, tylko sylwetki na tle turkusowego światła. Wstałam. Dziewczyna powtarzała jakieś słowa – „proszę nie

wstawać”, jak sędzę. Ruszyłam w stronę światła. Po chwili stanęłam na krawędzi ogromnego krateru na środku pola pistacji. Światło było takie jasne.

Stał tam chorąży Mitchell razem z miejscowymi. Objął mnie i przytulił. Miałam wrażenie, że szczerze ucieszył się na mój widok. Nie mogłam się zorientować, na co patrzymy, ale wydawało mi się to najbardziej niesamowitą rzeczą, jaką w życiu widziałam.

To coś przypominało wieloryba zrobionego z ciemnego metalu – może statek, może łódź podwodną, chociaż na to było trochę za małe. Gładkie, o opływowym kształcie, przywodziło na myśl kadłub boeinga 747, ale nigdzie żadnego otworu, żadnej śruby czy silnika. To wyglądało bardziej jak włoskie dzieło sztuki niż jak cokolwiek innego. Powierzchnię przecinały w regularnych odstępach turkusowe żyłki, które tworzyły wzór podobny do sieci.

Jak długo tam byliście?

Nie wiem. Z dziesięć minut. Potem usłyszeliśmy ryk silników. Cztery black hawki usiadły wokół krateru, wzbijając tumany kurzu. Wyskoczyło z nich więcej żołnierzy piechoty morskiej, niż zdołałam naliczyć. Mnie i Mitchella wsadzono do helikoptera, który od razu wzniósł się w powietrze. Żołnierze odsuwali ludzi od tego dołu. Widziałam, jak próbują nie dopuścić do niego miejscowych policjantów.

Tak, to było... niefortunne... że miejscowe służby wmieszały się w sprawę. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby ci policjanci zjawili się parę minut później. Proszę mówić dalej.

To wszystko. Nie ma nic więcej do opowiedzenia. Przetransportowano mnie do ambulatorium w bazie w Turcji. Potem, godzinę temu, przywieziono tutaj na operację oka. Skąd pan w ogóle wiedział, że tu jestem?

Czy to naprawdę istotne?

Rozumiem, że i tak mi pan nie odpowie. Ale czy przynajmniej mogłabym się dowiedzieć, co to było?

Departament Stanu prosi obecnie rząd turecki o zgodę na wywiezienie tajnego samolotu z II wojny światowej, odkrytego przez rolników w prowincji Urfa.

Chyba pan żartuje. Mam uwierzyć, że jakiś stary wrak spowodował katastrofę mojego śmigłowca?

To, w co pani wierzy, nie ma w tym momencie większego znaczenia. Liczy się to, w co wierzy rząd turecki. A ma uwierzyć, że zabieramy z powrotem do kraju wrak amerykańskiego samolotu sprzed siedemdziesięciu lat.

A więc co to było?

Jak pani ocenia chorążego Mitchella?

Nie odpowie mi pan na pytanie?

...

Mitchell jest w porządku. Dobrze sobie poradził.

Nie to miałem na myśli. Co pani o nim osobiście sądzi jako o człowieku?

Proszę posłuchać, o mało nie zginęłam, bo na tureckim zadupiu leży w ziemi coś, co jest w stanie w sekundę sparaliżować w pełni uzbrojonego black hawka. A pan chce wiedzieć, co ja osobiście sądzę o moim drugim pilocie jako o człowieku?

Tak jest. Wiem, że pani helikopter się roztrzaskał. Musiałbym być ślepy, żeby nie dostrzegać, jak bardzo nurtuje panią pytanie o przyczyny tego wypadku. Gdyby nie presja czasu, moglibyśmy poświęcić parę godzin na rozmowę, żeby potwierdzić pani przeczucia, ale wkrótce muszę wyjechać.

To, o co pytam, może się pani wydawać nieważne. Proszę jednak zrozumieć, że posiadam dostęp do ogromnej ilości danych, o których pani nie ma pojęcia. Dlatego niewiele może mi pani powiedzieć, czego już bym nie wiedział. To, czego nie wiem i co chcę usłyszeć od pani, to opinia na temat chorążego Mitchella.

Co mam odpowiedzieć? Spędziłam z nim półtorej godziny. Oboje pochodzimy z Detroit. Jest ode mnie dwa lata starszy, ale chodziliśmy do niektórych tych samych szkół. Fakt, że znaleźliśmy się razem w kokpicie, uznał za spory zbieg okoliczności. Lubi muzykę country, której ja nie znoszę, i żadne z nas nie przypuszcza, by Lionsi mieli zagrać w finale tegorocznych rozgrywek. Czy to wystarczająco osobista opinia?

Jak ma na imię?

Nie mam pojęcia. Chyba Ryan. Powie mi pan, co to było? I czy jest tego więcej?

Bardzo dziękuję za poświęcenie mi czasu, panno Resnik. Aha, byłbym zapomniat. Jeżeli cokolwiek to dla pani znaczy, pani były lotniczy partner określił panią mianem najlepszego pilota, jakiego kiedykolwiek widział.

DOKUMENT NR 7

WYWIAD DR ROSE FRANKLIN, STARSZY PRACOWNIK NAUKOWY, INSTYTUT ENRICA FERMIEGO

**Miejsce: Uniwersytet Chicagowski,
Chicago, stan Illinois**

Czy to mógł być eksperyment Davisa?

Nie wiem. A mógł? Co to jest eksperyment Davisa?

Proszę wybaczyć. Głośno myślę. To musi być argon! Powinnam na to wpaść. Ojciec tyle lat pracował w kopalni.

Jakiej kopalni? Wiem, co to argon, ale nie rozumiem, do czego pani zmierza.

Pod koniec lat sześćdziesiątych kilku astrofizyków opracowało eksperyment mający na celu wykrycie neutrin^[4] produkowanych w czasie syntezy jądrowej zachodzącej wewnątrz Słońca. Czytałam o tym jako nastolatka. W jaskini wykutej półtora kilometra pod ziemią umieścili olbrzymi metalowy zbiornik wypełniony związkiem chloru. Gdy neutrino uderza w atom chloru, powstaje radioaktywny izotop argonu – argon-37. Raz na jakiś czas filtrowali zbiornik – przepłukiwali go helem, by wyodrębnić i policzyć wyprodukowane jądra argonu. Piękno nauki: na podstawie czystej

teorii udało im się stworzyć coś konkretnego. Prowadzili ten eksperyment przez blisko dwadzieścia pięć lat w kopalni Homestake, w której pracował mój ojciec, parę kilometrów od miejsca, gdzie odkryłam dłoń. Założę się, że te rzeczy reagują na bliskość argonu.

Jak pani wie, nie jestem fizykiem, ale...

Nie wiem nic na pana temat.

Cóż, teraz już pani wie, że nie jestem fizykiem. Tak czy inaczej, pomyślałem, że ilość materiału radioaktywnego, jaka przemieściłaby się na taką odległość, musiałaby być nieskończenie mała.

To prawda. Ale to nie może być przypadek. Ludzie z tego helikoptera, który roztrzaskał się w Turcji, pobierali próbki powietrza, by wykryć ślady prób nuklearnych. A więc szukali dokładnie obecności argonu-37. Pilotka powiedziała, że razem z nimi do Turcji przyleciało sporo sprzętu. Musiało to być urządzenie typu MARDS – Movable Argon Detection System[5] – albo coś podobnego. W każdym razie to duża maszyna, która potrafi wykryć obecność argonu-37. Czyli tego, w co wapń zawarty w glebie zamieni się pod wpływem podziemnej reakcji jądrowej. Jest to niezawodny sposób namierzania poligonów atomowych. Urządzenia typu MARDS nie da się oszukać. Wapń jest wszędzie – w piasku, w skałach, w ludziach, a część argonu powstałego przy eksplozji jądrowej, bez względu na to jak głęboko pod ziemią ją przeprowadzono, z czasem przedostanie się do atmosfery.

Rozumiem, że istnieją też inne izotopy argonu. Czy obiekty, o których mówimy, reagowałyby też na nie czy tylko na argon-37?

Tylko na ten jeden. W atmosferze jest cała masa argonu-40, także

innych izotopów. Zgadzam się jednak – byłoby dziwne, gdyby artefakty reagowały na coś tak specyficznego...

Czy może pani...

Przepraszam, że przerywam. Dziwne – chyba że tak właśnie je zaprojektowano. To byłoby naprawdę sprytne z ich strony.

Z ich strony? A kto to „oni”?

To może zabrzmieć trochę nedorzecznie, ale proszę mnie wysłuchać. Przypuśćmy, że „oni” napotkali cywilizację o tak niskim stopniu rozwoju technologicznego, że nie mieli z nią o czym rozmawiać. Ci, którzy zbudowali te rzeczy, tylko wystraszyliby ludzi sześć tysięcy lat temu. Uznano by ich za bogów, demony, istoty nadprzyrodzone. A teraz przypuśćmy, że chcieli zostawić coś, co byśmy odkryli, ale dopiero wtedy, kiedy osiągniemy odpowiedni poziom rozwoju.

Czyli?

Kiedy zdobędziemy takie rozumienie wszechświata, które pozwoli nam komunikować się z nimi w sensowny sposób. Najpewniejsze byłoby tu kryterium technologiczne. Można założyć, że większość albo wszystkie gatunki podobne do człowieka przeszłyby podobną drogę ewolucyjną – ogień, koło i tak dalej. Umiejętność latania, loty kosmiczne. Jeżeli potrafisz spojrzeć w niebo, to wcześniej czy później będziesz chciał tam polecieć, a gatunek zdolny odbywać podróże kosmiczne będzie przynajmniej otwarty na koncepcję, że nie jest sam we wszechświecie. Jeżeli nie chodziło im tylko o obserwację, to potrzebowali sposobu, by wykryć, że osiągnęliśmy odpowiedni poziom rozwoju ewolucyjnego. Gdyby ukryli te rzeczy na przykład na Księżycu, to wiedzieliby, że znajdziemy je dopiero wtedy, gdy zdołamy tam dotrzeć.

Z mojego punktu widzenia opanowanie syntezy jądrowej również byłoby stosownym kryterium. A więc – i to jest naprawdę sprytne – jeżeli zaprojektowali te artefakty, by reagowały na obecność argonu-37, to ich odkrycie mogło nastąpić dopiero wówczas, gdy nasza cywilizacja nauczyła się rozszczepiać jądra atomowe. To wszystko oczywiście są czyste domysły, ale jeżeli tak właśnie postąpili, to jestem pod wrażeniem.

W każdym razie myślę, że musimy ponownie przyjrzeć się tym płytom. I jednak będziemy potrzebowali specjalisty od lingwistyki.

Wcześniej mówiła pani, że to bez sensu.

To było, zanim pomyślałam o argonie. Jeżeli zbudowali tamto miejsce, żebyśmy je znaleźli, to musi tam być zawarty jakiś przekaz dla nas. Jeżeli jakaś cywilizacja wznosi budowlę, powiedzmy świątynię, dla siebie, to pisze tam rzeczy, które sama zrozumie. Jeżeli jednak wznosi ją dla kogoś innego, to napisy powinny coś znaczyć również dla tej drugiej strony. Nie ma sensu zostawiać przekazu, jeżeli odbiorca nigdy nie da rady go zrozumieć.

Nie jeden uznany lingwista już analizował te symbole, bez powodzenia. Dlaczego tym razem miałyby być inaczej?

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego tym razem miałyby się udać. Ale wiem, dlaczego nie wyszło za pierwszym razem. Po prostu szukaliśmy czegoś, czego tam nie ma.

A teraz pani wie, czego powinniśmy szukać?

Nie mam zielonego pojęcia. Ale myślę, że to dobry pomysł. Myślę, że ci, którzy wcześniej badali te symbole, ponieśli porażkę, bo za dużo wiedzieli, albo tak im się wydawało.

Poproszę trochę mniej filozoficznie.

Przepraszam. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie nie kwestionują tego, co przedstawiono im jako prawdę. Naukowcy nie są wyjątkiem; tyle że ich wiedza jest obszerniejsza. Jako fizykowi nigdy nie przyszłoby mi na przykład do głowy, żeby podważać paradygmat czterech podstawowych oddziaływań. Uznaję je za oczywistość, jak wszystko, czego się nauczyłam, i na tej podstawie staram się wnioskować. Zawsze patrzymy naprzód, nigdy do tyłu. Ale to coś jest inne. Rzuca nam wyzwanie. Zaprzecza fizyce, antropologii, religii. Pisze historię na nowo. Każe nam zakwestionować to, co wiemy o sobie... o wszystkim. Chyba znowu filozofuję.

Odrobinę.

Chciałabym spróbować popracować z kimś nie aż tak wykształconym, może z jakimś studentem z gorącą głową, kimś, kto nie musi wyrzucać podręcznika przez okno, bo jeszcze go nie przeczytał. Trzeba spojrzeć na to z zupełnie innej perspektywy. Skontaktuję się z wydziałem lingwistyki i zapytam, czy miałiby kogoś takiego na podorędziu.

Ciekawy pomysł. Chce pani znaleźć kogoś, kto jest mniej lub bardziej niewykwalfikowany, bo wytrawni specjaliści ponieśli klęskę.

Nie ujęłabym tego w ten sposób, ale tak, kogoś bystrego i mniej przywiązanego do naukowych założeń. Brzmi chyba o wiele lepiej.

To prawda. Sądzę, że nie zaszkodzi spróbować, ale proszę mi wybaczyć, jeżeli nie podzielam pani entuzjazmu. Czy otrzymała pani to przedramię z Turcji?

Tak, dotarło dwa dni temu. Nie potrafiliśmy dojść, czy i jak dłoń była z nim zespolona. Obie części mają obłe, gładkie zakończenia, nic, co przypominałoby mechanizm łączący albo zapięcie. Końcówka przedramienia jest lekko wklęsła, a nadgarstek lekko

wypukły, ale to wszystko.

Czyli rozumiem, że obie części są teraz połączone.

Zgadza się. Tyle że nie mam pojęcia, na czym to polega. Przybliżyliśmy je do siebie, żeby sprawdzić, czy pasują, a one błyskawicznie się złączyły, jakby były namagnesowane. Mało brakowało, a mój asystent straciłby dłoń. Nie potrafię wyjaśnić, na jakiej zasadzie trzymają się razem, poza tym kiedy się łączyły, dał się słyszeć głośny i niezwykły dźwięk, jakby cmoknięcie.

Jesteście w stanie je rozdzielić?

Nie. To wymagałoby większej siły niż ta, którą dysponujemy. Nie chciałam ryzykować, że coś uszkodzimy. Wolę skupić się na poszukiwaniu pozostałych części. Jestem bardzo ciekawa, jak wygląda reszta ciała. Gdy skończymy składać je w całość, możemy spróbować ponownie je rozdzielić.

A więc uważa pani, że tych części jest więcej?

O tak. Strasznie żałuję, że nie mam ich wszystkich. Być może wybiegam za daleko naprzód, ale uważam, że muszą być też inne. Gdybyśmy znaleźli kolejną dłoń, głowę czy nawet stopę, mogłabym uznać, że jest to rodzaj monumentów albo dzieł sztuki, ale po co ktoś miałby budować samo przedramię? To nie jest moja dziedzina, ale jakoś nie wyobrażam sobie cywilizacji uprawiającej religijny kult przedramienia. I jeżeli właściwie odczytałam raport, to nie znajdowało się ono w podziemnej komorze; nie znaleziono żadnych ścian ani symboli. Jest za duże, by zmieścić się w komorze, w której leżała dłoń, więc zostało tam celowo zakopane.

Zgoda, ale mogli zrobić po prostu jedną rękę, a wtedy brakowałoby już tylko ramienia.

Niewykluczone. Ja wciąż uważam, że na odkrycie czeka całe ciało.

Mam nadzieję, że czas potwierdzi pani przypuszczenia. Naprawdę.

Powiem panu tyle, że gdybym ja miała stworzyć coś tak niezwykłego, nie poprzestałabym na ramieniu.

Czy, opierając się na posiadanej wiedzy, potrafiłaby pani opracować metodę znalezienia pozostałych części, jeżeli istnieją?

Myślę, że tak. Muszę tylko wymyślić, jak wyprodukować dużą ilość argonu-37 i jak go odpowiednio rozpylić. Ale nawet przy skutecznej metodzie znalezienie pozostałych części może potrwać.

Jak długo?

Trudno powiedzieć. Miesiące. Lata? Jeżeli ciało, jak można przypuszczać, jest podzielone według głównych stawów, to powinno być co najmniej czternaście części: po trzy na każdą rękę i nogę, razem dwanaście, plus głowa i korpus w postaci jednego kawałka lub więcej. Mam tylko nadzieję, że to przedramię w Turcji było wyjątkiem i pozostałe części są bliżej miejsca, gdzie odkryliśmy dłoń.

Jeżeli się nie mylę i oni chcieli, żebyśmy znaleźli te części, to ukryliby je w ziemi, gdzie stosunkowo łatwo do nich dotrzeć. Poszukiwanie w oceanach to już zupełnie inna historia.

Muszę wnioskować do NSA o dodatkowe środki. Nie wiem, ile to zajmie, ale jestem więcej niż pewna, że w naszym budżecie to się nie mieści.

Niech pani zapomni o NSA. Proszę mi po prostu powiedzieć, czego pani potrzebuje.

Zapomnieć o NSA? Proszę mi przypomnieć, kogo pan właściwie reprezentuje? Nie. Niech pan nie odpowiada. Wyślę panu listę sprzętu. Do tego jakiś środek transportu, samolot albo helikopter zdolny odbywać loty długodystansowe. Z załogą. Będziemy też potrzebowali ekipy, żeby wydobyć to, co znajdziemy. To może okazać się skomplikowane. Dłoń i przedramię to najmniejsze części ciała. Reszta będzie większa.

Mamy ludzi, którzy się zajmą wydobyciem. Pilotów poszukam.

Niezbędna będzie też większa przestrzeń, jeżeli wszystko się uda.

Jak duża?

Cóż, jeżeli proporcje są normalne, czyli ludzkie, to on, a raczej ona będzie miała ponad siedemdziesiąt metrów wzrostu. Będziemy potrzebowali sporego magazynu, nawet jeżeli położymy ją na ziemi.

Nadal wierzy pani, że to dziewczyna?

Bardziej niż kiedykolwiek.

DOKUMENT NR 9

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: baza wojskowa Fort Campbell,
stan Kentucky**

Znowu pan. Czego pan chce tym razem?

Zadać kilka prostych pytań, to wszystko.

A jeżeli nie odpowiem?

**Może pani wyjść, kiedy zechce, ale rozsądniej byłoby
zostać.**

Dlaczego mam wrażenie, że to rodzaj testu?

**Bo jest pani bardzo bystra. Zaczynam pewien projekt,
w którym mogłaby pani wziąć udział. Z jednej strony była
pani świadkiem określonych wydarzeń i zaprezentowała
umiejętności, które dają pani znaczącą przewagę nad
innymi potencjalnymi kandydatami. Z drugiej jednak pani
impulsywny charakter i nieumiejętność współpracy
niepokoją mnie, tak jak pani przełożonych. Za pani zgodą
chciałbym zadać kilka prostych pytań i proszę o szczere**

odpowiedzi. Jest pani w stanie to zrobić?

Odpowiadać na pytania? A nie robię tego w tej chwili?

Nie chodziło mi o pani zdolność odpowiadania. Już pani pokazała swoją dużą umiejętność robienia uników, odpowiadania pytaniem na pytanie. Chodziło mi o to, czy jest pani w stanie odpowiedzieć szczerze.

A jeżeli nie, to ma jakieś znaczenie?

Ma znaczenie, jeżeli chce pani wziąć udział w tym projekcie.

Przecież powiedział pan, że jestem impulsywna i niezdolna do współpracy. Wygląda na to, że już pan sobie wyrobił opinię na mój temat.

Ujmę to zatem inaczej. Załóżmy, że z góry wiem, że nie nadaje się pani do tej roboty – jakakolwiek ona jest. Mimo to świadomie przyleciałem tu i zmarnowałem kilka godzin swojego życia tylko po to, żeby się przekonać, że jest jeszcze bardziej beznadziejnie, niż zakładałem. W tym układzie najsensowniej dla pani byłoby odpowiedzieć na te pytania jak najszybciej, by mieć to z głowy i móc wrócić do tego, czymkolwiek zajmuje się pani teraz, kiedy nie może już pani pilotować helikopterów. Istnieje też prawdopodobieństwo, że nie jestem kompletnym idiotą i że naprawdę interesują mnie pani odpowiedzi. Tak czy owak, ma pani dziesięć sekund na każdą odpowiedź. Gotowa?

...

Jakie są pani trzy najgorsze cechy?

Moje trzy... Ostatnim razem słyszałam, że jestem – jak to było? – nieustępliwa, nieprzewidywalna i krewka. To trzy. Jestem też mściwa i nigdy niczego nie zapominam. Ile to już razem?

Jakie trzy cechy podziwia pani u innych?

Lojalność. Uczciwość. Odwagę.

W porządku. Teraz proszę odpowiadać tak lub nie. Uwaga, zaczynam. Czy ufa pani bardziej rozumowi niż uczuciom?

Mam odpowiedzieć tak lub nie? To podchwytliwe pytanie. Wiem, że chce pan, żebym potwierdziła, ale czasami trzeba zdać się na intuicję.

A zatem raczej nie.

Ale jeżeli zaprzeczę, pomyśli pan, że jestem chodzącą emocjonalną bombą zegarową.

Być może już tak myślę. Mogę również myśleć, że jest pani zupełnie bez serca. Czas na odpowiedź.

Nie.

Czy często myśli pani o ludzkości i jej miejscu we wszechświecie?

Myślę.

A więc tak?

Tak.

Czy czuje się pani swobodnie w tłumie?

Nie.

Czy zwykle reaguje pani pierwsza na niespodziewane wydarzenie, wypadek?

Hm... Chyba tak.

Czy lubi pani brać na siebie odpowiedzialność?

Tak.

Czy w trakcie wydarzenia towarzyskiego woli pani stać raczej pośrodku sali niż pod ścianą?

Ciekawe pytanie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio brałam udział w wydarzeniu towarzyskim.

Pozwoli pani, że powtórzę. Czy w trakcie wydarzenia towarzyskiego woli pani stać raczej pośrodku sali niż pod ścianą?

Nie wydaje mi się. Nie.

Czy ma pani trudności z wyrażaniem uczuć?

Kolejne podchwytliwe pytanie. Zależy, jakie to uczucie. Nie mam kłopotów z wyrażaniem gniewu. Tak jak chyba większość ludzi. Mogłabym powiedzieć to samo o: radości, wdzięczności, frustracji, zdumieniu. Takie kwestie jak: miłość, lęk, wstyd, pożądanie, bezbronność – to inna historia.

To bardzo starannie wyważona odpowiedź na zupełnie inne pytanie. A teraz proszę odpowiedzieć na moje: tak lub nie.

Ale nie mogę. Właśnie powiedziałam panu, że istnieje więcej niż

jedna odpowiedź.

Co za szkoda, bo to test typu tak lub nie. Proszę wyciągnąć średnią. Czy ma pani trudności z wyrażaniem uczuć?

Mam... to znaczy tak! Odpowiedź brzmi: tak!

Nie ma potrzeby się unosić.

Ja się nie unoszę.

Skoro pani tak twierdzi. Czy ma pani problem ze słuchaniem przełożonych?

Nie trzeba testu, żeby to stwierdzić.

Ale to jest pytanie testowe. Proszę odpowiedzieć.

Och. Tak. Co, zaskoczony? Wiem, zaraz zapyta mnie pan, dlaczego ktoś, kto przyznaje się do niesubordynacji, wybrał karierę w wojsku.

Prowadzi pani ciekawą rozmowę sama ze sobą. Możemy kontynuować?

Tak, możemy. Gadam z nerwów.

Czy wierzy pani w istnienie cywilizacji pozaziemskiej?

Co takiego?

Słyszała pani.

...Nie, nie wierzę. Co to miałyby panu o mnie powiedzieć?

Że nie wierzy pani w istnienie cywilizacji pozaziemskiej.

Gdyby odpowiedziała pani twierdząco, wiedziałbym, że jest odwrotnie.

Bardzo pan pomocny.

Dziękuję. Teraz ja będę podawał początek zdania, a pani będzie je kończyła. Jasne?

Sądzę, że tak.

Tomek siedzi sam na schodach...

Serio? Chce pan zrozumieć moje wnętrze i wyjeżdża mi pan z „Tomek siedzi sam na schodach”. To takie głupie, że aż... Dlaczego nie zapyta mnie pan wprost o to, co chce pan wiedzieć?

Trochę nam się tu zejdzie, jeżeli nie będzie pani wykonywać poleceń. To bardzo proste ćwiczenie; nie powinno stanowić problemu dla kogoś z pani inteligencją.

Proszę mnie nie obrażać.

Nie obrażam pani. Widziałem pani akta osobowe, proszę pamiętać. Wyniki z egzaminu kwalifikacyjnego wskazują IQ między 125 i 130 punktów. Czyli jest pani w miarę utalentowana. A zatem, jak wspomniałem, ktoś z pani inteligencją nie powinien mieć kłopotu z dokończeniem historyjki w jednym lub dwu zdaniach, nawet na tempo. Możemy kontynuować? Tomek siedzi sam na schodach...

Dobrze... Koledzy obiecali po niego wpaść, ale się spóźniają. Tomek wymyśla sobie rozmaite historie. Kiedy kumple wreszcie się zjawiają, nie chce się z nimi bawić. Odpowiednia dawka talentu?

Następna historyjka. W drodze na zakupy Lisa znalazła

na ulicy kupon totka...

Sam pan te cuda wymyśla czy to dzieło całej armii psychologów? Czy ktoś rzeczywiście oskarżyłby ją o kradzież? A jeżeli nikogo nie ma w pobliżu? Nie da się tak po prostu dać ogłoszenia w gazecie.

Nie wierzę, że...

Nieważne! Jasne, z tyłu było nazwisko i adres. Oddała kupon starszemu panu z sąsiedztwa. Gdy zmarł, dowiedziała się, że wszystko jej zapisał. Dość wzruszające dla pana?

Doskonale. Teraz ja mówię słowo, a pani podaje pierwsze skojarzenie. Wojna?

Śmierć.

Szczęście?

Nie wiem... Przyjaźń.

Przegrana?

Powstanie.

Kraj?

Wdzięczność.

Ojciec?

...Strata.

Zaufanie?

...

Panno Resnik?

Fundusz. To wszystko?

Na razie tak. Mam jeszcze parę pytań, ale nie są częścią testu.

Choć i tak będzie oceniał mnie pan po odpowiedziach.

Owszem, tyle że bardziej subiektywnie. Czy może pani powiedzieć, kto to jest Night Stalker?

Członek 160. SOAR – Pułku Lotniczego Operacji Specjalnych. To elitarna jednostka. Latają głównie w nocy, na niskich pułapach.

Są dobrzy?

Najlepsi z najlepszych.

A pani jest jedną z nich.

Teraz już tak!

Dlaczego teraz?

Nie mogę latać. Po urazie oka dostałam posadę wykładowczyni w szkole lotniczej Sabalauski Air Assault School, ale o tym przecież pan wie.

Więc uczy ich pani latać, ale sama nie może latać z nimi?

Wiem, że to miało zabrzmieć ironicznie, ale i tak bym nie mogła z nimi latać. Prowadzą operacje specjalne. Nie przyjmują kobiet, chyba że w rolach pomocniczych.

Kto nie przyjmuje?

Armia amerykańska nie pozwala kobietom uczestniczyć w działaniach bojowych ani operacjach specjalnych.

I jak się pani z tym czuje?

Jak się z tym czuję? Że kobiety nie są dopuszczane do operacji specjalnych? Wiedziałam o tym, kiedy wstępowałam do wojska. Armia oferuje kobietom wiele innych ciekawych możliwości. Pyta pan, czy wkurza mnie, że nie mogę latać? Jasne, że tak. Jakby mi amputowano nogi.

Tak bardzo lubi pani latać?

Dzieci chcą być strażakami, policjantami, pilotami odrzutowca, kosmonautami. Gdy dorastają, zmieniają zdanie. Ja zawsze chciałam... Nie, to nieprawda; chciałam być księżniczką. Ale od chwili, gdy zobaczyłam helikopter nad domem, wiedziałam, że chcę takim latać. Miałam pewnie pięć czy sześć lat. Od tego czasu nie zmieniłam zdania, nigdy nie żałowałam, że wstąpiłam do wojska. To cała ja. Tylko dzięki temu czuję, że żyję.

Czy mogłaby pani latać, gdyby pani pozwolono?

Czy mogłabym? Tak. Widzę dobrze.

A teraz zapytam, dlaczego znalazła się pani w Turcji.

Naprawdę staram się nie mądrzyć, ale utrudnia mi pan sprawę. Proszę bardziej konkretnie.

Dlaczego posłali akurat panią? To ten rodzaj misji, do którego zgodnie z przepisami kobiety nie są dopuszczane, a pani właśnie mi powiedziała, że istnieje cały pułk wyspecjalizowany w ich wykonywaniu.

Dlaczego do tak ważnego zadania wyznaczono dwudziestoczteroletnią kobietę, a nie SOAR?

Dowódca znał mnie. Wykonywałam dla niego loty pomocnicze w Afganistanie. Poza tym to była misja NATO, tam zasady są trochę inne. W każdym razie wystarczy, że nazwą to lotem zwiadowczym albo wsparcia i już mogę lecieć. W armii jest wiele świetnych kobiet pilotów. Dobrzy dowódcy znajdują im zajęcie.

Ostatnie pytanie. Gdybym powiedział, że mogę załatwić pani powrót do latania, co zrobiłaby pani dla mnie?

Wszystko.

Proszę odpowiadać ostrożnie, żeby potem nie żałować.

No to słucham, co mam zrobić.

Czy byłaby pani gotowa narazić własne życie?

Śmieszne pytanie. Każdy, kto wsiada do wojskowego helikoptera, wie, że może nie wyjść z niego żywy.

Czy byłaby pani gotowa narazić życie niewinnych ludzi?

Jeżeli byłby po temu ważny powód. W gruncie rzeczy niepotrzebnie pan pyta. Tak jak powiedziałam, zrobię wszystko, jeżeli to ma jakiś cel.

Jest pani żołnierzem armii Stanów Zjednoczonych. Zapewne nie zawsze zna pani powód wszystkiego. Czy uczestniczyła pani kiedyś w misji, której cel był pani nieznany?

To się zdarza. Nie tak często, jak można by sądzić, ale się zdarza.

To skąd pani wie, że warto było narażać życie? Nie wygląda mi pani na kogoś, kto ślepo wierzy rozkazom.

Chyba nie poszedł mi ten test. Ma pan rację, ludziom nie ufam łatwo, ale wierzę w liczby.

Ciekawe.

Tak. Myślę, że w pojedynkę ludzie są bojaźliwi, głupi i samolubni, ale jeżeli zbierze się ich odpowiednio dużo, okażą się w miarę porządni. Armia to wielka i czasami niezdarna machina, ale wierzę, że ogólnie robi to, co należy.

Czy potrafi pani zachować otwartość umysłu? Zakwestionować własne przekonania?

Przypuszczam, że nikt nigdy nie uważa się za osobę o ciasnym umyśle. Sama chętnie się dowiem.

Bardzo dziękuję za poświęcenie mi czasu, panno Resnik.

I znowu tajemnicze zakończenie. No już! Proszę powiedzieć coś jeszcze... Nie? W takim razie poproszę o dalsze pytania! Niech pan nie odchodzi... Opowiem panu więcej o małym Tomku siedzącym na schodach!

DOKUMENT NR 17

WYWIAD CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA

**Miejsce: baza Lewis-McChord,
stan Waszyngton**

Dzień dobry, panie Mitchell. Doktor Franklin powiedziała mi, że robicie postępy.

O tak. Jak to ona mówi, potrzebujemy tylko wiary i zaufania... i odrobiny magicznego proszku... Ponad cztery miesiące latamy nad całym kontynentem. To trochę jak opylanie pól, tyle że z dużo wyższego pułapu, no i to, co robimy, jest zapewne dużo bardziej nielegalne. Dzwoneczek – to kryptonim naszej operacji. Kaszka z mlekiem, latanie w kółko i zostawianie za sobą smugi magicznego proszku.

Czy formuła działa?

Zdecydowanie tak. Czapki z głów przed doktor Franklin, dobra z niej alchemiczka. ARCANA, tak nazywa swoje dzieło. To oznacza „tajniki”, ale tłumaczy się jako Argon-Rich Compound for Aerial Nocturnal Application, czyli wysokoargonowy związek do nocnego rozpylania z powietrza. Kiedy zaczynaliśmy, praktycznie wszyscy

poza doktor Franklin uważali, że ta akcja to strata czasu, ale już po tygodniu znaleźliśmy kolejny kawałek ramienia w stanie Vermont. Prawie się znowu rozbiliśmy. Kara była przekonana, że...

Przepraszam. Kara?

Starszy chorąży Kara Resnik. Proszę wybaczyć. Od pewnego czasu pracujemy z cywilami. To się udziela. W każdym razie chorąży Resnik i doktor Franklin były zdania, że na trzech tysiącach metrów nic nam nie grozi, ale kiedy znaleźliśmy ten kawałek ramienia, silnik stanął tak jak w Turcji. Na szczęście byliśmy na tyle wysoko, że zadziałała autorotacja. Chorąży Resnik zdołała ponownie uruchomić silnik i dzięki temu nie runęliśmy na ziemię. Jest niesamowita. Może niezbyt taktowna, ale latać potrafi.

Cieszę się, że przypadliście sobie do gustu. Taką miałem nadzieję. Czyżbym wyczuwał w pańskim głosie nutę zauroczenia?

To za dużo powiedziane. Znam wojskowe przepisy na temat spoufalania się, ale trzeba by być ślepy i głuchy, żeby nie dostrzegać jej uroku. Zbudowana jest jak pływaczka: długie, bardzo mocne nogi i barki, których pozazdrościłaby jej większość facetów. Nie wiem, jak to powiedzieć, żeby głupio nie zabrzmiało, ale chłopcy w bazie mówią, że wystarczy im popatrzeć, jak odchodzi, by poczuć, że życie się do nich uśmiecha. Ma bardzo ciemne włosy jak na kogoś z tak jasną karnacją. Przez to jej spojrzenie jest hipnotyczne. Te jasnozielone oczy... niepokojące. Cóż, widział ją pan. Wie pan, jak trudno nie gapić się na nią jak wół w malowane wrota.

Nie zauważyłem. Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że to nie jest misja stricte wojskowa. Nie naruszyłby pan zasad hierarchii służbowej.

Niestety naruszyłbym. W armii drugi pilot jest podwładnym. To oznacza, że ona jest moją przełożoną. Mamy swoją dwuosobową hierarchię i musimy jej przestrzegać, bo armia traktuje te sprawy całkiem poważnie. Zresztą mniejsza z tym. Lubię na nią patrzeć, nic więcej. A jej to w ogóle nie obchodzi. Zachowuje się, jakby ledwie mnie tolerowała.

Jak na nią to i tak dobrze. Wróćmy do misji.

Oczywiście! Podzieliliśmy kraj na sektory. Każdy sektor to obszar, który możemy oblecieć w jedną noc po wystartowaniu z najbliższej bazy wojskowej. Z miejsca, w którym się znajdujemy, możemy oblecieć sporą część mapy, a potem przeskakujemy od bazy do bazy, żeby dotrzeć do sektorów położonych bardziej na wschód i południe. Ogarnęliśmy już mniej więcej połowę.

Czy jesteście w stanie rozpylać substancję z bezpiecznej wysokości? Nie chciałbym, żebyście wy dwoje prawie ginęli za każdym razem, kiedy znajdujecie kolejną część ciała.

Jesteśmy w stanie, sir. Tak jak wspomniałem, za pierwszym razem prawie się rozbiliśmy, więc od tego czasu latamy na pięciu tysiącach metrów. Nie byliśmy pewni, czy to nie za wysoko. Minął miesiąc, zanim znaleźliśmy kolejną część, łydkę, a potem stopę, na granicy Kansas i Missouri.

Stopę?

Dużą. Miałem nadzieję, że będzie miała ogromne palce, ale bardziej przypomina elegancki but na grubej podeszwie niż stopę. Mimo to jest piękna. Doktor Franklin mówi, że zna się na butach.

Wychodzi też na to, że przy lataniu na wyższym pułapie idzie nam szybciej – rozpylamy substancję na większym terenie, więc całkowite pokrycie danego sektora wymaga mniej lotów.

A więc znaleźliście dotąd pięć części?

Sześć. Właśnie natrafiliśmy na udo pod autostradą w Tennessee. Ogromne!

Jak duże?

Nie jestem zbyt dobry w ocenianiu na oko, może dwadzieścia metrów. Na tyle duże, żeby narobić sporego bałaganu, tyle powiem. Autostrada jest rozwalona na odcinku blisko kilometra. Doktor Franklin mówi, że te artefakty tkwią bardzo głęboko, około trzystu metrów pod ziemią, ale obudzone błyskawicznie wyłaniają się na powierzchnię. Cieszę się, że jesteśmy w helikopterze. Nie chciałbym być na dole, kiedy one wydobywają się z głębin. To musi robić wrażenie końca świata.

Dziękuję, panie Mitchell. Właśnie zdałem sobie sprawę, że chociaż doktor Franklin często o panu opowiada, to spotkaliśmy się po raz pierwszy. Miło pana wreszcie poznać.

Dziękuję, sir.

Proszę co nieco mi o sobie opowiedzieć.

Nie ma tu wiele do opowiadania. Jestem żołnierzem armii Stanów Zjednoczonych.

Na pewno coś jeszcze pan może dodać.

Co takiego panu powiedzieć? Urodziłem się w Detroit. Ojciec był zawodowym wojskowym. Co jeszcze... Chodziłem do liceum imienia Henry'ego Forda. Grałem w piłkę.

Bejsbol?

Futbol amerykański, sir. Trojansi. Byłem bocznym obrońcą. Do wojska zaciągnąłem się po skończeniu szkoły.

Pański ojciec też był pilotem helikoptera?

Nie, sir. Był mechanikiem. Nigdy mnie to nie pociągało, więc zapisałem się do szkoły podchorążych. Chciałem robić coś innego.

Musi być z pana bardzo dumny.

To prawda. Jego ojciec też był wojskowym. Rodzinna tradycja. Chciałem podziękować, że wziął mnie pan do tego projektu, sir. Wiem, że tak naprawdę nie chodziło o mnie, ale cieszę się, że tu się znalazłem. Jestem bardzo wdzięczny. Nigdy nie przypuszczałem, że będę robił coś tak ekscytującego.

Wybrałem was oboje, bo świetnie się dopełniacie. Nie wziąłbym panny Resnik, gdyby tak sprawnie nie współpracowała z panem w Turcji. Nie musi pan mieć żadnych kompleksów.

Jasne. Rozumiem. Jestem drugim pilotem. Ona jest świetna. Słusznie, że pan ją wybrał.

Jak rozumiem, pański entuzjazm świadczy o tym, że dobrze się pan czuje w nowej pracy.

O tak. Bardzo dobrze. Doktor Franklin troszczy się o nas. Zanim w ogóle zaczęliśmy latać, spędziliśmy z nią blisko tydzień. Wszystko nam pokazała, opowiedziała, czym się zajmuje. Poculiśmy się częścią zespołu, a nie tylko wyrobnikami do wynajęcia. Ta dłoń jest niesamowita. Naprawdę pan myśli, że przybyła... no, wie pan... stamtąd?

Z pewnością tak uważa doktor Franklin. Nie mam powodu, by kwestionować jej opinię.

Też bym nie śmiał. Jest bardzo opiekuńcza. Nie wyobrażam sobie jej, jak wpada w złość. I wolałbym tego nie widzieć. Bardzo miła. I niesamowicie inteligentna. Kiedy opowiada o swojej pracy, stara się mówić jak najprościej, a i tak wielu rzeczy nie rozumiem.

Dlatego ją wybraliśmy. A jak się mają sprawy w laboratorium? Wszyscy się dogadują?

Tak jest, sir. Doktor Franklin ma doskonały nastrój. Kara – przepraszam, starszy chorąży Resnik – znalazła z nią wspólny język. Na pierwszy rzut oka trudno to stwierdzić, ale są do siebie podobne. Zachowują się inaczej, obie jednak mają tę wewnętrzną energię, poczucie celu. Myślę, że nawet wyglądają podobnie, kiedy im się bliżej przyjrzeć, jak siostry albo kuzynki. Te same ciemne włosy, ten sam przenikliwy wzrok. Od razu nawiązały porozumienie.

Powiedziano mi, że dotarł też pan Couture.

Ten językoznawca? Tak, zgadza się. Arogancki francuskojęzyczny dzieciak z Montrealu. Zdaje się, że ma na imię Vincent.

Mieliście okazję rozmawiać?

Nie bardzo, nie widzimy go zbyt często. Płyty przeniesiono do innego pomieszczenia; tam spędza większość czasu. Podobno jest naprawdę bystry. Domyślałem się, że będzie miał francuski akcent, ale nie spodziewałem się czegoś takiego. Mówi, jakby był jakimś Niemcem.

Pochodzi z Quebecu, nie z Francji.

Wiem, skąd pochodzi. Po prostu myślałem, że mówią tam po francusku. Ale po jakimkolwiek by mówił, brzmi to zabawnie.

Doktor Franklin każe mu mówić do siebie po francusku, bo jak twierdzi, rzadko ma okazję poćwiczyć ten język. Nawet Kara wtrąci jakieś słówko raz na jakiś czas. Chyba tylko ja w ogóle go nie rozumiem.

Zdaje się, że nie darzy go pan specjalną sympatią.

Tak bym tego nie określił. Po prostu bardzo się różnimy. Przypomina mi dzieciaki, z których nabijaliśmy się w szkole. Nie lubię wracać do tych wspomnień.

Nie jest pan dumny z tego, jak traktował ludzi jako nastolatek? Nie robi pan wrażenia kogoś, kto dręczył innych dla przyjemności.

Cóż, nikogo nie biłem ani nie męczyłem, po prostu chciałem się jak najbardziej dopasować do reszty dzieciaków. Drużyna futbolowa... wie pan, jak to jest.

Nie wiem.

Chłopaki z drużyny naśmiewały się z mniej wysportowanych kolegów. Czepiały się ich, kiedy tylko mogły. Wiedziałem, że to nie w porządku, ale nie miałem dość odwagi, by zareagować. Nie stawałem w obronie słabszych, a chyba powinienem.

Był pan nastolatkiem. Nie ma sensu oceniać się według kryteriów dorosłych.

Być może. Wie pan, nie mam z tego powodu jakichś koszmarów. Po prostu zapytał pan, dlaczego... Pomyślałem, że ... Dobra, nieważne. Jestem przekonany, że znajdziemy wspólny język, gdy lepiej się poznamy. Mogę pana o coś zapytać?

Oczywiście.

Dlaczego to robimy?

Czyżby artefakty zostawione na Ziemi przez starożytną obcą cywilizację nie były warte pańskiego zainteresowania?

Ale dlaczego akurat my? Rozumiem wagę odkrycia i to, dlaczego Rose w tym uczestniczy, ale po co angażować wojsko?

Przede wszystkim to nie jest wojskowa misja. Dla armii pan i panna Resnik uczestniczycie w szkoleniu. Odpowiadając na pańskie pytanie – uważam, że odkrycie tego formatu może mieć reperkusje, z którymi naukowcy niekoniecznie sobie poradzą. Widział pan, co się działo w Turcji. Trzeba było zapanować nad tłumem, wywieźć znalezisko, załatwić sprawę z miejscowymi władzami. Uważam, że najlepiej nadają się do tego ludzie z doświadczeniem wojskowym.

Sądzi pan, że to, czego szukamy, może mieć zastosowania militarne?

Nie jest to dla mnie najważniejsze. Uważam, że dzięki temu odkryciu możemy się wiele dowiedzieć. Ale tylko czas pokaże, czy ma to jakiś związek z wojskiem. Jakkolwiek by było, jestem przekonany, że dzięki panu i pannie Resnik projekt ma większe szanse powodzenia.

Dziękuję, sir. Nie chciałbym po prostu się dowiedzieć, że byłem częścią czyjegoś tajnego planu.

Myśli pan, że powiedziałbym panu, gdyby pan był?

Nie, zapewne nie.

A zatem proszę się nie martwić, panie Mitchell,

wszyscy uczestniczymy w tym dla wyższego dobra.

DOKUMENT NR 31

DZIENNIK OSOBISTY STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

Zabiliśmy dzisiaj dziecko. Zabiliśmy małą dziewczynkę!

Powinniśmy to przewidzieć. W którymś momencie to musiało się zdarzyć. Historia z autostradą powinna być ostrzeżeniem, ale tak bardzo pochłaniało nas poszukiwanie kolejnego kawałka. Łatwo zapomnieć, że kiedy zakopywano tę czy inną część, dookoła rosły tylko lasy i wznosiły się skały. Mieliśmy wielkie szczęście, że pierwsze cztery artefakty były tam, gdzie były. A teraz ta dziewczynka nie żyje! Wszyscy nie żyją!

A tak bardzo się cieszyliśmy. Szło nam doskonale, posuwaliśmy się naprzód szybciej, niż planowaliśmy.

Do tego to był taki piękny dzień. Wstałam wcześniej niż zwykle i już z samego rana poszłam do laboratorium. Ponieważ latamy w nocy, rzadko mamy okazję spotkać się z doktor Franklin i innymi członkami zespołu w laboratorium. Tymczasem wszyscy tam byli; rozmawialiśmy parę godzin, wymienialiśmy się anegdotami i opowiadaliśmy sobie nawzajem o pracy.

Wyszliśmy z Mitchellem jakieś wpół do jedenastej. Pojechaliśmy do bazy przygotować plan lotów. Potem poleciliśmy prosto do bazy

lotniczej Nellis niedaleko Las Vegas. Oko dokuczało mi mniej, niż się spodziewałam. Już nie boli, ale po paru godzinach zaczyna łzawić. W nocy jest lepiej, ale to był długi lot za dnia, więc trochę się niepokoiłam.

W Nellis zdrzemnęliśmy się parę godzin i ruszyliśmy dalej. Celem była północna Arizona. Tak daleko od bazy jeszcze się nie zapuszczaliśmy. To był długi dzień, cieszyliśmy się jednak, że przelecimy nad Wielkim Kanionem, żadne z nas go nigdy nie widziało. W nocy z naszej wysokości niewiele byśmy zobaczyli, ale i tak to wydawało się fajne, jak międzylądowanie w Paryżu. Nie opuszczasz lotniska, ale przecież jesteś w Paryżu.

Nic nie zakłócało lotu prawie do samego końca. Lecieliśmy na zachód przy południowej krawędzi Kanionu, kiedy po lewej zauważyłam migoczące światła. Inne niż wtedy, gdy znajdowaliśmy poprzednie części. Plama białych świateł. Była już tam wcześniej, ale ani ja, ani Mitchell nie zwracaliśmy na nią uwagi. Środek turkusowy, a dookoła migają światła. Służyłam w Iraku. Wyglądało to tak, jakby ktoś zrzucił bombę na miasto. Sprawdziłam na mapie. Flagstaff.

Zanurkowałam i ruszyłam na południe ku turkusowemu punktowi. Nadlatując, widzieliśmy dokładnie miejsce katastrofy. Artefakt – z góry wyglądał jak górna część ramienia – zniszczył całe osiedle. Niektóre domy po bokach były rozerwane na pół. Słupy elektryczne powywracały się; strzelały iskry. Wiele pozostałych budynków płonęło.

Wylądowałam na parkingu przy restauracji jakieś trzy ulice dalej. Pognaliśmy w stronę pożaru. Półnadzy ludzie uciekali w przeciwną stronę. Panował chaos. Nie dotarła jeszcze ani straż pożarna, ani nasza grupa ratownicza. Część mieszkańców zdążyła opuścić swoje domy, zanim się zawaliły. Biegali w popłochu po ulicach, starając się nie nadepnąć na kable. Z wielkiego krateru, jaki pozostał po dwóch sporych domach, bił znajomy blask.

Nagle nie wiadomo skąd pojawiła się kobieta w koszuli nocnej.

Chwyciła mnie kurczowo za ramię. – Amy! Amy! – krzyczała, ciągnąc mnie w stronę krateru. – Była u siebie w pokoju! Amy była u siebie w pokoju!

Od frontu dom wyglądał normalnie, ale tylnej połowy brakowało. Jak w domku dla lalek – widziałam każde pomieszczenie, każdy mebel. Pokój dziewczynki był na skraju, a właściwie już go nie było... Mitchell odciągnął ode mnie kobietę, z całych sił starał się nad nią zapanować. – Amy nie żyje – powiedział. – Nie żyje.

Lej był pełen błota i gruzu. Gdzieś musiała pęknąć rura wodociągowa. Z pobojowiska wystawały słupy telefoniczne, kawałki muru. Widzieliśmy przód samochodu. Wszystko to zmieszane z brudną breją i kamieniami. Nie było nawet jak szukać tych, którzy mogli przeżyć.

Na skraju leja stał pies, bernardyn, nie szczeniak, ale młody. Stał i czekał na kawałek gruzu. Dużo psów czekało, ten jednak upatrzył sobie akurat to miejsce. Coś wyraźnie go przyciągnęło, choć na pierwszy rzut oka nic takiego tam nie było. Tylko błoto, jakieś ubrania, kuchenka mikrofalowa.

Zostawiliśmy krater i przepatrzyliśmy kilka sąsiednich domów stojących na skraju. Nic.

Tylko osiem osób zginęło tej nocy. Tak mi powiedziano. Większość opuściła domy, gdy ziemia zaczęła się trząść. Tylko osiem... Nacisnęłam guzik pięć kilometrów nad ziemią i zabiłam osiem osób, zwykłych ludzi, którzy niczym sobie na to nie zasłużyli. Musieli tak bardzo się bać.

Mówią mi, że nie mogłam nic zrobić, żeby ich uratować. To nieprawda. Trzeba było tam nie lecieć. Nie musieliśmy tego robić. Mogłabym powiedzieć, że tylko wykonywałam rozkazy, ale to zbyt łatwe. Poleciałam. Jestem odpowiedzialna.

Wszyscy jakoś się z tym pogodzili, wszyscy oprócz mnie. Okazali mi dużo troski i współczucia, pocieszali. Nie najlepiej radzę sobie z tego rodzaju zainteresowaniem. Wiem, że to nie litość, ale

zazwyczaj to ja troszcę się o innych, a nie oni o mnie.

Mitchell odwiedza mnie tak często, jak mu na to pozwolę, co dla niego ewidentnie nie jest dość często. Naprawdę się przejmuję, widać to po nim. Ale nie chcę z nim o tym rozmawiać. Był tam, tak samo jak ja. To on w gruncie rzeczy nacisnął guzik. Jego też musi zżerać poczucie winy. Ale jeżeli mamy dalej latać razem, musimy odciąć przeszłość grubą kreską.

Od kiedy to się stało, spędzam dużo czasu z doktor Franklin. Chce, żebym mówiła jej po imieniu, ale oczywiście nie mogłabym. Biorąc pod uwagę okoliczności, trzyma się naprawdę dzielnie. To ona to wszystko wymyśliła. Ciężar, jaki dźwiga na swoich barkach, jest pewnie nie do zniesienia.

Przychodzi do mnie codziennie rano przed pracą, czasami zostaje na parę godzin. Świetnie odgrywa rolę starszej siostry. Tylko ona potrafi zrobić tak, że zaczynam myśleć o czymś innym. Co parę dni przynosi mi nową książkę; zwykle to są jakieś gnioty, kiepskie romansidła. Ale ona też je czyta i potem śmiejemy się obie. Mamy w tych sprawach identyczne poczucie humoru. Domyślam się, że jeżeli chodzi o związki, miała mniej więcej tyle samo szczęścia co ja.

Nigdy nie pyta mnie o to, co się stało. Wie, że rozmawiałam o tym z całą resztą zespołu. O niczym innym nie chcą gadać. Nie muszę tysiąc razy powtarzać tego samego, żeby pamiętać. Byłam tam. Zapamiętam to do końca życia. Każdy szczegół; w co ludzie byli ubrani; obrazki na ścianach rozwalonych domów. Doktor Franklin to rozumie. Jestem jej za to wdzięczna. Nie wiem, czy dałabym sobie radę, gdyby nie ona.

Wciąż wierzy, że może wyniknąć z tego coś dobrego. Czuję to. Na początku myślałam, że kieruje nią wyłącznie naukowa ciekawość, ale teraz rozumiem, że chodzi o coś więcej. Ona naprawdę sądzi, że zdobędziemy wiedzę, która przysłuży się ludzkości. Miło widzieć u kogoś ten rodzaj wewnętrznego przekonania po takiej tragedii. Zaskoczyła mnie.

Skoro mowa o niespodziankach – wczoraj odwiedził mnie Vincent. Nie spodziewałam się tego, bo ledwie się znamy. Wpadł dosłownie na chwilę, ale przyniósł mi prezent, jak to nazwał. Kartę podarunkową do Home Depot, wartą dwadzieścia pięć dolarów. Uśmiełam się do łez. I pewnie o to chodziło. Potem od razu pożegnał się i zniknął. Cały dzień spędza sam w odrębnym pomieszczeniu, tak że nigdy nie mamy okazji porozmawiać.

Doktor Franklin powiedziała mi, że udało się złożyć nogę i to nie jest to, czego się spodziewaliśmy. Kolano zgina się w odwrotną stronę. Noga ma dodatkowy staw, więc nadal szukamy odcinka nad udem. Podobno to przypomina tylną nogę konia. Nie mogę się doczekać, żeby ją zobaczyć, ale jeszcze nie jestem gotowa do powrotu.

I to widać. Ryan mówi, że nasz anonimowy przyjaciel pytał go, czy dałby radę przejąć dowodzenie. Ryan nie był zachwycony pomysłem, ale odparł, że to zrobi, jeżeli ja się zgodzę. Powiedział, że jeżeli chcę, znajdą mi robotę na ziemi, wszyscy zrozumieją.

Jak miło z ich strony. Ryan to taki harcerzyk, nie wie nawet, kiedy go wykorzystują. Czuję, że mamy do czynienia z kimś, kto łatwo nie ustępuje. Gdyby przyszło co do czego, myślę, że nasz „przyjaciel” prędzej przystawi mi pistolet do głowy, niż pozwoli odejść.

Zresztą co niby miałabym robić? Udawać, że nic się nie stało? Nawet nie mogłabym o tym z nikim porozmawiać. To zabrzmiałoby cholernie samolubnie, ale obawiam się, że zanudziłabym się na śmierć, gdyby nie wybuchła trzecia wojna światowa albo coś w tym rodzaju. Kto po czymś takim zgodziłby się wozić skrzynki z jednej bazy do drugiej? Poza tym muszę wiedzieć. Jak można zacząć coś takiego i nie poznać zakończenia? Chybabym oszalała.

Właśnie zdałam sobie sprawę, że nasze osobiste zapiski kopiuje się na serwer. Naprawdę bym się zdziwiła, gdyby okazało się, że „wiadomo kto” ich nie czyta. Hej! Dupku! Muszę ci powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, nie rób tego. Po drugie, wybrałeś mnie

przecież z bardzo określonego powodu. Nie musiałeś decydować się na niesubordynowaną dziewczynę z uszkodzonym okiem. Ja nigdy w życiu nie odpuściłam. Niewiele dowiedziałeś się z tego swojego głupiego testu, jeżeli sądzisz, że kiedykolwiek mogłabym to zostawić.

Tak jak powiedziałam, potrzebuję trochę czasu, żeby się ogarnąć, ale musimy skończyć to, co zaczęliśmy. Ta dziewczynka, ci wszyscy ludzie... Musimy doprowadzić sprawę do końca.

DOKUMENT NR 33

ARTYKUŁ PRASOWY REPORTERKA CATHERINE MCCORMACK, „THE ARIZONA REPUBLIC”

SZOK W FLAGSTAFF – OSIEM ŚMIERTELNYCH OFIAR WYBUCHU BOMBY

Wczoraj w nocy w Flagstaff kilkanaście domów uległo zniszczeniu, gdy eksplodowała bomba przygotowywana przez niedoszęłego zamachowca, jak twierdzą władze.

W wybuchu zginęli: terrorysta, Owen Lehman, jego piętnastoletni syn i sześć innych osób.

Lehman, któremu w 2012 roku odmówiono przyznania renty inwalidzkiej, od jakiegoś czasu wysyłał do władz listy utrzymane w coraz bardziej agresywnym tonie. „W tych listach były zawarte groźby karalne. Traktowaliśmy je poważnie” – powiedział agent Robert Armstrong z biura FBI w Phoenix. „Pierwiastki śladowe, a także odłamki znalezione na miejscu zdarzenia pozwalają domniemywać, że Lehman budował dużą bombę, która przypadkowo eksplodowała”. FBI obserwowała Lehmana od kilku miesięcy, ale nie miała dość twardych dowodów, by go aresztować. „Oczywiście szkoda, że nie wiedzieliśmy wtedy tego, co wiemy dzisiaj” – powiedział agent Armstrong. – „Sądzymy jednak, że celem zamachu był budynek ubezpieczalni przy Woodlands Village Boulevard”.

Zapytany o brak zniszczeń spowodowanych przez ogień, Armstrong odpowiedział: „Na skutek wybuchu pękły rury wodociągowe biegnące bezpośrednio pod domem Lehmana. Powstało błotniste osuwisko, które pochłonęło gruzy, przez co ogień się nie rozprzestrzenił. Mieliśmy szczęście. Mogło być dużo gorzej”.

Mieszkająca w pobliżu Clarissa Parlow powiedziała, że Lehman był lubiany przez sąsiadów. „Spokojny człowiek. Wydawał się nieśmiały. Jak widać, pozory mylą”.

Śledztwo jest w toku. Gubernator Udell odwiedzi dzisiaj miejsce zdarzenia i wygłosi oświadczenie dla prasy.

DOKUMENT NR 34

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Miejsce: Biały Dom, Waszyngton, D.C.

Nie wiem, co pan sobie wyobraża, ale to biuro prezydenta, a nie jakaś podkomisja, gdzie może pan łącać, żeby pozyskać fundusze. Jak, do cholery, NSA mogła do czegoś takiego dopuścić?

Nie mieli tu nic do powiedzenia.

Cóż, jeżeli nie mieli tu nic do powiedzenia... Czy ja w ogóle chcę wiedzieć, jak pan ich przekonał, żeby się na to zgodzili?

To nie tak, że oni się na coś zgadzali albo nie. Po prostu... nie mieli tu nic do powiedzenia. Uznałem, że nic nie zyskamy na ich dalszym udziale. Nie wiem, jak w ogóle stali się częścią tego projektu. Zajmują się kryptologią. Analizują rozmowy telefoniczne. Gigantyczne artefakty pozostawione przez obcą cywilizację to nie ich działka. Jeżeli będziemy chcieli porozmawiać o tym projekcie przez telefon, wtedy poproszę NSA.

Miło, że ma pan tyle szacunku do naszych agencji rządowych. Jedno pytanie. Kim pan jest, żeby dyktować NSA, co ma robić, a czego nie? Zresztą nieważne. Po prostu: kim pan, u diabła, jest?

Darzę Narodową Agencję Bezpieczeństwa dużym szacunkiem. Głęboko poważam również swojego dentystę i księgowego. Ale ich nie prosiłem, żeby kierowali naszym zespołem badawczym.

Nie odpowiedział pan na pytanie.

A co panu powiedziano, kiedy przyjął pan tę robotę?

Nic! Powiedziano mi, żebym w miarę swoich możliwości współpracował z panem w interesie bezpieczeństwa narodowego. I zdaje mi się, że osiągnąłem kres tych możliwości.

Mógłby pan przespać się z tym tematem, jak to mówią, w interesie bezpieczeństwa narodowego.

Spowodowałeś śmierć ośmiu osób, sukinsynu! Przez ciebie zginęło ośmioro obywateli amerykańskich – w tym dziecko, na miłość boską! Sześcioletnia dziewczynka z niebieskimi oczami i rudymi lokami.

Czułby się pan choć trochę lepiej, gdyby miała włosy innego koloru?

Jej twarz pokazują wszystkie stacje telewizyjne w kraju.

To był nieszczęśliwy wypadek. Chciałbym móc zapewnić, że nie do przewidzenia, ale to nie byłaby do końca prawda. Ryzyko znalezienia kolejnej części w gęsto zaludnionym terenie uznaliśmy za niskie. Mieliśmy plan awaryjny i przeprowadziliśmy go bezbłędnie. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby opanować sytuację.

Świetna robota! Żołnierze wpychają płaczącą kobietę do ciężarówki. W CNN to wyglądało naprawdę imponująco.

Mamy przykrywkę.

Tak, wiem. Czytałem! Przypadkowa eksplozja bomby klecanej przez domorosłego terrorystę. Cudowne. Stawiacie cały kraj w stan gotowości, żeby ukryć tę waszą rzeźbę. A co z rodziną tego człowieka? Jego krewni będą zachwyceni, gdy się dowiedzą, że wujek Owen był zamachowcem. To nie zabawa.

Obaj wiemy, że nie zrobiłem nic, czego amerykański rząd nie robiłby w przeszłości wiele razy. I chociaż może pan być zbyt arogancki, żeby to potwierdzić, wasze poparcie w sondażach skoczy o dwadzieścia punktów dzięki tej sprawie. Och, proszę tak na mnie nie patrzeć. Ma pan liczne talenty, ale aktor z pana kiepski. Do wyborów został niecały rok. Ilu prezydentów przegrało wybory w sytuacji kryzysowej? Naprawdę powie mi pan, że o tym nie myślał? Nawet przez chwilę?

Może pan się przyznać. Nie spowodował pan tej tragedii i nie ponosi pan odpowiedzialności za śmierć dziewczynki. Nie widzę powodu, dla którego miałyby się pan wstydzić, że na niej skorzysta.

I gwoli ścisłości – to nie rzeźba. Raczej rodzaj pojazdu.

W raporcie nie było nic, co sugerowałyby, że...

Pański raport może być ciut nieaktualny. Przyjąłem, że niekoniecznie wszystkie części znajdziemy na terytorium Stanów Zjednoczonych, dlatego stworzyłem drugi zespół, żeby dronami rozpylić substancję nad resztą świata.

To jakieś szaleństwo. Kiedy to było?

Około pół roku temu.

Pół roku?! Ależ cały projekt ma niewiele więcej!

Po co odwlekać nieuniknione? Zaczęliśmy od Arktyki, bo jest prawie niezaludniona. Pod lodem na Wyspie Ellesmere'a znaleźliśmy coś, co wyda się panu interesujące.

A nie sądzi pan, że powinniście najpierw porozmawiać na przykład ze mną, zanim popełniście taką głupotę?

Drogi panie Woodhull. Niezmiernie miło mi się z panem rozmawia. Zapewniam, że zgłosiłbym się do pana bez wahania, gdybym choć przez chwilę przypuszczał, że to konieczne.

Idź pan do diabła... A co Kanadyjczycy na to, że została naruszona ich suwerenność?

Praktycznie się nie zorientowali. Tak ich martwi spór terytorialny z Duńczykami w tamtej okolicy, że pewnie z radością powitaliby naszą obecność.

Znaleźliśmy tułów. Jest duży, ogromny. Na pierwszy rzut oka niewiele się różni od pozostałych części, ale z tyłu ma niewielki właz. W środku znajduje się obszerne pomieszczenie, które wygląda jak sterownia.

Czyli to coś potrafi się poruszać? Jak robot?

Tak przypuszczamy. Żeby to potwierdzić, musimy znaleźć pozostałe części.

W porządku. Tego się nie spodziewałem, ale z drugiej strony mamy sporo maszyn, które potrafią poruszać się na lądzie, w wodzie, w powietrzu, nawet w przestrzeni kosmicznej. Czy ta posiada jakieś zdolności bojowe?

Dowiemy się, gdy zbierzemy wszystkie kawałki. Tak jak wspomniałem, musimy rozszerzyć poszukiwania poza obszar Stanów Zjednoczonych.

Ile krajów bierze pan pod uwagę?

To znaczy?

Chyba zadałem proste pytanie. Ile krajów?

Wszystkie oczywiście.

Zreasumujmy. Chce pan zgody prezydenta na naruszenie przestrzeni powietrznej każdego kraju na świecie, żeby wszędzie rozpylić radioaktywną substancję, w nadziei na znalezienie części gigantycznego robota pozaziemskiej konstrukcji. To wszystko?

Nie, nie wszystko. Prezydent musi być gotowy na dużo więcej. To załedwie początek. Jest niezwykle istotne, żeby jasno zdawał sobie z tego sprawę.

Latanie bez pozwolenia nad innymi krajami to drobiazg. Jeżeli odpowiednio do tego podejziemy, to nawet się nie zorientują. Ale jeżeli te loty odniosą skutek – a wcześniej czy później tak się stanie – to kolejne części ciała zaczną wyłaniać się na powierzchnię. Jedne pojawią się na pustkowiu, ale inne w miejscach bardziej kłopotliwych. Z impetem, który spowoduje duże szkody. Przejął się pan tym, co się stało w Flagstaff? To proszę sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądało w centrum Londynu albo Paryża.

A na placu Czerwonym w Moskwie? Zginie więcej niż osiem osób, dużo więcej. Ofiary będą równie niewinne jak te z Flagstaff. Kolejne małe dziewczynki z rudymi lokami.

Co najważniejsze, moi ludzie nie zawsze zjawią się na miejscu odpowiednio szybko, by zabezpieczyć poszczególne części, co oznacza, że wpadną one w ręce innych. Tamci nie będą wiedzieli, co to takiego, ale szybko się zorientują, że coś wartego ich uwagi. Najpewniej nie będą też zachwyceni, że ich dzieciaki zostały pogrzebane pod gruzami.

Te części trzeba będzie odzyskać. Najpierw ładnie poprosicie. Jedni się zgodzą, inni nie.

Co wtedy? W tym momencie będziecie już mieli sporo krwi na rękach. Czy na tym poprzestaniecie? Musicie zadać sobie pytanie: „Co jestem gotów zrobić”? Jeżeli pan i prezydent nie czujecie się gotowi iść na całość, wiedzcie, że są inni gracze w tej grze, którzy wcale nie muszą mieć takich zahamowań.

Proszę mi nie grozić. Nigdy. Może mieć pan wystarczająco mocne plecy, żebym musiał pana słuchać, ale jeżeli jeszcze raz mi pan zagrozi, to sprawię, że resztę życia spędzi pan w jakimś trzeciorzędym kraju, podtapiany dziesięć razy dziennie. Ja też mam znajomości. Czy wyraziłem się jasno?

Jak zawsze, drogi Robercie, jesteś uosobieniem klarowności. A pomijając puste groźby, mój argument pozostaje w mocy. Jeśli nie obejmujemy zasięgiem reszty świata, nie zakończymy tego projektu powodzeniem. Proszę pamiętać – powinien pan to wywnioskować z mojego raportu: te artefakty ukryto trzy tysiące lat temu. Wszystkie granice, o które tak się pan martwi, to tylko

kreski na mapie. Żadna z nich nie istniała przed trzydziestoma wiekami.

Rozumiem, że byłoby o wiele dogodniej wykopać je wtedy. Co nie zmienia faktu, że pomysł naruszenia przestrzeni powietrznej wszystkich krajów na świecie, przyjaznych i nie, to szaleństwo. Chyba że potraktuje pan ich przywódców tym samym przemówieniem o kreskach na mapie. Wtedy na pewno nas wpuszczą.

Może pan szydzić, ile dusza zapragnie. Ale ostatecznie i tak zda pan sobie sprawę, że trzeba to zrobić. Może się to panu nie podobać – mnie się nie podoba – ale innego wyjścia nie ma.

Czy doktor Franklin wie o tym?

Jeszcze nie. Pomyślałem, że pan będzie wolał wiedzieć pierwszy.

O pustym tułowiu czy o drugim zespole?

O jednym i drugim.

No nie, naprawdę... Nie powiedział jej pan o drugim zespole? Będzie zachwycona, gdy się dowie.

To nie pańskie zmartwienie.

Pewnie ma pan rację. Chcę, żeby jej pan powiedział – o tułowiu. O drugim zespole i tak będzie musiał ją pan poinformować. Wścieknie się. Niech pan jej każe wydedukować, jak to coś działa i co można z tym zrobić. Nie obchodzi mnie, czy będą musieli w tym celu pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, mają to zrobić. Potem chcę z nią porozmawiać. Panu nie ufam w tej sprawie za grosz. Jeżeli – powtarzam: jeżeli – doktor Franklin zapewni mnie,

że zdoła uruchomić to cholerstwo, dostaniecie pełne poparcie rządowe. Jeżeli powie, że nie da rady... Cóż, niech pan jej uświadomi, że w interesie wszystkich stron leży to, żeby dała radę.

Chce pan, żebym jej groził.

Chcę, żeby ona i wszyscy zaangażowani w ten projekt – w tym pan – zrozumieli, że im bardziej podbijemy stawkę, tym trudniej będzie nam się wycofać.

A więc mam jej grozić.

Mówi pan to tak, jakbym był gotów ją zabić.

A jest pan?

Nie! Po co niby miałbym to robić? Sugerowałem jedynie, że jeżeli się nie sprawdzi, to wymienimy ją na kogoś innego.

Nie sądzi pan, że już się sprawdziła?

Owszem, sprawdziła się. Ale jeżeli nie ona, to ktoś inny doprowadzi sprawę do końca. Powinna być tego świadoma. Nie mówię, że zwalniamy ją już teraz, ale niech wie, że istnieje taka możliwość. To samo odnosi się do pana.

Nie odnosi się, ale rozumiem, dlaczego może pan tak myśleć.

Co to niby znaczy?

Gdyby pański pracownik miał odejść za sześć miesięcy, jak dużą odpowiedzialność byłby pan gotów mu powierzyć?

Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

Pracuje pan dla kogoś, kto może stracić posadę po czterech latach, a po ośmiu musi ustąpić. Zwracam jedynie uwagę, że istnieje wiele spraw wagi państwowej, które wymagają bardziej długoterminowego zaangażowania.

Z pewnością wspomnę o tym prezydentowi.

CZĘŚĆ DRUGA

POŁAMANIA NÓG

DOKUMENT NR 37

WYWIAD DR ROSE FRANKLIN

Miejsce: kompleks podziemny, Denver, stan Kolorado

Zdecydowanie dziewczyna! Byłam wniebowzięta, kiedy przywieziono nam jej tułów. Piersi ma stosunkowo nieduże, ale i tak większe od mojego samochodu. Wspaniała... W swoich czasach musiała być obiektem zazdrości wszystkich gigantycznych koleżanek.

Jeszcze nie widziałem tułowia.

Musi go pan zobaczyć. Klatka piersiowa i środek brzucha są gładkie. Myślę, że ma na sobie rodzaj zbroi, jak Amazonki. Po bokach, pod masywnymi żebrami, biegną dwie grube turkusowe arterie. Tak jakby jej anatomia była częściowo odsłonięta. Z plecami jest zrosnięta mocna osłona w kształcie litery V, sięgająca aż do talii. Niezwykłe, robi wielkie wrażenie.

Doceniam pani oko do szczegółów. Sam nie jestem ślepy na estetyczne walory urządzenia. Niektóre części są rzeczywiście intrygujące. Swoje uznanie dla tego konkretnego kawałka wyraża pani niezwykle elokwentnie.

Kawałków. Pierś i brzuch to oddzielne części. Tyle że były połączone, kiedy je znaleźliśmy.

Dziękuję za sprostowanie. Chodziło mi raczej o to, żeby skupić się na ich funkcjonalności.

Tak jak powiedziałam, musi je pan zobaczyć. Nie może pan pytać o Kaplicę Sykstyńską i spodziewać się, że nie wspomnę o sklepieniu. Estetyka nie jest tu jedynie kwestią uboczną, odgrywa równie ważną rolę jak wszystko inne. Kiedy się patrzy na ten artefakt, widać, że zbudowano go po to, by onieśmielał. Każdy, kto przed nim stanął, miał czuć jednocześnie podziw i lęk. Forma wynika z funkcji.

Że życie jest rozpoznawalne w swej ekspresji. Że forma zawsze wynika z funkcji. Takie jest prawo.

Kto to powiedział? Frank Lloyd Wright?

Jego nauczyciel. Przepraszam za swoją niepotrzebną uwagę. Nie powinienem kwestionować pani osądu.

Nie ma sprawy. Trochę mnie poniosło. Ale tułów jest wspaniały, i bardzo duży.

Jak duży?

Bardzo duży. Ogromny. Wielkości pięciopiętrowego budynku. Musieliśmy zorganizować przeprowadzkę.

Tak, to niezwykle miejsce. Od razu zgubiłem się w tunelach. Minęło dwadzieścia minut, zanim strażnik mnie znalazł i przyprowadził tutaj.

To miejsce było wcześniej zupełnie puste. Gdy się przekroczy próg, środki bezpieczeństwa stają się dość iluzoryczne.

Co może mi pani powiedzieć o tym kompleksie?

Nazywają go Arką. Znajdujemy się dokładnie pod lotniskiem Denver International. Kompleks zbudowano w latach zimnej wojny jako alternatywne centrum dowodzenia na wypadek konfliktu atomowego. Znajduje się tu również zakwaterowanie dla pięciu tysięcy osób i największy na świecie podziemny magazyn.

Brzmi jak opis bazy Cheyenne Mountain[6].

Mniej więcej. Tyle że Cheyenne Mountain, znane z dziesiątków filmów, byłoby zapewne na samym szczycie listy celów i mogłoby nie przetrwać ataku przeprowadzonego za pomocą nowoczesnych głowic. Więc pod koniec lat osiemdziesiątych zbudowali to miejsce jako centrum dowodzenia i schron.

Udostępniono nam część powierzchni magazynowej o powierzchni blisko hektara. Wysokość do sufitu: sto metrów, więc jeżeli uda nam się złożyć tę postać do kupy, będzie miała gdzie chodzić; bo teraz wiemy, że chodzić umie.

Oprowadzi mnie pani później. Zakładam, że znaleźliście otwór.

Tak, w górnej części pleców, między łopatkami mieści się właz. Wyżłobiono przy nim ledwo dostrzegalny odcisk dłoni, który reaguje na ciepło ciała. Gdy się go dotknie, odsuwa się właz. Oczywiście pan to wszystko wie, bo pańscy ludzie byli już w środku.

Wyczuwam w pani głosie nutę zawodu.

Nie wiem, czy to zawód, ale najpierw słyszę, że ja kieruję projektem. Potem się dowiaduję, że pańscy ludzie rozpylają moją substancję nad Arktyką, chociaż nic o tym nie wiem. Więc nie, nie jestem do końca zadowolona i zastanawiam się, co jeszcze pan

przede mną ukrył.

Chciałem, żebyście najpierw zakończyli poszukiwania na terenie Stanów Zjednoczonych. Pewnie mogłem powiedzieć to pani wcześniej. Mówię teraz. Nie kieruje już pani poszukiwaniami. Wciąż podlega pani cała reszta.

Chcę, żeby skupiła się pani na uruchomieniu urządzenia. To bliższe temu, czym się pani zajmuje i w czym osiągała największe sukcesy. Wolałbym nie musieć tego przypominać, ale nie jest pani strategiem wojskowym. Pierwsza przeszkoda i omal wpadła pani w popłoch. Proszę mi uwierzyć, kiedy znajdziemy się nad terytorium innych państw, zrobi się naprawdę gorąco.

Tak naprawdę nie obchodzi mnie, czy kieruję poszukiwaniami, czy nie. Ale oczekuję szczerości. Nie prosiłam o nic, od kiedy zaczęliśmy ten projekt. Robię to teraz. Proszę być ze mną szczerym.

Postaram się o tym pamiętać. A teraz niech mi pani jeszcze opowie o tułowiu.

Po otwarciu wjazdu ukazuje się niewielki tunel, jakieś metr dwadzieścia po przekątnej – prowadzi do kolejnych niedużych drzwi z podobnym odciskiem dłoni; są zrobione z materiału, którego nie potrafię zidentyfikować. Tamtędy dochodzi się do kulistej komory o średnicy około dziewięciu metrów. To jakieś trzydzieści stóp.

Znam system metryczny. Dziękuję.

Komora obraca się wewnątrz tułowia w zależności od jego nachylenia. Działa na zasadzie żyroskopu. Cudownie prosta konstrukcja. Kula jest cięższa na dole i zanurzona w płynie. Reszty dokonuje przyciąganie ziemskie. Ciało się przechyliło, kula pozostaje w tym samym położeniu. Jest półprzezroczysta. Przez mleczną

substancję, w której pływa, widać ciemny metal. Wnętrze lekko oświetlone, chociaż nie widać żadnego źródła światła. Jakichkolwiek okien brak.

Podłoga komory jest płaska, podzielona na dwa stanowiska w kształcie półksiężyca. Tylne znajduje się wyżej o jakiś metr względem przedniego i ma schodki po bokach. Komora zdaje się przeznaczona dla dwóch osób, dwóch pilotów. Wolę nazywać ich animatorami. Analogia z marionetką wydaje się trafniejsza, bo tak naprawdę to nie jest statek.

Górne stanowisko wygląda bardzo minimalistycznie. Z sufitu zwiesza się belka, do której są podwieszane dwie rzeczy: czarny hełm – taki jak motocyklowy kask, z przyciemnianą osłoną na oczy – i coś, co przypomina zbrojony gorset. Ma metalowe klamry, które zapinają się na przedramionach i ramionach, oraz przeguby w miejscu barków i łokci. Do tego szeroka klamra na piersi. Na końcu ramion są jakby rękawice. Na wprost stoi metalowa walcowata kolumna, wysoka na niecały metr.

Ustaliła pani jej przeznaczenie?

Nie mamy pojęcia, do czego służy, ale tak naprawdę niczego jeszcze nie próbowaliśmy.

Dolne stanowisko jest bardziej skomplikowane. Znajduje się tu półokrągła konsola, jakieś dwa metry szerokości, z wrytymi symbolami – jest ich ponad dwadzieścia. Część z nich to te same esy-floresy co na bocznych płytach w komorze z dłonią, innych nigdy dotąd nie widzieliśmy. Przed konsolą, gdzie spodziewalibyśmy się siedziska, widać płytkie okrągłe wgłębienie, zaledwie na centymetr, wypełnione mleczną cieczą – bardzo gładką, jedwabistą, jak płynny teflon. Pośrodku z podłogi wystaje trzpień wysoki może na metr. Do niego jest przymocowany kolejny czarny hełm oraz zestaw szyn na nogi, ze strzemionami – to zwisa około dwóch centymetrów nad poziomem cieczy.

Wyglądałoby na to, że jedna osoba obsługuje ramiona i korpus, a druga nogi oraz konsolę. Tutaj robi się ciekawie.

Najpierw proszę mi powiedzieć, czy zdecydowaliście już, kto czym będzie sterował.

Jeszcze nie... Dolne stanowisko odpowiada za ruch i funkcje konsoli, więc byłoby rozsądnie, żeby zajęła się nim Kara. Z drugiej strony nogami może być trudniej poruszać z czysto siłowego punktu widzenia, a Ryan to kawał chłopca. Sądzę, że wypróbujemy obie możliwości i zobaczymy, która się lepiej sprawdza.

Więc o co chodzi?

Jak to: o co?

Powiedziała pani: „Teraz robi się ciekawie”. Ironia nie jest moim ulubionym trybem komunikacji, ale potrafię ją rozpoznać. Rozumiem, że chciała mi pani przekazać jakieś złe wieści.

Szyny nożne nie pasują na człowieka. Zaprojektowano je dla kogoś o stawach zbudowanych tak jak u samego robota. Zawsze zakładałam, że istoty, które go stworzyły, przynajmniej wyglądały podobnie jak my. Jeżeli nie były ludźmi.

Czy to będzie problem dla pilota?

Może nie wyraziłam się jasno. Kolana zginają się w odwrotną stronę! Więc tak, to jest problem, chyba że znajdziemy naprawdę inteligentnego strusia, żeby obsługiwał nogi. Trzeba wymyślić sposób dostosowania tych urządzeń do naszej anatomii.

A co z konsolą? Czy udało wam się rozszyfrować jakieś symbole?

Nie bardzo. Vincent zerknął na nią, ale teraz wrócił do płyt. Czuje, że łatwiej będzie odczytać te znaki w kontekście, sprawdzając, jak łączą się ze sobą, niż analizować każdy z osobna.

Czuje...? Żałuje pani, że go wybrała?

Dlaczego myśli pan, że...

Dystansuje się pani od jego zdania. To do pani niepodobne. Zwykle docenia pani innych, gdy razem odnosicie sukces, i bierze na siebie odpowiedzialność, gdy oni popełniają błędy. Ta wypowiedź sugeruje, że ma pani wątpliwości.

Momentami. To geniusz, proszę mnie źle nie zrozumieć. Chwyta rzeczy, które wybiegają daleko poza jego specjalizację. Wczoraj wieczorem odbyliśmy ciekawą rozmowę na temat planet pozasłonecznych. On dla rozrywki czyta książki o astrofizyce. Jeżeli ktokolwiek jest w stanie ustalić znaczenie tych symboli...

Mam tylko nadzieję, że jego egotyzm mu w tym nie przeszkodzi. Szanuje mnie, a ja go nawet lubię. Potrafi być trochę szorstki, jeżeli ktoś nie spełnia jego oczekiwań. Odnoszę wrażenie, że od siebie wymaga jeszcze więcej. Obawiam się, że im dłużej to trwa... Udało mu się jednak dogadać z Karą, a to już coś. Dzięki temu nam wszystkim z pewnością pracuje się lepiej.

Czytałem jego akta. Chyba jest wytrwalszy, niż pani myśli.

Czytał pan...?! On ma teczkę?

Pani fryzjer ma teczkę, a widzi go pani raz w miesiącu. Vincent Couture to obcokrajowiec mieszkający w Stanach Zjednoczonych, ze stałym dostępem do informacji zaklasyfikowanych jako ściśle tajne. Ma kilka teczek, i to

grubych.

Mój fryzjer też?

Jak najbardziej. Musi wreszcie złożyć te zeznania podatkowe. Co zaś do pana Couture'a, jeżeli chce go pani zwolnić...

Źle mnie pan zrozumiał. Jestem przekonana, że jeżeli ktoś może rozszyfrować nasze symbole, to tylko on. Ale nie wiem, czy to w ogóle realne. Może nie. To mnie właśnie martwi. Jak to wpłynie na niego. Nie sądzę, by kiedykolwiek miał do czynienia z problemem, którego nie potrafiłby rozwiązać. Jeżeli uzna, że przegrywa, może się załamać.

Nie chcę wydać się bezduszny, ale bez podstawowego zrozumienia symboli nie uruchomimy tej maszyny. To, jak pan Couture reaguje na porażkę, wydaje się raczej mało ważne w obliczu największego odkrycia naukowego wszech czasów. Jeżeli podejrzewa pani, że nie da sobie rady, proszę go natychmiast zwolnić. Jeżeli martwi się pani o jego psychikę, to obiecuję, że wykorzystamy dostępne nam środki, by zapewnić mu niezbędne wsparcie. Trzydzieści godzin terapii nie powinno zbyt ciężko obciążać naszego budżetu.

Po prostu potrzeba mu więcej czasu.

Ma tydzień.

DOKUMENT NR 39

ZAPIS GŁOSOWY Z EKSPERYMENTU STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: kompleks podziemny, Denver,
stan Kolorado**

Tutaj Kara Resnik, zaczynam nagrywanie. Jest dwudziesty września. Godzina... 10.25 rano. Doktor Rose Franklin monitoruje z laboratorium moje funkcje życiowe w trakcie doświadczenia. Halo, pani doktor! Będziemy testować sterowanie wewnątrz urządzenia. Przymocowaliśmy lewą rękę do tułowia i teraz sprawdzimy, czy dam radę nią poruszać. To znaczy, jeżeli uda mi się dotrzeć na miejsce. Wchodzę teraz po schodach, ze stołkiem barowym.

Powinniśmy zbudować do tego windę. Nawet przy samym tułowiu bez nóg to jest kawał drogi. Zwłaszcza że do głowy i klatki piersiowej mam przyklejone rozmaite czujniki. Boję się, że pozrywam przewody. I do tego muszę jeszcze targać ten stołek. Jak będzie pani rozmawiała z naszym przyjacielem, proszę go zapytać, czy w Arktyce nie znaleźli przypadkiem jakiejś gigantycznej drabiny. Jeżeli ktoś jeszcze miałby słuchać tego nagrania, niech wie, że właz w plecach otwiera się jakieś półtora metra nad podłogą. Nie jest to wielki skok, ale żeby zamknąć to przejście albo otworzyć od wewnątrz, trzeba by mieć powyżej dwóch metrów wzrostu. Morał

jest taki: nie wchodzi tam sam albo weź ze sobą wysoki stołek. Aha, i wcześniej nie zapomnij się wysikać.

Zostało mi jeszcze około trzydziestu stopni. Dlaczego to właśnie ja wspinam się po tych schodach? Wiem, jestem operatorką ręki, jedyną operatorką ręki. Ale skoro ten robot nie ma na razie nóg, to może, no wiecie, trochę podzielibyśmy się obowiązkami? Ryan jest dwa razy większy ode mnie, dla niego wnieść taki stołek na wysokość piętnastu pięter to na pewno kaszka z mlekiem.

Ja się nie skarzę. Ja się... wspinam. Dotarłam. Muszę tylko... złapać oddech...

Patrzę na właz. Ci kosmici mają naprawdę... zwyczajne dłonie. Ta tutaj jest trochę większa od mojej, ale mogłaby należeć do każdego z nas. Przykładam dłoń. Czuję, jak lekko wibruje. Może odpowiednio koryguje pozycję włazu w sterowni. Otwiera się.

Prawie doszłam do drugiego włazu. Dlaczego przejście jest takie ciasne? W porządku, otwarty. Muszę tylko... rzucić ten durny stołek na podłogę i... mogę wkraczać.

Dostałam się do sterowni. Jest nadal oświetlona. Światło jest bardzo... przytulne, jak w pokoju z płonącym kominkiem. Zamknęłam wewnętrzny właz. Zeszłam ze stołka i wchodzę na górne stanowisko. Rose, wiem, że według ciebie to wygląda jak gorset, ale powiem ci – całkiem odłotowy. Gdyby pomalować go na czarno, nie powstydziliby się go sam Batman. Wsuwam ramiona...

Palce chyba pasują do rękawic. Chwileczkę... W porządku, weszły. Rękawice są trochę sztywne. Zapinam klamry na ramionach. W rękawicach to nie takie łatwe. Ale pewnie tak musi być. Teraz zatrząskuję dużą klamrę z przodu.

Sprawdźmy, czy mogę się w tym poruszać. Swoboda ruchu w miarę dobra, opór w ramionach i dłoniach minimalny. Z tułowiem trochę gorzej. Mogę się pochylić i dotknąć stóp, ale nie dam rady przykucnąć. Gdy zginam kolana, przewody niebezpiecznie się napinają. Odejść też nigdzie nie mogę. Trudno byłoby podnieść

cokolwiek z podłogi. Nie, cofam to. Głupoty gadam. Moje nogi się nie liczą. Gdy Ryan przykucnie na swoim stanowisku, ja śmiało dosięgnę podłogi... gdziekolwiek ona będzie. Dziwne. Wiem, że wszyscy są podekscytowani, ale zanim opanujemy ten dwuosobowy sposób pilotażu, może minąć trochę czasu.

Oczywiście to będzie nasz najmniejszy problem, chyba że w tym hełmie jest jakiś podgląd czy ekran, bo na razie nic nie widać. Tylko metal. A osłona na oczy wydaje się zupełnie matowa, więc jeżeli nie ma ekranu, to będę ślepa. Użyj Mocy, Luke! Może o to chodzi. Może to ćwiczenie dla rycerzy Jedi – sprawdza, czy potrafisz z zamkniętymi oczami poruszać manekinem ważącym dziesięć tysięcy ton.

Myślę, że to już wszystko przed założeniem hełmu. Wygląda całkiem jak hełm pilota. Zakładam go teraz. Ciekawe, czy...

AAAAAAAARRRRRRRRHHHHHHH...

DOKUMENT NR 41

DZIENNIK OSOBISTY DR ROSE FRANKLIN

Jestem wściekła. Na wszystkich. Na siebie. Nie powinnam eksperymentować z rzeczami, których nie rozumiem, i spodziewać się, że pójdzie gładko. To było głupie. Uprząż nożna nie pozostawiała wątpliwości: tego urządzenia nie zbudowano dla ludzi. Kto wie, co może nam zrobić. Jak śmiałam poprosić Karę, żeby bez obecności ekipy medycznej założyła na głowę hełm, o którym nic nie wiem?

Nadal jest w szpitalu. Mówi, że ból był tak ostry, że w zasadzie natychmiast straciła przytomność. Kiedy tam weszliśmy, zwisała za ramiona w uprzęży; wyglądała jak Chrystus na krzyżu. Hełm się wyłączył. Sanitariusze wydobyli ją dopiero po pół godzinie. Mogła umrzeć tysiąc razy.

Gdy odzyskała przytomność, zupełnie nic nie widziała. Prawie straciliśmy ją drugi raz tego dnia. Wyrwała sobie wenflon z kroplówką i próbowała po omacku wyjść z izolatki. Potknęła się o coś, uderzyła głową w metalową szafkę i znowu straciła przytomność. Osiem szwów na czole.

Na twarzy miała lekkie oparzenia. Lekarze opatrzyli je i obandażowali głowę, żeby zasłonić oczy. Miała nosić ten bandaż przez kilka dni, ale oczywiście zdjęła go po paru godzinach. Mówiła, że swędzi... Lekarze ją ochrzanili, ale bez przekonania. Mieli już z nią wcześniej do czynienia – rutynowe badania, jakieś skaleczenia – więc pewnie byli zaskoczeni, że wytrzymała aż tyle. Ja byłam.

Gdy zajechałam do szpitala, żeby zobaczyć, jak się miewa, w jej pokoju panowało spore zamieszanie. Lekarze przekrzykiwali się, wzywali innych lekarzy. Dziesięć razy pytałam, o co chodzi, ale nikt mnie nie słuchał. Kara cisnęła lampą o ścianę. Wtedy ucichli.

Powiedzieli jej, że ma wyleczone oko. Chyba nie zrozumiała, więc wyjaśnili, że siatkówka w jakiś sposób się naprawiła. Sama nie wierzyłam, ale pokazali nam zdjęcia. Nawet dla laika wszystko było jasne. Dokonał tego hełm. Zapewne wykrył uszkodzenie oka i wszczął procedurę naprawczą. Mam tylko nadzieję, że to ta terapia tak bolała.

Trudno wyrazić, jaką odczuwam ulgę. Karze nic się nie stało. A nawet została uzdrowiona. To jak cud. Więc dlaczego jestem wściekła? Przecież tak się cieszyłam. Wróciłam w te pędy do laboratorium i nałożyłam hełm. Głupie, prawda? Nic się nie zadziało, więc poprosiłam, żeby spróbował Ryan. Potem każdy asystent w laboratorium. Kiedy to nic nie dało, przymierzyliśmy wszyscy po kolei hełm na drugim stanowisku. Po co ryzykować życie jednego człowieka, kiedy ma się kilku ludzi? No i teraz hełm już nie działa. Ten drugi nie działał chyba od początku. Oba są kaput.

Co myślałam? Że wyleczył jej oko? Przecież kosmici mogą mieć jedno duże oko. Albo osiemdziesiąt. Albo oczy muchy, albo w ogóle ich nie mieć... Ten hełm mógł jej rozłupać czaszkę, zniekształcić ją, w coś zamienić. Milion rzeczy mogło się przydarzyć, a większość z nich zapewne by ją zabiła.

Powinnam ją chronić, pilnować, żeby nic jej się nie stało. Posłałam ją tam, a ona mi zaufała. Zaufała mojemu rozsądkowi, temu, że nie rozpocząłabym eksperymentu, gdybym nie była pewna, że nic jej nie grozi. Podobno jestem naukowcem. Teraz już nie wiem, kim jestem.

Jutro zrobią jej rezonans. Dowiemy się, czy są jakieś uszkodzenia mózgu. Gdybym miała choć trochę oleju w głowie, nie pozwoliłabym nikomu wchodzić do sterowni, dopóki nie

zapoznałabym się z wynikami. Teraz już za późno, ale zanim wpuszczę tu Karę ponownie, każę lekarzom porządnie ją przebadać. Zresztą i tak powinniśmy odczekać parę tygodni, bo niektóre objawy pojawiają się z czasem.

Mam ogromną nadzieję, że nic jej nie jest. Nie tylko ze względu na projekt, po prostu nie wybaczyłabym sobie, gdyby coś jej się stało. Zżyłam się z nią. Zżyłam się ze wszystkimi, ale ją naprawdę lubię.

Nie ja jedna. Ryan nie powiedział słowa, a my udajemy, że nic nie widzimy, ale ona oczywiście wie. Ja wiem. Vincent wie. Pewnie już i robot wie. Życzę Ryanowi jak najlepiej – a kto nie? – ale trzymam kciuki, żeby się odkochał. Żeby tylko nie skończyli jako para. Uwielbiam Karę, ale on nie wyszedłby na tym dobrze.

Z drugiej strony trzeba przyznać, że świetnie się dogadują. Trwało to jakiś czas, ale w końcu on nauczył się jej nie narzucać. Punkt dla niego. Całkiem dobrze się uzupełniają. Współpracują bez zgrzytów. Będą musieli, jeżeli chcą wpatrywać się w siebie cały dzień.

Mam więc niekompletnego robota z zepsutym sterowaniem, jednego zakochanego pilota i jedną pilotkę po kontuzji. Nie bardzo wiem, na czym stoimy. Niedziałające hełmy to poważny problem. Czy zdołamy je naprawić? A jeżeli tak, to kiedy? A nawet jeżeli nam się uda, to nie ma gwarancji, że będziemy mogli ich bezpiecznie używać. W końcu nie dla nas je stworzono.

No właśnie – uprząż nożna. Ryanowi naprawdę się z tym niepofarciło. Jego hełm nie działa, a nogi zginają się w złą stronę. Chciałabym je odpowiednio zmodyfikować, ale boję się, że trwale uszkodzę układ sterujący. Jeżeli coś połamamy, nie zdołamy tego odtworzyć. Spróbuję wszystkiego innego, zanim pozwolę tu działać komuś z palnikiem.

Ryan upiera się, że da radę pracować, nawet jeśli nogi zginają się w odwrotną stronę – stanie plecami do konsoli. Będzie musiał chodzić cały czas tyłem. To wariactwo, ale nie mam lepszego

pomysłu, więc pewnie się zgodzę, niech spróbuje. Chodzenie to bardziej skomplikowana sprawa, niż się ludziom wydaje. Stawiamy kolejne kroki podświadomie, ale jeżeli zaczynamy o nich myśleć, pojawiają się trudności. Skomentujcie to, jak ktoś chodzi, a zobaczycie, jak niezgrabnie zacznie się poruszać. To czynność złożona i trudno ją rozbić na czynniki pierwsze.

Jeżeli Ryan nie opanuje ruchów perfekcyjnie, nie uda im się utrzymać robota w stabilnej pozycji. Jest wysoki i wąski, a środek ciężkości będzie naprawdę wysoko. Już teraz konstrukcja wygląda trochę przerażająco, a gdy dołączymy nogi, upadek skończyłby się sporą katastrofą. Całe osiedle albo dwa zostałyby zrównane z ziemią.

Sprowadziłam inżynierów, żeby zrobili symulację komputerową. Sprzężona z oboma stanowiskami sterowniczymi, zacznie przekładać ruchy pilota na komputerowy model robota. Wyniki będzie widać na ekranie. Program bierze pod uwagę masę, prędkość i kilka innych czynników. Zyskamy jaką taką orientację, czy to, co chcemy zrobić, jest w ogóle możliwe.

Jeżeli więc uda nam się bezpiecznie uruchomić hełmy, a Ryan da radę sterować tysiącami ton, chodząc do tyłu, zostanie nam do opanowania konsola. Ryan będzie odwrócony do niej tyłem, więc trzeba wziąć kogoś innego, żeby ją obsługiwał.

Teraz konsola oczywiście nie działa. Vincent nie posunął się ani o krok naprzód w rozszyfrowywaniu znajdujących się na niej symboli, a jej przeznaczenie pozostaje dla nas zagadką. Może to zabrzmieć nieprofesjonalnie, ale myślę, że zajmiemy się tym z marszu. Nie wiemy, jak skomplikowana okaże się jej obsługa. Może będziemy potrzebowali fizyka, może żołnierza, a może mistrza gier komputerowych.

Każde z nas prowadzi dziennik – to taki sposób walki ze stresem. Sama to zaproponowałam. Niestety, na chwilę obecną pożytek z tego pisania jest niewielki. Czy wierzę, że w końcu rozwiążemy wszystkie problemy i uruchomimy tego robota? Lot na Księżyc też

na początku wydawał się niemożliwy. Ale kogo ja oszukuję? Nawet tu, na Ziemi, nasze szanse wyglądają marnie.

Rano mogę być bardziej optymistycznie nastawiona. Tak czy owak, wstanę i pójdę do pracy. Jeżeli zrozumiemy, jak działa ta maszyna, czekają nas rewelacyjne odkrycia. Wiemy już, że potrafi leczyć. Jakie jeszcze skrywa sekrety?

Z drugiej strony napawa mnie to lękiem. Czy jestem gotowa zaakceptować konsekwencje naszych odkryć? Może dostaniemy moc leczenia wszelkich chorób. A może narzędzie zagłady. Czy chcę dźwigać ten ciężar? Przyjemnie byłoby wiedzieć, dokąd nas to wszystko zaprowadzi, ale niestety, wiem tylko, że to coś większego ode mnie, od moich wątpliwości i wyrzutów sumienia. Zdaję sobie teraz sprawę, jak niewiele znacę wobec tego, z czym mamy do czynienia. Dlaczego to tak bardzo poprawia mi nastrój?

DOKUMENT NR 42

ZAPIS GŁOSOWY Z EKSPERYMENTU STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: kompleks podziemny, Denver,
stan Kolorado**

Mówi Kara Resnik. Jest dwudziesty drugi września, godzina trzecia rano. Nikt mnie nie pilnuje. Pewnie napytam sobie biedy, ale to dla mnie nic nowego. Doktor Franklin odwiedziła mnie dzisiaj w szpitalu, to znaczy już wczoraj. Widać, że czuje się odpowiedzialna za mój wypadek. Próbowałam wytłumaczyć, że to nie jej wina. Gdyby kazała nam czekać kolejny dzień, sama poszłabym do sterowni. Wyglądała na niepokieszoną. Dalsze działania zostały wstrzymane do czasu, aż będzie wiadomo, czy ze mną wszystko w porządku. Cóż, zobaczymy.

Powiedziała mi również, że zepsułam hełm. Serio? Nic przecież nie zrobiłam! Założyłam go na głowę, bo... to hełm. I nie kupuję informacji, że jest zepsuty. Dzisiaj robili mi rezonans, nie dostałam jeszcze wyników, ale jestem przekonana, że hełm nie uszkodził mi mózgu, więc jak mój mózg miałby uszkodzić hełm? Zdaję sobie sprawę, że to nieco naciągana logika, ale na miłość boską, wyleczył mi oko, czego nie potrafili zrobić lekarze! Jakoś nie wierzę, że urządzenie, które przeleżało trzy tysiące lat pod ziemią, zdolne przeprowadzić operację oka, zepsuje się od kontaktu z moją

skromną osobą.

Trudno mi się równać inteligencją z resztą zespołu, ale myślę, że ból był tak intensywny, bo maszyna naprawiała mi oko. Albo zorientowała się, że mój mózg jest nie taki, jak powinien, i odpowiednio się dostosowała. Tak czy owak, jeżeli jest na tyle mądra, żeby mnie uleczyć, to na pewno znajdzie sposób, żeby mnie nie zabić. Mam przeczucie, że kiedy dopasowywała się do mojego mózgu, doszło do wdrukowania, jak u małej gąski. Teraz myśli, że jestem jej mamą. Dlatego odmawia współpracy z kimkolwiek innym.

Wiem, że to nie wyjaśnia, dlaczego nie działa też drugi hełm, ale jak mówi doktor Franklin: wszystko po kolei. Nie da się rozwikłać wszystkich zagadek naraz. Widzi pani, doktor Franklin: słuchałam. Teraz próbuję rozwikłać jedną konkretną zagadkę. Wiem, co pani powie: że nawet nie wypisali mnie jeszcze ze szpitala. Pani i lekarze chcecie, żebym dobrze wypoczęła. Cóż, nie mogę wypoczywać, kiedy przeze mnie stoi cały eksperyment; a jeśli będę tracić przytomność za każdym razem, gdy założę ten hełm – trudno. Tu chodzi o mój wewnętrzny spokój, więc proszę się nie wściekać, kiedy dowie się pani, co zrobiłam. Chyba że umrę w ciągu najbliższych dziesięciu minut, wtedy może się pani wściekać do woli.

Aha, i proszę nie wściekać się na pielęgniarki. Myślały, że idę do stołówki, bo tak im właśnie powiedziałam.

Jestem na szczycie schodów. Następnym razem, jeżeli będzie następny raz, wezmę ze sobą dwa stołki, dla samej satysfakcji zrzucenia jednego na dół. Nienawidzę tych cholerstw. Od dzisiaj nie siadam w barach.

Wie pani, co robię, więc daruję sobie szczegóły. Przyklękam... Otwieram wewnętrzny właz...

Jestem w sterowni, zakładam uprzęż. Skłamałabym, mówiąc, że nie mam lekkiego pietra. A zaledwie godzinę temu pomysł wydawał mi się taki pociągający. Z drugiej strony, kiedy mam zaprosić

chłopaka na randkę, też pocą mi się dłonie, więc nie jestem zaskoczona.

Biorę hełm. Szybko go założę, zanim stchórzę. Bądź grzeczny, kochany, mamusia przyszła...

AAAAAAHHHHHRRRRR!

Psiakrew... Hełm nie działa! No już! Co się dzieje? Zapieкло jak diabli. Aż musiałam zamknąć oczy. Mamusia jest wkurzona! Oczywiście nie było tak źle jak poprzednio, skoro wciąż pozostaję przytomna, ale to urządzenie najwyraźniej nie lubi, kiedy...

A niech...

A niech mnie. Trudno coś wyczuć w tych rękawicach, ale zdaje się, że rana na czole zniknęła. Szwy zniknęły na pewno.

Dobra, chyba jestem walnięta, bo znowu zakładam hełm. Nie wiem, na co jeszcze miałyby mi pomóc, może poza paroma problemami natury psychologicznej. Chcę sprawdzić, co robi, jak nie leczy.

O raju. To niesamowite! Ha, ha! Nie wiem nawet, od czego zacząć. Gdy tylko założyłam hełm, osłona na oczy zrobiła się przezroczysta i teraz widzę wszystko. Dosłownie wszystko, nie tylko sterownię. Widzę to, co jest na zewnątrz, widzę laboratorium.

Widzę też samą sterownię i ciecz, w której ta kapsuła się unosi. Jeżeli skupię wzrok na czymś na zewnątrz, widzę to wyraźnie jak na dłoni. Gdy spojrzę na coś wewnątrz, wtedy to, co na zewnątrz, ciemnieje, nabiera sepiowego odcienia, jak stara fotografia.

Niech się rozejrzę. To po prostu... niezwykle. Wiem, że gadam jak nawiedzona idiotka, ale trudno to opisać. Co... to... takiego?

Kolumna przede mną wyświetla mały – może trzydziestocentymetrowy – hologram robota. Śliczny. Doktor Franklin, chciałabym, żeby pani go widziała. Jest... nieziemski. Gra słów niezamierzona. Poza nogami nasza dziewczyna wygląda jak zwykły człowiek, jak wojowniczką. Głowa jak u ludzi i tylko jedna. Fajnie. Hologram porusza głową, kiedy ja poruszam swoją. Gdy

poruszam rękami, on robi dokładnie to samo. Naśladuje każdy mój ruch od pasa w górę. Domyślam się, że będzie również poruszał nogami, gdy uruchomimy drugie stanowisko.

Macham rękami jak szalona. Robot ani drgnie. I pewnie dobrze, bo narobiłabym potężnych szkód, ale hologram się porusza.

Doktor Franklin, właśnie zdałam sobie sprawę, że sama pewnie nigdy pani tego nie doświadczy, jeżeli hełm reaguje tylko na mnie. Szkoda, że po tym wszystkim, co pani zrobiła, nie może pani zobaczyć tego, co ja widzę. Ale to działa! Miała pani rację! I widzi pani, nie było powodu czekać. Wszystko gra. Aha, i jest pani na mnie skazana, na dobre i na złe.

Proszę się nie przejmować tym, że ramię się nie rusza. Pewnie zadziała, kiedy połączymy wszystkie części, jak w tych starych lampkach choinkowych. Wystarczyło jedna żaróweczka przepalona i cały sznur nie świecił.

Chciałabym móc popracować przy drugim stanowisku. Wiem, małe gąski... Nie rozdwoję się, a nie mogę pracować przy obu naraz. Ale miło byłoby dowiedzieć się, czy działa...

DOKUMENT NR 47

WYWIAD VINCENT COUTURE, STUDENT OSTATNIEGO ROKU

**Miejsce: kompleks podziemny, Denver,
stan Kolorado**

Doktor Franklin mówi, że nastąpił przełom w pańskich badaniach.

Tak. To nie jest język!

Już się zgubiłem.

Nie mogłem rozszyfrować znaczenia symboli. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że nie o to chodzi.

Teraz zupełnie nic nie rozumiem. Proszę powiedzieć coś, cokolwiek, co będzie miało dla mnie sens.

Ludzie, którzy oglądali te znaki wcześniej, nie potrafili ich zinterpretować, bo brakowało im... układu odniesienia. Nie znali gramatyki tego języka. Nie znali jego słownictwa. Nie wiedzieli nawet, czego dotyczy. Potrzebowali materiału porównawczego. Słyszał pan o kamieniu z Rosetty?

Tak.

A zatem wie pan, że to bazaltowa płyta, na której wyryto jeden tekst w trzech wersjach językowych. Na górze znajduje się tekst zapisany po egipsku pismem hieroglificznym, którego w momencie znalezienia kamienia nikt nie rozumiał. Poniżej jest zapis również po egipsku, ale alfabetem demotycznym, a na samym dole widnieje ten sam przekaz, tyle że wyrażony starożytną greką. Którą znaliśmy. Wspaniałe w kamieniu z Rosetty jest to, że wszystkie trzy zapisy dotyczą tego samego. Wie pan czego?

Tego nie wiem.

To *décret*. Dekret?

Rozumiem.

Został wydany dla uczczenia pierwszej rocznicy koronacji faraona. Ponieważ filologowie szybko odczytali tekst zapisany greką, dzięki analizie porównawczej można było zrozumieć kluczowe elementy hieroglifów, a także relacji pomiędzy nimi. Tekst grecki posłużył jako punkt odniesienia.

Ale ten, kto zapisał symbole na płytach, nie zostawił nam kamienia z Rosetty.

Może zostawił. To logiczne, że bez układu odniesienia nic z tym nie zrobimy. Zdawaliby sobie z tego sprawę. Ale jeżeli doktor Franklin ma rację, to zostawili te symbole specjalnie. Zacząłem się więc zastanawiać: a jeśli to właśnie jest kamień z Rosetty? Może to nie jest wiadomość zapisana w obcym języku, lecz klucz do odczytania czegoś innego? Musiałoby to być coś, co mamy wspólnego, coś uniwersalnego. Wtedy do mnie dotarło. To nie są słowa, to matematyka!

Możemy nie być tak zaawansowani, tak rozwinięci, jak ci, którzy

to napisali. Możemy nie rozumieć rzeczy dla nich zupełnie banalnych. Lecz jest jedna rzecz, którą bez najmniejszych wątpliwości musimy mieć wspólną: matematyka. I my, i oni potrzebujemy jakiegoś systemu, żeby liczyć. Myślę, że nie komplikowali sprawy zanedbano, żeby nie utrudniać nam życia, ale jednocześnie upakowali tu tyle istotnych pojęć, ile się dało.

Na płytach jest siedem symboli złożonych z linii krzywych, każdy z kropką pośrodku. Wszystkie pojawiają się na konsoli. Gdy policzymy linie w każdym symbolu, otrzymamy cyfry od jeden do siedmiu. To takie oczywiste, kiedy się na to patrzy, irytuje mnie tylko, że wcześniej o tym nie pomyślałem.

A więc znaki na ścianach to sekwencje cyfr?

Raczej sekwencje równań. Jest ich kilka, dość, byśmy mogli odczytać pozostałe symbole, czyli te składające się z linii prostych.

Spójrzmy na przykład na tę. Mamy tu cyfrę 2... Och, ominąłem fragment, który należy czytać od prawej do lewej. Przepraszam... A więc od prawej: 2, nieznan symbol, ponownie 2, inny nieznan symbol, wreszcie cyfra 4. Reasumując: 2 coś 2, coś 4.

$$2 + 2 = 4?$$

Otóż to. Znamy już więc symbole odpowiadające operacjom dodawania i równania. Ten ostatni może oznaczać coś innego, powiedzmy nie równanie, lecz wynik działania. Nie jestem pewien, ale poruszamy się po omacku.

Chwileczkę. To może być $2 \times 2 = 4$. Skąd wiadomo, że to nie mnożenie?

Dlatego sekwencji jest więcej, a symbole w nich powtarzają się – żebyśmy mogli zweryfikować nasze hipotezy. Tutaj są te same symbole w układzie z innymi cyframi. Jeżeli to jest mnożenie, to mielibyśmy $3 \times 2 = 5$, podczas gdy przy dodawaniu wynik jest

poprawny.

A ta mała kreska po lewej? Nie wspomniał pan o niej. Nie jest symbolem jak pozostałe?

To z pewnością symbol. Już mówię. Ta pionowa linia pojawia się na końcu każdej formuły, z wyjątkiem dwóch, które kończą się kwadratem. Wydaje się całkiem bez znaczenia, dopóki nie spojrzymy na te ostatnie. Jeżeli się nie mylę – a nie sądzę, by tak było – to mielibyśmy tu następujące zapisy: $2 + 1 = 1$ oraz $4 \times 3 = 10$.

Ale to się nie zgadza...

I właśnie o to chodzi. Linia pionowa informuje nas, że poprzedzające ją równanie jest prawdziwe, a kwadrat, że fałszywe. Te dwa symbole są być może najważniejsze. Mamy już więc oznaczenia prawdy i fałszu, a to są tak ogólne pojęcia, że mogą być używane także poza matematyką. Gdy zajrzy pan w moje notatki, zauważy pan, że oba symbole pojawiają się obok siebie na konsoli. Określenia „prawda” i „fałsz” niekoniecznie pasują do pilotowania statku, ale zapewne chodzi tu o coś podobnego: „tak” i „nie”, „stop” i „start”... „Naprzód” i „wstecz”, jak sugeruje Ryan. Coś w tym stylu.

Ryan Mitchell? Nie wiedziałem, że rozmawiał pan o tym z kimkolwiek poza doktor Franklin.

Cóż, zasadniczo we czworo mieszkamy w jednym bunkrze. Ja mam dla siebie niewielką przestrzeń, gdzie ustawiono płyty, ale – jak to ująć? – samemu mi nudno... Trochę łączę, to tu, to tam. Parę razy poszliśmy na drinka. To znaczy oni szli na drinka i było im głupio zostawić mnie samego, więc poprosili, żebym dołączył. Z Rose znamy się o wiele lepiej, bo jej składam sprawozdania, ale lubię towarzystwo Kary i Ryana. Fajny facet. Czasem trochę taki Kapitan Ameryka, ale stopniowo nauczyłem się go doceniać.

Lubię Karę. Nie otwiera się z nadto, w każdym razie nie przed nami. Na zewnątrz też chyba nie ma komu się zwierzać. Nie wiem, jak ona to robi. Ale jakoś daje sobie radę. Może to tylko fasada, ale najwyraźniej solidna. Tak czy owak, przypadliśmy sobie do gustu. Mamy takie samo poczucie humoru... Mroczne... *pince-sans-rire*, jak to się u nas mówi.

Śmiertelnie poważne.

Tak. Chyba nawet odrobinę za bardzo. Ryan twierdzi, że jesteśmy okrutni.

Podsumujmy. Mówi pan, że płyty są matematycznym kluczem do zrozumienia tego, kto to zbudował. Rozszyfrował pan symbole dodawania, mnożenia, równania, prawdy i fałszu, a także cyfry od jednego do siedmiu.

Tak naprawdę mamy dużo więcej. Formuły zawierają również symbole oznaczające odejmowanie i mnożenie. Co ważniejsze, jeżeli się nie mylę, możemy odczytać dowolną liczbę. Jak można się spodziewać, niektóre formuły kończą się wynikiem wyższym niż siedem. Wygląda na to, że oni używają systemu ósemkowego. Mają siedem symboli oznaczających cyfry oraz kropkę. Wie pan, jak działa system ósemkowy?

Proszę mnie oświecić.

Łatwo go nam zrozumieć, ale trudno używać. Nasz system jest dziesiętny – do zapisu liczb używa się dziesięciu cyfr, w tym zera. Licząc, dochodzimy do dziewięciu – 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 – potem kończą nam się symbole. Dostawiamy więc zero i wychodzi 10, co oznacza jedną dziesiątkę plus nic. Znowu dodajemy kolejne symbole: 11, 12, 13 i tak dalej. Przy 19 kończą się, więc dodajemy jeden do drugiej cyfry i wychodzi 20, czyli są dwie dziesiątki.

Ich system działa podobnie, ale wykorzystuje mniej cyfr. Oni liczą do siedmiu, a następnie dodają cyfrę, co daje im 1 plus kropkę, którą można traktować jako zero lub jako wypełniacz-znacznik, jeżeli tak pan woli o tym myśleć. To oznacza jedno 8 plus nic. Potem znowu dodają siedem cyfr: 1–1, 1–2, 1–3 i tak dalej. Proszę pamiętać, że 1–2 nie oznacza 12, ale $8 + 2$. Przy liczbach wielocyfrowych sprawa robi się skomplikowana. Na przykład 2222 oznacza $2 + (2 \times 8) + (2 \times 64) + (2 \times 512)$, więc łącznie wychodzi 1170.

Żeby było jeszcze śmieszniej, liczby, tak samo jak równania, czyta się od prawej do lewej.

Doktor Franklin mówi, że konsola jeszcze nie działa, więc nie wiemy, do czego służy. Ale skoro znajdują się na niej cyfry, idę o zakład, że Ryan będzie musiał wklepywać liczby, i to w systemie ósemkowym. Nie mówię, że nie da się tego zrobić, ale to trudne – trzeba dokonywać w głowie dość skomplikowanych obliczeń. Kierunek pisania na klawiaturze nie powinien mieć znaczenia. Jednak ich 12345 to nasze 5349, a nasze 12345 to ich 30071.

Och... nie. Widzę pańską minę, ale nie, nie liczę aż tak szybko, zapisałem to wcześniej. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym osiągnąć ten wynik ot, tak na poczekaniu.

Słyszałem coś innego. Podobno jest pan geniuszem, jaki pojawia się raz na pokolenie.

To nieprawda, niestety.

Proszę nie być taki skromny, panie Couture.

O wiele rzeczy mnie oskarżano, ale o bycie skromnym raczej nie. Jestem inteligentny. Naprawdę inteligentny. Zamknijcie mnie w sali ze stoma osobami, a istnieje duża szansa, że okażę się inteligentniejszy od dziewięćdziesięciu dziewięciu pozostałych. Ale zawsze będzie ten ktoś. Na uniwersytecie w Chicago poznałem wielu ludzi bystrzejszych ode mnie. Niektórych nawet nie

rozumiałem i to nie z powodów językowych, i nie dlatego że brakowało mi wiedzy technicznej z zakresu ich dziedziny. Oni po prostu... to jak gra w szachy. Jedni widzą tylko to, co przed nimi, inni przewidują kilka ruchów naprzód. Ja jestem parę ruchów za tymi naprawdę wielkimi.

Wierzy pan, że jest tutaj najinteligentniejszą osobą?

Może tak, może nie. Rose jest bardzo bystra. Alyssa pewnie ma iloraz inteligencji wyższy o parę punktów od nas obojga.

Kto to Alyssa?

Genetyczka. Rose ją ściągnęła. Chciała wiedzieć, dlaczego tylko Kara uruchamia hełm. Alyssa nie jest specjalnie towarzyska, ale to geniusz matematyczny. Gdyby była na miejscu, odczytałaby te płyty na długo przede mną. Nie wiem tak naprawdę, o co mnie pan pyta. Czy sądzę, że jestem inteligentniejszy od pana? W tym rzecz?

A jest pan?

Bez wątplenia. To nie znaczy, że uważam pana za idiotę, ale skłamałbym, gdybym zaprzeczył.

Uczciwe postawienie sprawy. Według mojego doświadczenia ludzie wybitnie inteligentni kiepsko reagują na niepowodzenie. Myślał pan w którymkolwiek momencie, że może się panu nie udać?

Rozumiem, że chodzi o to, czy w sobie zwątpiłem. Nie, nie zwątpiłem. Ale zawsze istniało spore prawdopodobieństwo, że nam się nie uda. Wiedziałem o tym. Rose też. Ci, którzy nie wiedzieli, niech się przygotują na poważne rozczarowanie.

Co ma pan na myśli?

Cóż, będziemy potrzebowali bardzo dużo szczęścia. Dziwne, że już tyle udało się nam osiągnąć. Jeżeli zdołamy uruchomić sterowanie nożne i jeżeli piloci nie rozbiją robota przy pierwszym podejściu, i jeżeli odkryjemy, jak działa konsola, to może uda nam się go wykorzystać. To znaczy, oczywiście, jeżeli znajdziemy wszystkie pozostałe części – Ziemia to spora planeta. Istnieje również opcja, że robot nadal nie będzie działał. Może jest zepsuty, kto wie. A wtedy, choćbyśmy nie wiem jak próbowali...

Wie pan, może powód, dla którego te części są zakopane w ziemi, jest mniej romantyczny, niż wszyscy mamy nadzieję...

DOKUMENT NR 92

WYWIAD CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA

**Miejsce: morsko-lotnicza baza Lewis-
McChord, stan Waszyngton**

Nic.

Słyszałem co innego.

Jak to? Nie rozumiem. Jakim cudem...?

Każde z nas ma określone zadanie w ramach tego projektu, panie Mitchell. Doktor Franklin odpowiada za stronę naukową. Pan jest pilotem. Ja osobą dobrze poinformowaną.

Nie wiem, co chce pan ode mnie usłyszeć.

Zadałem bardzo proste pytanie. Co się wydarzyło?

Raz się pocałowaliśmy...

Panie Mitchell. Byłoby o wiele łatwiej – dla mnie, a zwłaszcza dla pana – gdyby przestał pan traktować

mnie jak idiotę i przeszedł do rzeczy.

Okej, było coś więcej niż jeden pocałunek, ale to nie tak, że zdradziliśmy kraj i przeszliśmy na ciemną stronę mocy. Nie sądzę, żeby armia miała powód do zmartwienia.

Zapomina pan. Nie jestem wojskowym i nie interesuje mnie ich regulamin. Nie zależy mi na tym, żebyście stanęli przed komisją dyscyplinarną. Zamęczycie mnie to pytanie. Po prostu proszę powiedzieć, co się wydarzyło.

No co, pracujemy tu od pięciu miesięcy, na pełnych obrotach, w izolacji. Po jakimś czasie albo się pozagryzamy albo zbliżymy do siebie, innego wyjścia nie ma. Spędzamy razem w sterowni dwanaście godzin dziennie, sześć albo siedem dni w tygodniu. Nie ma sensu wdawać się w szczegóły, powiem tylko, że nie trwało długo, zanim zacząłem myśleć o niej również przez pozostałe dwanaście.

Ale Kara to Kara. Więc za każdym razem, gdy próbowałem nawiązać bliższy kontakt, odsuwała się i ignorowała mnie przez następne trzy dni. Starłem się nie narzucać, w miarę możliwości, ale przecież przebywaliśmy w jednym pomieszczeniu. W takich sytuacjach rozmowa wcześniej czy później schodzi na tematy osobiste.

Po jakimś czasie miałem dość, że mnie nazywa „chorążym Mitchellem” za każdym razem, gdy wspominam o czymś niezwiązanym z pracą. Zdziwiłby się pan, ile tematów ją irytuje. Nie wiem, co się Karze przytrafiło, ale wkurza ją wszystko, co związane z rodziną, dziećmi czy związkami. Chcę powiedzieć, że naprawdę się starałem, ale ktoś, kto się jeży, gdy rozmowa schodzi na temat kotów, ma poważne problemy emocjonalne.

Minęło kilka tygodni. Trzymałem gębę na kłódkę i skupiłem się na uruchamianiu robota. Wypróbowaliśmy kilka sposobów, ale za każdym razem hologram padał jak długi. Na początku zdarzało się

to tak często, że musieliśmy sobie przypominać, że w realnym życiu spowodowałoby to poważną katastrofę. Nawet jeżeli prawidłowo poruszam nogami, to Kara musi zsynchronizować ruchy ramion i tułowia, żeby zachować równowagę. Obracanie się jest jeszcze trudniejsze.

Zacząłem na głos zapowiadać każdy manewr – lewe kolano do góry, noga do przodu, lewa stopa do dołu – tak żeby Kara mogła w odpowiednim momencie przemieścić ciężar ciała. Po mniej więcej miesiącu nauczyła się przewidywać moje ruchy, czytać język ciała, to, jak poruszam ramionami przed podniesieniem nogi, tego typu rzeczy. Ja też nauczyłem się całkiem dobrze ją czytać. Cały dzień na nią patrzę, ponieważ stoję tyłem do konsoli. Gdy robi się coś takiego codziennie od rana do wieczora, to zaczyna być naturalne, tak jakby naprawdę potrzebowało się tej drugiej osoby, żeby chodzić. Kara zauważyła, że nawet w normalnym chodzie przestałem kołysać ramionami. Mówi, że wyglądam jak z *Terminatora*.

To znaczy, że uda wam się tego robota uruchomić?

Nie, tego bym nie powiedział. Nawet gdy Kara pomaga mi łąpać równowagę, wciąż brakuje jednego stawu w nodze. Nie jestem w stanie prawidłowo poruszać górną częścią nóg. Uda tej gigantycznej dziewczyny są bardzo krótkie. U mnie jest inaczej. Żeby robot poruszał się naturalnie, muszę mocno pochylać się przy każdym kroku, co po krótkiej chwili staje się bardzo męczące.

Ale robimy postępy. Może dlatego Kara nieco się otworzyła. A może dlatego, że ślęczeliśmy tam długie godziny. W każdym razie któregoś wieczoru zaprosiła mnie na drinka. Nie pierwszy raz, ale wcześniej zawsze zapraszała też doktor Franklin albo Vincenta. Zwykle chodzimy do barku Lotnik przy bramce B. Nasze wejście na teren terminalu jest poza kontrolą bezpieczeństwa, co jest wygodne, a doktor Franklin może sobie zapalić. W gruncie rzeczy nie pali, ale przy drinku robi czasem wyjątek. Głównie wpatruje się w papierosa.

W każdym razie Lotnik zamyka się o wpół do jedenastej, więc pojechaliliśmy do prawdziwego baru, otwartego dłużej. To kawałek drogi, ale każde miejsce uczęszczane przez zwykłych ludzi to dla nas dzisiaj nie lada gratka.

Nie wiem, czy byłem zdenerwowany, czy po prostu zmęczony, dość że się upiłem. Ululałem na cacy. Jeden bourbon, drugi bourbon, piwo. Szkockiej chyba i tak nie mieli. Przy drugiej kolejce rozwiązał mi się język. Całą noc się przed Karą wywnętrzałem, a ona głównie słuchała. Wciąż miałem do niej żal, więc w tym, co mówiłem, było sporo goryczy. Wie pan: „cały czas myślę o tobie, a ty pozostajesz zimna” i tak dalej. Ona tylko siedziała i słuchała. Gdy zacząłem bełkotać, zaprowadziła mnie do samochodu i bez słowa zawiozła do domu.

Następnego dnia czułem się głupio. Spodziewałem się ostrej reprimendy. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Zachowywała się zwyczajnie. Nawet całkiem miło. Następnego dnia nic, następnego znowu nic. Po tygodniu uznałem, że najwyraźniej postanowiła puścić sprawę w niepamięć. Odpowiadało mi to, bo wciąż czułem się niezręcznie.

Tydzień później zatrzymała mnie, gdy wychodziłem, i zapytała, czy wciąż chcę ją zabrać na prawdziwą kolację. Przez chwilę udawałem, że się namyślałem. Miałem zjawić się u Kary w niedzielę wieczorem. Było popołudnie, szykowałem się, kiedy zadzwoniła, żeby odwołać: „To nie jest dobry pomysł, pracujemy razem...”, bla bla bla.

Niby powinienem się wkurzyć, ale mnie wydało się to śmieszne, bo przecież ona pierwsza poruszyła temat. To samo powtórzyło się jeszcze raz, a potem wreszcie się udało. Po prostu zapukałem do jej drzwi w któryś wolny dzień i poprosiłem, żeby się zbierała. Nie protestowała. Musiałem wyglądać na pewniejszego siebie, niż w istocie byłem.

Zaproponowała kawę, ale powiedziałem, że poczekam w samochodzie. Mogłem się zgodzić, bo tkwiłem na zewnątrz dobre

pół godziny. Skakałem po stacjach radiowych, kiedy wyszła. Wyglądała powalająco. Gdyby nie okoliczności, chyba bym jej nie poznał. Obcisła czerwona sukienka, buty na wysokich obcasach. Jej nogi wydawały się...

Dłuższe?

Tak. Szukałem innego słowa... W każdym razie zrobiła coś z włosami. Nie wiem co, ale coś zrobiła. Nawet się umalowała. Wszystko to było do niej niepodobne, ale prezentowała się świetnie. Dało się też poznać, że czuje się trochę niezręcznie. Nie była tak pewna siebie jak zwykle. Wydawała się... bezbronna.

Podobało się to panu?

Jej bezbronność? Nie wiem. Może tak.

Nie ma się czego wstydzić.

Nie cierpię na kompleks wyższości, jeżeli o to panu chodzi. Podobało mi się to, że dla mnie zrobiła się na bóstwo. Nie chciałbym, żeby była taka na co dzień. Jest obcesowa. Ten typ osobowości. A jednak było to coś specjalnego.

Nie potrafię tego panu wyjaśnić. Myślę tylko o tym, żeby z nią być. Rozumie pan? Spędzam z Karą dwanaście godzin dziennie w niedużym pomieszczeniu, a mimo to chcę... nie wiem... więcej. Jak wtedy kiedy człowiekowi chce się palić, mimo że wypalił już całą paczkę.

Zaczął pan palić?

Nie, to tylko przykład. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Chcę czuć, że do niej docieram, że ona otwiera się na mnie. Tamtej nocy tak było. Przyjemne uczucie.

Rozumiem. Jak minął wam wieczór?

Zabrałem ją do brazylijskiej stekowni. Ceny trochę nie na moją kieszeń, ale warto było przepłacić choćby tylko po to, żeby wejść tam z nią pod rękę. Jedzenie świetne. Nie wiem, czy lubi pan steki, ale jeżeli tak, to musi tam pan kiedyś zajrzeć.

Lubię i może zajrzę. Proszę kontynuować.

Tym razem uważałem, żeby nie przesadzić z alkoholem. Ona odwrotnie. Nasza Kara lubi czerwone wino. Mniej więcej w połowie drugiej butelki stała się wylewna. Opowiadała, że matka nigdy nie akceptowała jej facetów, że zawsze musiała mieć rację. Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że wspomniała mimochodem, że raz była zamężna.

Nie była. To mogę panu powiedzieć.

Może źle ją zrozumiałem. Cokolwiek się wydarzyło, wiele wycierpiała, to na pewno.

Po kolacji zawiozłem ją do domu. Miałem wysiadać z samochodu, żeby otworzyć jej drzwi, kiedy chwyciła mnie za ramię. Odpięła pas i usiadła mi na kolanach. Chwilę potem mój fotel był rozłożony, a ja ściągałem koszulę.

To wygląda na coś więcej niż pocałunek.

Pewnie tak. Ale tylko w trakcie pocałunku czułem, że jest naprawdę ze mną. Chyba byłem w tym wszystkim nieistotny. Taki zimny, gniewny seks. Jakby się na kimś mściła. Głupio to zabrzmiało, ale byłem zazdrosny o tego, o kim myśli. Wyraźnie znaczył dla niej więcej niż ja. Skończyła dość szybko. Potem bez słowa wysiadła z samochodu. I już. To zdarzyło się tydzień temu, potem o tym nie rozmawialiśmy.

A chce pan o tym rozmawiać?

Chciałbym wiedzieć, na czym stoję. Jeżeli to zrobiła tylko pod wpływem wina, myślę, że zrozumieć. Tak czy inaczej, przydałby się jej ktoś, kto by się nią zaopiekował. Może nie jestem jakimś mistrzem świata, ale naprawdę byłbym dla niej dobry.

Nie chciałbym się mądrzyć, ale coś panu powiem. Pannie Resnik z pewnością przydałoby się wiele rzeczy, ale nie należy do nich „ktoś, kto by się nią zaopiekował”.

Wiem. Wiem. Proszę mi wierzyć, wiem. To jak zabawa w kotka i myszkę albo dylemat: jajko czy kura? Ona się odsuwa, bo ja za bardzo napieram. Ja z kolei napieram, bo czuję, że ona się odsuwa.

„Kot i mysz” oznacza miłosne podchody. „Jajko czy kura” to kwestia przyczyny i skutku. Pan próbuje opisać tę drugą sytuację.

To właśnie miałem na myśli.

Wiem. Niestety jest to błędna interpretacja faktów. Rzeczywiście mamy tu do czynienia z rodzajem sprzężenia zwrotnego. Ale „jajko czy kura” oznacza, że pierwotna przyczyna pozostaje nieznaną. A tutaj jest znana.

Chodzi panu o mnie?

Tak. Niech pan pozwoli jej to rozegrać na własnych warunkach.

DOKUMENT NR 93

RAPORT Z MISJI – OPERACJA „SPRZĄTANIE ŚWIATA” STARSZY SIERŻANT DYLAN RODRIGUEZ, SPECJALISTA DS. TRANSPORTU, ARMIA USA

Misja została zwieńczona powodzeniem. Brak ofiar własnych.

Naszą bazę wypadową stanowiła opuszczona rosyjska baza lotnicza niedaleko miasta Semej w Kazachstanie. Od trzech dni nasze drony latały nad wschodnią Syberią, kiedy jeden z nich zauważył coś w republice Tuwy. Na odludziu, na wschód od osady Sizim-Aksy. To niegościnnie region, skaliste wzgórza wokół zielonej doliny rzeki Mały Jenisej. Zupełne pustkowie, co z jednej strony oznaczało, że minie trochę czasu, zanim ktokolwiek się tam pojawi, ale z drugiej potęgowało trudności transportowe.

Zabraliśmy ze sobą do helikoptera dwóch Kazachów. Chcieliśmy rzucić ich niedaleko miasta Kyzyl. Nie byli pewni, czy zdołają załadować tam wystarczająco dużą ciężarówkę, ale znali pewne miejsce w Abakanie. Zapowiadało się pięć godzin dodatkowego czekania, ale lepsze to niż nic. Poleciliśmy w nocy, rzuciliśmy ich na terenie Chakasji, a sami skręciliśmy w stronę Sizim-Aksy. Dolatywaliśmy do krateru. Wokół niego migotały rozbłyśki światła. Dopiero po chwili zdaliśmy sobie sprawę, że do nas strzelają.

Pilot rzucił nas kilometr dalej. Poczekaliśmy do świtu i ruszyliśmy pieszo w stronę krateru, żeby się zorientować

w sytuacji. Okazało się, że kiedy artefakt się wyłaniał, zniszczył uprawę konopi. Po polu biegali zaaferowani wieśniacy, niektórzy z nich uzbrojeni w kałasznikowy. Bardziej interesowała ich możliwość uratowania części plonu niż powód katastrofy.

Umówiony transport miał dotrzeć dopiero za sześć godzin, więc sierżant Ortiz postanowił nawiązać z Tuwińcami kontakt. Nie mieliśmy ze sobą Kazachów, ale Ortiz mówi trochę po rosyjsku. Może rozpoznali naszą broń, a może akcent sierżanta, dość że po kilku minutach odłożyli kałachy. „Amerykańce, Amerykańce!”, powtarzali. Nie wiem, co w Tuwie myślą o Amerykanach, ale wyraźnie wyglądali na zadowolonych, że nie jesteśmy Rosjanami.

Jeden z Tuwińców pojechał do wioski po pomoc. Wrócił z kilkunastoma mężczyznami. Doliczając jedenastu z naszego oddziału, było nas łącznie około czterdziestu. Pomogli nam odkopać artefakt i obwiązać go linami. Zajęło to z godzinę. Potem usiedliśmy i czekaliśmy na ciężarówkę. Wtedy zjawilo się rosyjskie wojsko, w każdym razie coś w tym rodzaju. To było dwóch facetów w furgonetce. Powiedziałbym, że przyjechali po dolę od hodowli marihuany. Szybko schowaliśmy się za artefaktem. Rosjanie wysiedli z furgonetki i zaczęli wrzeszczeć. Jeden z Tuwińców podszedł do nich z uśmiechem, wyciągnął pistolet i obu zastrzelił.

Kazachowie z tirem pojawili się dwadzieścia minut później. Załadowanie artefaktu zajęło jakieś półtorej godziny, a pochowanie Rosjan i pozbycie się ich samochodu drugie tyle. Kazachowie powiedzieli, że na drodze do Chakasji jest kilka punktów kontrolnych, dlatego postanowiliśmy skierować się na południe. Nasz człowiek czekał na nas na granicy mongolskiej i wkrótce lecieliśmy do Afganistanu na pokładzie boeinga C-17.

– koniec raportu –

DOKUMENT NR 94

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Miejsce: Biały Dom, Waszyngton, D.C.

To nie jest jak naprawianie starego samochodu, panie Woodhull. W końcu znajdą wszystkie części.

Mam nadzieję. Nie chciałby pan przecież przejść do historii jako idiota, który wywołał trzecią wojnę światową z powodu gigantycznego przycisku do papieru.

Muszę przyznać, że ma pan talent dramatyczny.

Niezupełnie. Panu za to świetnie idzie. Zdołał pan osobiście spowodować powrót do zimnej wojny.

A jak mianowicie tego dokonałem?

Pańskie drony odkryły właśnie bardzo dużą dłoń w miejscu, które nazywa się Tuwa.

Tak.

„Tak”, że odkryły, czy „tak”, że istnieje miejsce, które nazywa się Tuwa?

Tuwa to nieduża republika na południowej Syberii. Wiedziałem również o dłoni. Nie miałem pojęcia, że pan już wie.

Cóż, w pańskim projekcie uczestniczą żołnierze armii amerykańskiej. Proszę się nie dziwić, że donoszą nam o incydentach na skalę międzynarodową. I brawo za Tuwę. Ja musiałem sprawdzić w internecie...

Proszę mi wybaczyć, jeżeli nie podzielam pańskiego pesymizmu, ale misja zakończyła się sukcesem. Wywieźliśmy dłoń bez strat własnych, a logika wskazuje, że Tuwińcy nic nie powiedzą Rosjanom. Nie widzę, w czym problem.

Właśnie w tym, że nie muszą im mówić. Rosjanie wiedzą.

Co wiedzą?

Wszystko. Z najdrobniejszymi detalami. Rosyjski ambasador był u mnie dziś rano. Opowiadał zupełnie to samo co starszy sierżant Rodriguez, tyle że z innym akcentem. Jeden z ich samolotów był w pobliżu, kiedy wyłoniła się dłoń. Rozbił się kilka kilometrów dalej. Mieli podgląd satelitarny na godzinę przed przybyciem pańskich ludzi. Pokazał mi nawet zapis z kamery. Scena, w której ci dwaj rosyjscy oficerowie dostają kulkę w łeb, w telewizji wygląda o wiele bardziej dramatycznie.

Zakładam, że są niezadowoleni.

To eufemizm stulecia. Nie wiem nawet, od czego zacząć. Mongołowie są wściekli, że ich wystawiliśmy. Rosjanie śledzili

pańską ciężarówkę do samej granicy. Moskwa żąda oficjalnych przeprosin, których oczywiście nie dostanie, bo my gwałtownie zaprzeczamy, jakobyśmy mieli z tym cokolwiek wspólnego. Utrwalili też znalezisko na zdjęciach satelitarnych, więc wiedzą, jak wygląda. Łatwiej byłoby wymyślić jakąś historyjkę przy mniej charakterystycznej części ciała: przedramieniu czy łydce, takiej, jaką znaleźliście w Turcji. Ale dłoń, hm, wygląda jak dłoń nawet z wysokości tysięcy kilometrów.

Zdaje pan sobie sprawę, że zdążyli już wziąć na tortury każdego Tuwińca, jakiego udało im się złapać, a zatem wiedzą jeszcze więcej niż wcześniej. Istnieje powód, dla którego do nielegalnych operacji zatrudniamy miejscowych najemników; chodzi o coś, co się nazywa „wiarygodnym zaprzeczeniem”. A pan wysłał z misją na Syberię bandę Portorykańczyków z karabinami M-16. Wie pan, niespecjalnie mogli wtopić się w otoczenie.

Nie jesteśmy w stanie za każdym razem zbierać nowego zespołu, zwłaszcza na szybko i na drugim końcu świata. Ponadto angażowanie najemników to ryzykowna sprawa. Ktoś może ich podkupić. W końcu robią to dla pieniędzy.

Cóż, w tym momencie Rosjanie są przekonani, że odkryliśmy starożytną świątynię lub coś w tym rodzaju, i świetnie, ale jak, do cholery, wyjaśnimy, że amerykańskie wojsko zajmuje się plądrowaniem stanowisk archeologicznych?

W ogóle.

Co w ogóle?

Nie wyjaśnicie. Do niczego się nie przyznacie i niczego nie będziecie tłumaczyć. Ale coś im dacie.

Co ma pan na myśli?

Cokolwiek. Coś, na czym im zależy bardziej niż na dłoni. To nie powinno być zbyt trudne. Zamknijcie gdzieś bazę raketową. Z pewnością się ucieszą, gdy wywieziecie te patrioty z Polski. Przez jakiś czas będą wam wypominać to, co się stało, ale nie zaryzykują eskalowania napięcia, jeżeli pozwolicie im wyjść z tej sytuacji z twarzą.

Jakoś nie sądzę, żeby z powodu pańskich gierek prezydent miał ochotę osłabiać naszą obecność wojskową w Europie Wschodniej.

Wie pan równie dobrze jak ja, panie Woodhull, że te bazy to tylko dekoracje, wsie potiomkinowskie, żeby małe kraje mogły trochę naprężyć muskuły. Dajcie Rosjanom coś, co będą mogli wykorzystać politycznie. Ogłoszą zwycięstwo i sprawa rozejdzie się po kościach.

Miejmy nadzieję – mówię to ze względu na nas obu – że następną część znajdziecie we Francji, w Australii, w każdym razie gdzieś, gdzie nie mówią po rosyjsku.

Odbyłem też dziś rano ciekawą rozmowę z prezydentem. Chce wiedzieć, jak zamierzacie wykorzystać tego waszego robota, jeżeli zdołacie go uruchomić. Podobno mieliśmy pozyskać z niego zaawansowane technologie. Jak dotąd pańscy ludzie nie potrafią go nawet naprawić, nie mówiąc już o kopiowaniu zastosowanych w nim rozwiązań. Jeżeli tak, to co nam po robocie, który mierzy siedemdziesiąt metrów? Nie możemy się nim posługiwać, nie narażając się na niewygodne pytania, a nie ma sensu trzymać go w ukryciu do końca świata.

Wyciągnijcie go na światło dzienne. Przeparadujcie po Constitution Avenue. Niech wszyscy się zastanawiają, do czego jest zdolny. Jeżeli potrzebujecie większego odstraszacza, znajdźcie jakąś lokalną wojnę i zniszczcie jedną stronę. Z tego co mówi doktor Franklin, broń

konwencjonalna nawet nie zdraśnie tej gigantycznej dziewczyny. Pewnie w pojedynkę wypędziłaby Irakijczyków z Kuwejtu. Mam uwierzyć, że zrezygnowałibyście z czegoś takiego? Wie pan dobrze, że to warte drobnej sprzeczki z Moskwą.

Być może. Wciąż nie jestem przekonany, czy powiedział mi pan o tej maszynie wszystko. A przy okazji, co robicie, żeby nie tylko Resnik mogła nią sterować?

My...

Tak?

Dlaczego pan pyta?

Po prostu pytam.

Wyczuwam, że chodzi o coś więcej. O co?

Dobrze. Otrzymaliśmy e-mail od członkini pańskiego zespołu. Alyssy... coś tam.

Alyssa Papantoniou. To nasza genetyczka.

Dobrze, od pani Paponiou.

Papan...

Nieważne. Sądzi, że nie możemy polegać na tej pańskiej pilotce w sprawie o takim znaczeniu. Według niej Resnik jest nieprzewidywalna.

To wszystko?

Nie. Mówi, że badania genetyczne robota powinny być

priorytetem, ale doktor Franklin nie chce jej przyznać odpowiednich środków. A pan nic z tym nie robi.

I co pan o tym myśli?

Że ma pan bunt na pokładzie, co mnie niepokoi.

Mnie zaledwie irytuje. Ale jeżeli to poprawi pańskie samopoczucie, proszę samemu zdecydować, co powinno być priorytetem. Nie mamy kompletnego robota. To, czym dysponujemy, nie działa. Kiedy znajdziemy wszystkie części – jeżeli znajdziemy – to może zadziała, a może nie. Jeden z hełmów sterowniczych na obecnym etapie reaguje tylko na jedną osobę. Jest częścią stanowiska sterowniczego zaprojektowanego dla istoty o anatomii innej niż ludzka, którego również nie potrafimy obsługiwać. Oto, co mamy: jeden działający hełm, jedno działające stanowisko i jedną pilotkę zdolną je obsługiwać. A zatem, Robercie, na czym powinniśmy skupić nasze wysiłki? Proszę wybrać mądrze.

Hej, to pańskie przedstawienie. Mówię tylko, że powinien pan lepiej panować nad swoimi ludźmi. Ale nawet jeżeli w tym momencie nie musimy się tym zajmować, to ta pana Alyssa ma rację. Co zrobimy, gdy panna Resnik nie będzie już mogła pracować ze względu na wiek? A jeżeli za tydzień zginie, nie daj Boże, w wypadku samochodowym? Albo obudzi się któregoś ranka i stwierdzi, że nie zamierza już dłużej tego ciągnąć? Jeżeli uzna, że to wbrew jej wartościom? Jeżeli zajdzie w ciążę i nie będzie chciała dłużej narażać życia? Co wtedy?

Proszę mi wierzyć, nie robi tego. Nikt z zespołu tego nie robi. Nie zrezygnowaliby z tej roboty za żadne pieniądze, a tym bardziej z powodów etycznych. Mamy jeszcze parę lat na dogłębne przeanalizowanie sprawy.

Znajdziemy sposób, żeby robot reagował na innych operatorów. Może dzieci Resnik odziedziczą po niej tę zdolność.

Chce pan hodować pilotów? Proszę mi wybaczyć, ale jednak nie przekażę tej sugestii prezydentowi.

Nie sądzę, by do tego doszło, ale dlaczego nie? Hodować. Klonować. Pani Papantoniou z pewnością by nie protestowała. Kto wie, co będziemy potrafili robić za dwadzieścia lat. W każdym razie to nie obecny prezydent będzie podejmował decyzję. Myślę, że ten robot pozostanie zaawansowaną bronią długo po tym, jak pan i ja znikniemy z tego padołu.

Nie podzielam pańskiego optymizmu. Ta cała sprawa mnie przeraża. Mam przeczucie, że nam zaszkodzi.

Lubi pan superbohaterów?

Och, nie mam w tym momencie ochoty na metafory.

Proszę zrobić mi tę przyjemność. Kto jest pana ulubionym superbohaterem?

Nie wiem. Superman. Nie, Hulk.

W porządku. A teraz proszę sobie wyobrazić, że... jak on się nazywa, kiedy nie jest Hulkiem?

Pojęcia nie mam? Nie jestem nastolatkiem. Chwileczkę... Liso, jak się nazywa ten facet w komiksach, który zamienia się w Hulka? Nie wie... A Superman? Superman to Clark Kent... Dziękuję, Liso.

Proszę więc sobie wyobrazić: któregoś dnia Clark Kent wchodzi do pana gabinetu i oferuje, że będzie walczył dla

Ameryki. Ma pan okazję zwerbować prawie niezniszczalnego żołnierza o nadludzkiej mocy, który potrafi latać szybciej od odrzutowca. Czy odmówi pan, dlatego że pan...

Kent.

...dlatego że pan Kent może kiedyś zachorować?

I to wszystko? To pański argument? Powiem tak: z pewnością bym się namyślał, gdybym musiał zbierać pana Kenta po kawałku jak mapa długa i szeroka, naruszając tym samym suwerenność obcych państw.

DOKUMENT NR 118

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: kompleks podziemny, Denver,
stan Kolorado**

Tak, przespałam się z nim! Zadowolony pan?

Nie jego miałem na myśli.

A którego? Tego w więzieniu czy tego w szpitalu? Spałam z obydwojma, więc proszę sobie wybrać. Śpię z każdym. Taka już jestem.

Nie ma potrzeby przyjmować takiego tonu. Nie oskarżam pani o nic. Chcę tylko wiedzieć, co zaszło.

Nie oskarża mnie pan? Cóż za ulga! No, niech pan to powie. To nie kwestia opinii. Wiem, że to wszystko moja wina. Proszę mi wierzyć, wiem.

Na początek może pani powiedzieć, co zaszło z panem Mitchellem.

Ale co powiedzieć? Spędzaliśmy razem tyle czasu. Miły facet.

A ja nie jestem do takich przyzwyczajona. W tych sprawach zawsze popełniałam błędy. Ryan... to dobry człowiek. Dajcie mi przyzwoitego gościa, a ja i tak spieprzę sprawę.

Wiedziałam, że tak będzie. Wiedziałam, że to nie dla mnie. On po prostu... mnie zmęczył. Zamknęłam się w swojej skorupie i miałam nadzieję, że obudzę się rano i cały ból zniknie, całe zwątpienie. Ale oczywiście czułam się tak samo. Nie da się wymazać przeszłości pełnej pomyłek, oddając się facetowi w samochodzie, nieważne jak miłemu. Próbowałam, przysięgam.

Widziała się pani z nim po tym, jak kochaliście się w samochodzie?

My się nie kochaliśmy. Bzyknęłam go. Za dużo wypiałam. Zachowywałam się...

Autodestrukcyjnie?

Chciałam powiedzieć „jak to ja”, ale może być pańska wersja. Najgorsze, że on wiedział. Miałam nadzieję, że nie, ale wiedział. Czułam się okropnie. Więc tak, wyszliśmy parę razy do miasta. Myślałam: zna już moje wady, a jednak nie zwiął. Mogłam przynajmniej dać mu szansę. Tak właśnie się robi, prawda? Znajduje się porządnego, przystojnego faceta, który cię nie ocenia i traktuje jak księżniczkę. Dostrzega się własne szczęście i nigdy nie pozwala mu odejść. Czy nie tak to ma wyglądać?

Chciałbym móc coś doradzić. Niestety romans to forma sztuki, jakiej nigdy nie opanowałem. Mimo niepowodzeń to pani jest tu ekspertką w tej kwestii. Czy coś w panu Mitchellu panią odrzuca?

Nie! Nic! Nie ma niczego takiego. Gdybym miała opisać mężczyznę doskonałego, który posiada idealne jak dla mnie cechy, Mitchell pasowałby całkiem dobrze. Czasami trochę za bardzo się

do człowieka klei, ale ogólnie czuję się dobrze w jego towarzystwie. Uwielbiam to, jak na mnie patrzy. Lubię swoją postać odbitą w jego oczach. Nie wiem, może to siebie nie mogę znieść. Może nie cierpię wpływu, jaki na niego wywieram, tego, jak się gubi, kiedy jestem w pobliżu.

Wolałaby pani, żeby zwracał na nią mniejszą uwagę?

Ja... Spędzamy ze sobą niemal każdą minutę każdego dnia w pomieszczeniu wielkości mojej sypialni. Nie ma nikogo innego, komu mógłby poświęcać uwagę. Nie potrafię tego wytłumaczyć... Nie chciałabym nieustannie czuć się ośrodkiem jego zainteresowania. Ale wtedy pewnie wydałby mi się zbyt odległy. Może cierpię na rozdwojenie jaźni.

Uprawiała pani z nim seks ponownie?

Czy to naprawdę ważne? Staralam się, żeby coś z tego wyszło. W głębi ducha wiedziałam, że nie wyjdzie, ale się starałam. Nigdy tak naprawdę nie przestałam. Wciąż się starałam. I wtedy stało się coś niewyobrażalnego.

Co ma pani na myśli?

Koniec świata. Gwiazdy spadające z nieba.

Głównie przebywamy w sterowni sami, ale raz na jakiś czas ktoś wpadnie na parę minut. Technicy przychodzą sprawdzać sprzęt. Doktor Franklin wspina się na górę raz dziennie, żeby powiedzieć nam „cześć”. Towarzystwo zawsze jest mile widziane. Najczęściej odwiedza nas Vincent. Kilka razy dziennie zagląda do sterowni i bada konsolę. Zazwyczaj robimy sobie przerwę na pogawędkę.

O czym gawędzicie?

O wszystkim i o niczym. Praca, sport, pogoda. Tamtego razu

tłumaczył nam ósemkowy system liczenia. Wyjaśniał to już panu? Niesamowite. Nie do pojęcia. W każdym razie zrobiło się późno. Byliśmy mocno zmęczeni i zaczęliśmy się wygłupiać, pokazywać Vincentowi, jak działają stery. Ryan robił chód księżycowy, ja tańczyłam disco. Wszystko to oglądaliśmy na ekranach. Bawiliśmy się naprawdę dobrze. Hełm leżał sobie obok. Śmialiśmy się tak, że nawet nie zauważyliśmy, kiedy po niego sięgnął.

Kto? Pan Couture?

Mhm. Założył go. Nagle osunął się na kolana i krzyknął. Wydarzenia potoczyły się jakby w zwolnionym tempie. Ryan spojrział na mnie i oboje zrozumieliśmy, co zaszło. Zrozumieliśmy, że sytuacja całkowicie się zmieniła. Po chwili, która trwała chyba wieczność, odpięliśmy uprząże, pomogliśmy Vincentowi wstać i opuścić sterownię. Doktor Franklin pytała: co się stało? Co się stało? Żadne z nas nie mogło wykrztusić słowa.

A co się stało?

Ryan odpadł z konkursu. To się stało. Wszystko, co zdobył, wszystko, na co pracował, zniknęło. Ot, tak. Byłam świadkiem, jak ludzie umierają na polu bitwy, ale nigdy nie widziałam, żeby ktoś stracił wszystko w jednej sekundzie i musiał z tym żyć. Miałam ochotę go przytulić, pocieszyć, ale musieliśmy zająć się Vincentem.

Dlaczego hełm zareagował akurat na Vincenta?

Nie mam pojęcia. DNA. Konfiguracja mózgu. Przeznaczenie. Okrutne poczucie humoru wszechświata.

Spędził kilka dni w łóżku. Wytrzymał i nie ściągnął sobie bandaży. Gdy wrócił, stanowisko sterownicze włączyło się dla niego, tak jak oczekiwaliśmy. Konsola też się uaktywniła. Doktor Franklin bardzo się starała, ale nie potrafiła ukryć, jak mocno jest podekscytowana. Kto by ją winił? Od tak dawna na to czekała.

Gdy hełm zadziałał, w moim hologramie pojawiły się nogi. Na konsoli wyświetlił się hologram taki sam jak mój. Oczywiście nogi Vincenta też nie pasowały do uprząży, więc hologram stanowił niewielką pomoc. Vincent musiał stać tyłem do konsoli, tak jak Ryan. I też nie potrafił opanować ruchów nóg. Poza tym nie był tak wysportowany. Wróciliśmy do punktu wyjścia.

Vincent musiał uczyć się całej koordynacji od początku. To, że mój hologram pokazywał teraz nogi, trochę ułatwiało, ale i tak uzgadnialiśmy każdy manewr. To było...

Zniechęcające.

Zgadza się. Z Ryanem jakie takie opanowanie systemu sterowania zajęło nam pół roku, a teraz musieliśmy zaczynać zupełnie od początku z kimś, kto dostaje zadyszki po pięciu minutach.

Ryan zachował się bardzo po dżentelmeńsku. Wziął Vincenta pod swoje skrzydła i tysiąc razy uczył go każdego ruchu. Vincent też był w porządku. Wiedział, że zajął miejsce Ryana, o czym jego obecność stale mu przypominała. Wiedział też, że nie nadaża. Codziennie po pracy szedł wyciskać ciężary na siłowni; ale nie da się w parę tygodni osiągnąć tego, co dają lata żołnierki.

Na życzenie Ryana dostarczono nam kopię uprząży nożnej. Przez trzy miesiące pracował ramię w ramię z Vincentem, kazał mu powtarzać każdy swój ruch. Vincentowi szło coraz lepiej, najpierw pojedyncze manewry, potem całe sekwencje. Po jakimś czasie Ryan w zasadzie już go tylko wspierał, wychwytywał błąd tu czy tam. Widziałam, że czuje się coraz bardziej bezużyteczny. Zaczęłam więcej wymagać od Vincenta po to, żeby gorzej mu szło i żeby Ryan miał nad czym pracować.

Ale to tylko połowa historii. Z Vincentem było nam po drodze. Zawsze dobrze się czuliśmy w swoim towarzystwie i to się nie zmieniło. Wspólna praca w sterowni coś z człowiekiem robi. Ryan

wygląda jak model z reklamy slipek, ale to między mną a Vincentem jest chemia. Wkrótce Ryan już całkiem czuł się jak piąte koło u wozu. Ciężko było na to patrzeć. Tracił jednocześnie pracę życia i mnie. Z pierwszego rzędu oglądał, jak zbliżam się do Vincenta. I jeszcze miał w tym uczestniczyć.

Vincenta trudno nazwać dobrym człowiekiem. Nie jest jakimś potworem, ale za bardzo skupia się na sobie. Ma ego wielkości Nowej Anglii i nie traktuje bliźnich szczególnie miło. Tak naprawdę nie lubi ludzi, sam to przyznaje. Jest geniuszem, ale nie dobrym człowiekiem. Wiem, bo to mnie do niego ciągnęło, podobnie jak jego do mnie. Atmosfera napięcia seksualnego gęstniała. Może dlatego, że oboje wiedzieliśmy, że to najgorsza rzecz, jaką możemy zrobić; a może obecność Ryana wywoływała efekt zakazanego owocu.

W każdym razie to iskrzenie było niemal namacalne. Udawałam, że nic nie zauważam. Kilka razy zaprosiłam nawet Ryana na kolację. Nie chciał się ze mną przespać. Nie zniósłby myśli, że robię to z litości.

A robiła tak pani kiedykolwiek?

Ryan zaczął wcześniej wychodzić. Doktor Franklin znalazła mu robotę w laboratorium, żeby czymś go zająć. Chyba nie mógł już ze mną wytrzymać. Przykro mi to mówić, ale czułam się dotknięta, że się poddał. Wiem, to okropne, przecież nie widziałam dla nas wspólnej przyszłości, ale jakaś część mnie chciała, żeby walczył – o tę pracę, o mnie, o cokolwiek.

Któregoś dnia pracowaliśmy z Vincentem do późna. Ryan już sobie poszedł, potem zamknęły się drzwi za doktor Franklin. Przez chwilę nasłuchiwaaliśmy, czekając na nieuniknione. Vincent opuścił swoje stanowisko, uśmiechnął się i podszedł do mnie. Ja wciąż byłam w uprząży. Rozpiął mi pasek, zdjął spodnie i owinął sobie moje nogi wokół bioder. Nic nie mówił, tylko się we mnie wpatrywał. To było... Nieważne.

Zamknęliśmy za sobą laboratorium i wychodziliśmy przez budynek gospodarczy. Szłam druga; ni stąd, ni zowąd pojawiły się dwa oślepiające światła. Zakrywałam oczy dłonią, kiedy Vincent z całej siły pchnął mnie z powrotem do środka. Upadłam na ziemię, uderzyłam głową o rampę windy. Rozległ się potężny huk, który zatrzęsł całym budynkiem. Gdy wyszłam na zewnątrz zobaczyć, co się stało, Ryan wciąż siedział w furgonetce i ścisnął kierownicę. Zderzak wbił się na dobre trzydzieści centymetrów w betonową ścianę. Vincent leżał twarzą w dół na masce, obie nogi miał zmiażdżone.

CZĘŚĆ TRZECIA

ŁOWCY GŁÓW

DOKUMENT NR 120

WYWIAD VINCENT COUTURE, STARSZY DORADCA DS. WYWIADOWCZYCH

**Miejsce: Szpital Chirurgii Specjalnej,
Nowy Jork, stan Nowy Jork**

Pamiętam, jak pojechałem z ojcem do zoo. Miałem pięć czy sześć lat. To było dobrą godzinę drogi z Montrealu, a ojciec nie lubił prowadzić. Nie lubił też tłumów. Ale pół zimy błagałem rodziców i matka w końcu przekonała ojca. Byłem taki podekscytowany. Mówiłem tylko o tym. A będą lwy? A zebry? „Nie wiem, synu, przekonasz się na miejscu”.

Wreszcie wyjechaliśmy któregoś niedzielnego poranka. Ojciec dał mi prezent na drogę. Taką drewnianą układankę; sześcienna kostka składająca się z kilkunastu elementów. Bardzo mi się spodobała. Ojciec kazał mi ją oczywiście rozłożyć i złożyć. „Masz godzinę”, powiedział. „Tyle ci powinno wystarczyć”. – Cóż, nie wystarczyło. Wciąż próbowałem ułożyć te wszystkie elementy, kiedy zobaczyłem wielki napis ZOO. Odłożyłem kostkę do pudełka i zacząłem nazywać wszystkie zwierzęta, jakie znałem. „Patrz, tato, zebra!” „Świetnie”, odpowiedział. „Ale najpierw skończ układankę”. Kiedy próbowałem protestować, przypomniał mi, że w naszej rodzinie zawsze kończymy to, co zaczęliśmy.

Męczyłem się z łamigłówką przez następne dwie godziny, a on w tym czasie czytał książkę. Już, już, prawie mi się udawało, ale zawsze coś nie pasowało. Wiedziałem, że gdzieś popełniam błąd, części było jednak za dużo i nie mogłem zapamiętać, w jakiej kolejności układałem je poprzednim razem. I tak to szło. W południe frustracja zamieniła się w rozpacz. Zacząłem płakać. Ojciec czytał jak gdyby nigdy nic. Nie mogłem już myśleć. Trzęsły mi się ręce. O drugiej wpadłem w histerię. Ojciec odłożył książkę. Uruchomił silnik i pojechał z powrotem do domu.

Nie rozmawialiśmy przez resztę dnia. Gdy wieczorem matka ułożyła mnie do snu, przyszedł do mnie i powiedział, że tego dnia nauczyłem się czegoś ważnego, o wiele ważniejszego od oglądania zwierząt zamkniętych w klatkach.

Co miał na myśli?

Chyba to, że gdybym się skupił, to ułożyłbym te elementy, a ja pozwoliłem emocjom zapanować nad rozsądkiem.

Musiał pan być wyjątkowo inteligentnym dzieckiem. Pięciolatкови niełatwo coś takiego zrozumieć.

Och, to dzisiaj tak mówię. Wtedy odbierałem to zupełnie inaczej. Chciałem tylko zobaczyć zebry. Widzi pan, mój ojciec był filozofem. Dosłownie. Profesorem filozofii. Kiedy dorosłem, nie zawsze się z nim zgadzałem, ale jako dzieciak go uwielbiałem.

Czym zajmowała się pańska matka?

Zanim poznała ojca, była nauczycielką. Zrezygnowała z pracy, gdy ja się urodziłem. Bardzo inteligentna kobieta o wielkim sercu. Zależało jej, żebym uprawiał sport, przebywał z rówieśnikami, ale ojciec uważał, że to strata czasu. Mówił, że mam nieprzeciętny umysł, że szkoda marnować taki dar. Według niego kopanie piłki z bandą półgłówków było nie dla mnie.

Matka nalegała, ale powiedziałem jej, że nie chcę. Kochałem ojca. Robiłem wszystko, żeby czuł się ze mnie dumny. W matce narastało zniechęcenie. W końcu odeszła. Obaj byliśmy załamani. Nie wiem, dlaczego to nas tak zaskoczyło. Trudno było się nie domyślić, że coś podobnego nastąpi. Każda rozsądna kobieta od razu rzuciłaby tego samoluba. Pewnie znalazła jakiegoś w miarę porządnego faceta, który przynajmniej raz na jakiś czas zwracał na nią uwagę. Wiem, że nie odeszła przeze mnie, ale może zostałaby, gdybym nie ignorował jej tak samo jak ojciec. Tak bardzo chciałem mu się przypodobać. Czasami musiała się czuć jak powietrze, zupełnie niewidzialna, przezroczysta. Nigdy nie była cyniczna, nawet przez sekundę. To, co się stało, pewnie głęboko by ją zasmuciło, ale ojcu nie umknęłaby ironia sytuacji.

Ironia?

O tak. Przez całe życie rozwijałem się intelektualnie. Zawsze mi mówił, że kiedyś osiągnę wielkie rzeczy. Ludzie na ogół nie mają poczucia celu poza tym, co wokół nich. Są ważni dla swojej rodziny, ale w zasadzie to wszystko. W pracy każdego da się zastąpić, przyjaciele przychodzą i odchodzą.

Ja miałem szansę być częścią czegoś naprawdę ważnego, ale nie z powodu swojej wiedzy czy inteligencji. Szczególną cechą, tym, co zdecydowało o mojej przydatności, okazały się nogi. A teraz obie stracę.

Dlaczego pan tak myśli?

Lekarz był tu parę minut przed panem. Powiedział, że amputacja to jedyne wyjście. Obie nogi.

Nie chcę wyjść na nieczułego, ale mam wrażenie, że niespecjalnie się pan przejął.

Większość czasu siedzę i myślę. W tym jestem dobry:

w siedzeniu i myśleniu. Więc dopóki będę mógł to robić... Nigdy nie zwracałem specjalnej uwagi na swoje ciało. Nie odżywiałem się dobrze, nie ćwiczyłem, nie uprawiałem sportu. Ale przypuszczam, że za chodzeniem będę tęsknił. Tak, chodzenie było fajne.

To wszystko, co pan czuje?

Co mam powiedzieć? Życie jest niesprawiedliwe. Nie zasłużyłem na to. W szerszej perspektywie moje uczucia tak naprawdę się nie liczą. Jeżeli stery nie będą reagować na nikogo innego, to oznacza koniec dla wszystkich. Głupio zrobiłem, że założyłem ten hełm.

Poczucie winy – to normalne w takiej sytuacji. Rozgoryczenie też nie byłoby niczym dziwnym.

Tak, żał mi, że tyle straciłem. Komu by nie było żal? Czuję się jak ten astronauta, którego uziemili na trzy dni przed lotem, bo miał kontakt z osobą chorą na... *rougeole*?

Różyczkę. Thomas Kenneth Mattingly II.

Tak. Nigdy nie mogę zapamiętać jego nazwiska. Na pewno się mocno wkurzył. Przepraszam, jeżeli nie jestem dość załamany. Szczerze mówiąc, jak zobaczyłem tę furgonetkę, byłem przekonany, że to koniec. Zrobiło się... ciemno. À propos – co z Karą? Pewnie jest wstrząśnięta.

Daje sobie radę. Czuje się odpowiedzialna za to, co się stało, ale nic jej nie będzie. Przyszłaby, ale...

Nie, to nieprawda.

Może, jest jednak szczerze wdzięczna. Uratował jej pan życie. Kazała przekazać, żeby pan szybko zdrowiał i wracał.

A Ryan?

Niewiele mogę o nim powiedzieć. Głównie milczy. Trzymają go w Fort Carson. Proszę się nie martwić, panie Couture, zapłaci za to, co panu zrobił.

I co to da? Nie jestem mściwy. Nie wyobrażam sobie, jak on musi się czuć.

Miłość sprawia, że ludzie robią głupie rzeczy.

Nie, to nie miłość. Gdyby był zakochany, to upiłby się i walnął pięścią w ścianę. Ten człowiek stracił wszystko, na czym mu zależało, wszystko. Przeze mnie. Nierozmyślnie, ale to ja wyróciłem jego świat do góry nogami. Nie taki z niego Kapitan Ameryka, jak się okazuje. Nie sądziłem, że byłby zdolny do czegoś podobnego... Przepraszam, nie wyśmiewam się.

Bawi pana, że pan Mitchell popada w obłęd?

Nie. Bawi mnie, że to pan siedzi przy moim łóżku. Nie moi bliscy czy przyjaciele – nie żebym miał ich wielu – nie Kara albo Rose, ale pan. Pan Pocieszyciel. To tak, jakby wybudzić się ze śpiączki i zobaczyć przy sobie kasjerkę z pobliskiego spożywczaka. Bez urazy.

Nie obrażam się.

Myślę, że to właśnie mieli na myśli, kiedy mówili, żeby być miłym dla ludzi. Żadnych łez dla narcyzów z Quebecu.

Wątpię, by miały ustawiać się do pana kolejki, ale gwoli sprawiedliwości – nikt nie wie, że pan tu jest.

Hm, rozumiem, że nie chce pan podawać swojego imienia, ale czy nie mógłby pan dla ułatwienia wymyślić sobie jakiegoś? Coś fajnego, Charlie, M., cokolwiek. Ale może to i lepiej, że jest pan bezimienny. „Co po imieniu?” przecież.

„Romeo, choćby cudze sobie imię nadał, czyliżby swoje miłe przymioty postradał?”[7]

O, widzę, że z pana wykształcony człowiek. Nie wyglądał mi pan na typ literata.

Anglistyka. Z wyróżnieniem.

Och, proszę opowiedzieć!

Raczej nic z tego. Ale jeśli dzięki temu poczuje się pan lepiej, to powiem, że nawet prezydent nie wie o mnie tyle. Słyszał pan, że brakuje nam już tylko trzech części? Oba krótkie fragmenty udało nam się znaleźć w Chinach, w odległości kilkunastu kilometrów od siebie. Sprawdziliśmy już z osiemdziesiąt procent globu.

Brawo. Mam tylko nadzieję, że są na lądzie.

To znaczy?

Cóż, siedemdziesiąt procent planety pokrywają wody. Gdy przeszukacie wszystkie kontynenty, to będzie dopiero trzydzieści procent powierzchni Ziemi.

Doktor Franklin uważa, że...

Wiem, co powiedziała Rose. Według niej oni chcieli, żebyśmy odnaleźli te części. Ale czy zauważył pan, że zwykle znajdujemy je na odludziu? Blisko połowę w Stanach Zjednoczonych. Orientuje się pan, co tu było trzy tysiące lat temu? Niewiele. Arktyka to też niezbyt wygodne miejsce do prowadzenia poszukiwań.

Gdybym nie znał pana lepiej, panie Couture, nazwałbym pana pesymistą. O to my będziemy się martwić. Pan niech skupi się na tym, żeby stanąć na nogi.

Śmieszne. Za godzinę nie będę miał nóg w ogóle. Muszę tylko nauczyć się jeździć wózkiem. To nie powinno być trudne. Widywałem totalnych tumanów na wózku. I będę się martwił o to, o co tylko zechcę. Mam teraz dużo wolnego. Zawsze chciałem się nauczyć kantońskiego, tylko nigdy nie starczało mi czasu.

Proszę mnie bardzo uważnie posłuchać. Nikt nie zabierze panu nóg. Może nie wierzyć pan w przeznaczenie, ale istnieje powód, dla którego ten robot pana wybrał. Tak miało być. Zajmie to trochę czasu, ale wróci pan do sterowni i sprawi, że ta maszyna zacznie chodzić. Wszyscy będziemy z pana dumni. No i musi pan wrócić do panny Resnik.

Skąd pan bierze te teksty? A nogi i tak mi utną. Ładne przemówienie, chociaż wie pan równie dobrze jak ja, że między mną i Karą wszystko skończone.

Nie sądzę, że jest typem osoby, która kogoś porzuca ze względu na jego inwalidztwo.

Tak, jest wierna jak pies... swoją drogą to nie brzmi najlepiej. W każdym razie – zostałyby przy mnie z niewłaściwych powodów. Byłaby nieszczęśliwa, ale nie odchodziłaby ze względu na chore, źle ulokowane poczucie obowiązku.

Dlaczego pan uważa, że byłaby nieszczęśliwa?

Odcinają mi nogi. Nie będę mógł chodzić. Nie będę mógł wstać i sięgnąć po cokolwiek z górnej półki. Będę potrzebował pomocy, żeby się wykąpać. Pewnie będę się brudził. Już jestem cynikiem, a nie sądzę, że nagle zmienię się w uosobienie radości życia. Sam nie chciałbym ze sobą żyć. Nie życzyłbym tego nikomu, zwłaszcza Karze. Powinna być z kimś, kto da jej powód do dumy. Zmianie pieluch to ostatnia rzecz, jakiej jej trzeba.

Wie pan, że Ken Mattingly nigdy nie zachorował na różyczkę? Poleciał na Księżyc z misją Apollo 16, a później był jeszcze dwukrotnie w kosmosie. Nikt nie odetnie panu nóg, panie Couture. Ma pan moje słowo.

DOKUMENT NR 121

WYWIAD DR PAVEL HAAS, ORDYNATOR ODDZIAŁU CHIRURGII

**Miejsce: Szpital Chirurgii Specjalnej,
Nowy Jork, stan Nowy Jork**

Jak się miewa pan Couture?

Kość udową, piszczel i strzałkę ma złamaną w obu nogach. Po rzepce niewiele zostało. Praktycznie nie ma kolan, tylko drobne odłamki kości wbite w skórę jak szrapnele. Ujmując sprawę delikatnie, jego nogi nie istnieją.

Jest przekonany, że je amputujecie.

Ma rację. Właśnie przygotowują salę operacyjną. Gdy tylko skończymy tutaj, zabierzemy go na górę. Nogi utniemy mniej więcej na wysokości kolan. Przy odrobinie szczęścia uda się potem dorobić protezy. Trochę to potrwa, ale większość pacjentów w podobnej sytuacji w końcu zaczyna chodzić. Wiem, że teraz to wszystko brzmi strasznie, ale proszę mi wierzyć, amputacja to dla niego najlepsze wyjście.

Tak mniej więcej mi powiedział. Przykro mi poinformować pana, że amputacja jest wykluczona.

Proszę wybaczyć, ale to nie od pana zależy.

Jakże chciałbym, żeby to była prawda. Niestety, w mojej gestii leży bardzo wiele spraw, a ta jest jedną z nich.

Widzę, że otwiera pan usta, co sugeruje, że czeka pan na pierwszą okazję, żeby mi przerwać, dlatego zaoszczędzę panu czasu i podam jedyne wyjaśnienie, jakie pan otrzyma.

Ten człowiek ma szansę zrobić coś naprawdę ważnego dla kraju. Jeżeli nie dla ludzkości. Jest w istocie jedynym, które może to zrobić, a potrzebuje do tego nóg. Przepraszam, jeżeli spodziewał się pan czegoś mniej zwięzłego, ale to musi panu wystarczyć.

Nie może pan...

Proszę mi nie przerywać. Rozumiem, że jest pan autorytetem, a charakter pańskiej pracy sprawia, że nie nawykł pan do jakichkolwiek sprzeciwów. Ale jeżeli prawdą jest to, co usłyszałem, to wkrótce wda się sepsa, więc niech pan wybaczy moją obcesowość.

Jeżeli upiera się pan przy amputacji, to ci dwaj dżentelmeni wyprowadzą pana z budynku i wsadzą do samochodu. Proszę nie myśleć, że grożę. Nie zostanie pan zabity, nie będzie pan torturowany. Ale obudzi się pan w dziwnym pokoju, z którego nie wyjdzie pan przez resztę życia.

Chcę, żeby znał pan wszystkie fakty i mógł dzięki temu podjąć odpowiednią decyzję. Niestety, musi pan to zrobić

w ciągu najbliższych trzydziestu sekund.

Nie wiem, co odpowiedzieć.

Nie musi pan odpowiadać. Dokładnie wypełni pan moje polecenia. Podobno jest pan najlepszy w swojej dziedzinie. Dlatego pana Couture'a przywieźliśmy tu, a nie gdzie indziej. Dlatego wybraliśmy pana. Znalezienie kogoś prawie tak dobrego zajęłoby mi dziesięć minut, ale nie cierpię brać ludzi z drugiego szeregu.

Nie rozumiem. Nikt nie uratuje jego kości – ani ja, ani ktokolwiek inny. To nie kwestia dobrej woli i groźby tego nie zmieniają. Nie zdołam sprawić, żeby jego nogi znowu były całe. Ani wyczarować nowych.

Ależ może pan. Napisał pan kilka artykułów na temat implantów tytanowych i ma pan najwyższy odsetek udanych operacji wszczepienia protezy biodra. Być może brakuje panu umiejętności inżynierskich, niezbędnych do stworzenia implantów takiej wielkości, ale ten problem rozwiążemy jednym telefonem. Wierzę, że ma pan wszelki niezbędny sprzęt, ale jeżeli potrzeba czegoś jeszcze, rozkażę natychmiast to dostarczyć.

Dostanie pan do dyspozycji nieograniczone środki i będzie mógł korzystać z wszelkich zasobów armii amerykańskiej, Narodowego Instytutu Zdrowia, Narodowej Agencji Bezpieczeństwa, Narodowej Agencji Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej, a także wszystkich tych agencji, o których pan nigdy nie słyszał. Jeżeli czegokolwiek panu zabraknie, proszę zadzwonić pod ten numer i powołać się na mnie. Ktoś dopilnuje, żeby otrzymał pan, co trzeba. To ważne, żeby zdał pan sobie sprawę z ogromu środków do wykorzystania. Nie

chciałbym, żeby eksperyment się nie udał, bo założył pan, że pewne technologie nie istnieją albo jakieś materiały są nieosiągalne. W tym momencie, w tej właśnie chwili, nikt na świecie nie ma większej władzy w dziedzinie medycyny niż pan.

Musielibyśmy zrekonstruować każdą kość w jego nogach. Czyli tak naprawdę wszczepilibyśmy mu nowe, metalowe nogi. Nigdy dotąd czegoś takiego nie zrobiono i już mówię dlaczego. Otóż ludzki organizm odrzuca ciała obce. Nie wiem nawet, czy zdołalibyśmy ocalić dość mięśni, by zapewnić choćby podstawową sprawność, ale jego tkanki z pewnością odrzuciłyby tak rozległy implant. Gwarantuję. Zabilibyśmy go.

O tym właśnie mówię. Musi pan zrozumieć – i to szybko – jak wiele pan nie wie. Za mniej więcej dwadzieścia minut zadzwoni do pana ktoś z dowództwa do spraw badań i materiałów medycznych armii. Otrzyma pan od niego nowy lek immunosupresyjny, nad którym od jakiegoś czasu pracują. To powinno sprawić, że organizm pana Couture'a nie odrzuci implantu. Przyślą panu również środek wspomagający rozwój mięśni...

Nie mogę podawać pacjentowi leku, którego nie znam.

To inhibitor miostatyny, o wiele skuteczniejszy od wszystkiego, co pan zna. Z pewnością będzie tam opisany sposób dawkowania. Podawano ten lek myszom i efekty były znakomite. Proszę nie tracić czasu na krygowanie się. Obaj wiemy, że i mnie, i panu zależy, żeby zadziałał. Będzie pan mógł korzystać z substancji leczniczych, o których Agencja Żywności i Leków nie usłyszy przez następne dziesięć lat.

Widzę, że nie obchodzi pana moje zdanie, ale chcę to zaznaczyć jasno i wyraźnie. Jeżeli przeprowadzimy amputację teraz, pan Couture może przeżyć twórczo jeszcze wiele lat dzięki protezom.

Będzie miał niezwykle twórcze życie, jeżeli zbudujecie mu nowe nogi.

Muszę to przemyśleć.

Nie, nie musi pan. Podjął pan decyzję jakieś dwadzieścia sekund temu. Widzi pan, doktorze Haas, pańska praca i moja aż tak się nie różnią. Analizujemy sytuację, podejmujemy działania na podstawie możliwie największej ilości danych i staramy się przewidzieć każdy rezultat. Ja swoją pracę wykonałem rzetelnie i mam nadzieję, że pan uczyni to samo. Zdożył pan zaawansowaną wiedzę, o której zastosowanie prosimy teraz, w ramach dwóch dużych programów badawczych, sponsorowanych przez przemysł; jeden z nich dotyczył tytanowych endoprotez stawu biodrowego, drugi reakcji tkanki w nieudanych przeszczepach implantów tytanowych. W 2006 roku dwoje pacjentów uczestniczących w tym pierwszym odrzuciło przeszczep, jeden z nich zmarł, a właściwie zmarła, w wyniku komplikacji. Co ciekawe, nie ma śladu po tych pacjentach w pańskich wnioskach o dotacje ani w pańskich publikacjach. Jednak w jakiś sposób ich dane figurują w wynikach badania reakcji tkanki, w którym nigdy nie uczestniczyli. Podmienił pan te dane – ot, tak po prostu. Niby nic się nie stało, jeżeli nie liczyć martwej kobiety.

Była chora na serce, o czym mi nie powiedziała. Gdyby nie skłamała w podaniu, nigdy bym jej nie wziął do tego badania.

Nie wątpię. To, że znalazłaby się w sprawozdaniu, nie

uratowałyby jej życia. Tyle że wyniki wyglądały lepiej w oczach sponsorów.

Co ważniejsze, w swoim wniosku imigracyjnym zataił pan fakt, że był aresztowany za jazdę po pijanemu. W Stanach to zaledwie wykroczenie, ale w pańskiej ojczyźnie – przestępstwo.

Przez swój egoizm uważa pan, że stoi ponad prawem, że te drobne kłamstwa służyły wyższemu dobru i że tak naprawdę pomagał pan innym. Myślenie dość typowe dla osób o pańskim pochodzeniu.

To znaczy?

Ludzi wychowanych w biednej, tradycyjnej rodzinie. Jako pierwszy z grona bliskich ukończył pan studia. Pierwszy wydzwignął się z niedostatku. Wiem, że to brzmi stereotypowo, ale staliśmy się naprawdę dobrzy w tego rodzaju profilowaniu. Jedno jest pewne: idzie pan przez życie jak burza, doktorze Haas. Z pewnością nie zaryzykuje pan kariery i tego wszystkiego, co pan osiągnął, dla czegoś tak nieistotnego jak zasady etyczne.

Po opuszczeniu tego pokoju uratuje pan to, co jest do uratowania z nóg pana Couture'a, a następnie skonstruuje mu nowe kości.

Jeżeli to zrobimy i jakimś cudem się uda, to pożałuje, że nie umarł na stole operacyjnym, gwarantuję. Będzie nas błagał o skrócenie mu męki. Nie wyobraża pan sobie, jaki to ból. Każdą minutę każdego dnia uznaje za najgorszą w swoim życiu. Powie mu pan o tym?

Nie sądzę. Taką wiadomość trudno przekazać

komukolwiek, a zwłaszcza pacjentowi przed poważną operacją. Czy będzie cierpiał mniej, jeżeli mu powiemy?

Nie. I tak przeżyje piekło; jeżeli w ogóle przeżyje.

A więc po co mu mówić. Chcę, żeby miał jak najlepsze samopoczucie. Niech pan go zapewnia, że wszystko będzie w porządku.

Żądam, aby w dokumentach znalazło się wyraźne stwierdzenie, że wykonuję tę operację pod przymusem i wbrew podstawowej wiedzy medycznej.

Nagrywam naszą rozmowę, więc wszystko, co dotychczas pan powiedział, jest zarejestrowane. Może pan to nazywać dokumentem. Jeżeli miał pan na myśli dokumentację medyczną, to nie. To pański i tylko pański pomysł. Wykonuje pan operację, ponieważ jest pan szczerze przekonany, że to najlepsze rozwiązanie dla pacjenta, i głęboko wierzy pan w jej powodzenie. Żaden ślad po tej rozmowie nie znajdzie się w żadnej dokumentacji, proszę to przyjąć do wiadomości. A jeżeli wspomni pan komukolwiek o naszej rozmowie, a nawet o moim istnieniu, to pan i pańska rodzina poniesiecie surowe konsekwencje.

Jakie?

Nie wiem dokładnie, ale mogę zagwarantować, że nie zobaczy pan więcej swoich dzieci, nawet jeżeli operacja się uda.

A jeżeli nie?

Wtedy niemal na pewno straci pan prawo wykonywania

zawodu.

Nie. Nic nie powiem. A jeżeli pacjent nie przeżyje? Czym mi pan grozi?

Po co miałbym panu grozić, jeżeli robi pan wszystko, co mówię? Nie jestem wcieleniem zła, panie Haas. Mimo to spieszę poinformować, że niemal na pewno straci pan prawo wykonywania zawodu, dom, samochód i cały majątek. Więzienie jest niewykluczone. Zamierza pan poddać znajdującego się w stabilnym stanie pacjenta – bez jego wiedzy i zgody – niezwykle skomplikowanej, ryzykownej i kompletnie niepotrzebnej eksperymentalnej operacji. Jak pan sądzi, co się stanie, jeżeli on umrze?

Zanim się rozstaniemy, proszę rzucić okiem na te rysunki. Proszę je uwzględnić przy konstruowaniu endoprotezy.

Co przedstawiają?

Kolana.

Nie jestem inżynierem, ale wydaje mi się, że...

Tak, doktorze Haas. Dobrze się panu wydaje.

DOKUMENT NR 126

WYWIAD DR ALYSSA PAPANTONIOU, GENETYK

Miejsce: biblioteka publiczna, Civic Center Park, Denver, stan Kolorado

Ma pani ciekawy akcent, pani Papantoniou. Bałkański?

Tak, Grecja w przeważającej części leży na Bałkanach.

Musi pani pochodzić z okolic, których nie miałem okazji odwiedzić. Brzmi niezwykle.

Dziękuję panu. Ciekawi mnie, dlaczego spotykamy się w bi... bibliotece publicznej. Przepraszam. Denerwuję się, kiedy rozmawiam z ludźmi.

Nie ma za co przepraszać. Woląłem, żeby nam nie przeszkadzano. Miło mi panią poznać.

Cała przyjemność po mojej stronie. Co zamierzał pan ze mną o... omówić?

Doszło do mojej wiadomości, że nie pochwała pani kierunku, w jakim rozwija się projekt. Byłoby

niedbalstwem z mojej strony, gdybym nie wziął takiej opinii pod uwagę, zwłaszcza kiedy wypowiada ją osoba o pani inteligencji.

Dziękuję bardzo. Nie chciałam się skarżyć wyższym i... instancjom.

Więc to był przypadek?

Ja...

Nieważne. Proszę mi teraz powiedzieć, co nie odpowiada pani w sposobie, w jaki doktor Franklin kieruje zespołem?

Na początku zaznaczę, że głęboko szanuję doktor Franklin. Jest świetnym naukowcem.

Ale?

Ale popełnia błędy. Nie jest aż tak... genialna, jak się panu wydaje. Często muszę po niej s... sprawdzać wyniki obliczeń.

Z pewnością to docenia.

Przede wszystkim jest zbyt... delikatna. Pozwala, by uczucia, jakie żywi wobec członków zespołu, wpływały na jej opinie. Traktuje Karę i Vincenta niemal jak swoje dzie... dzieci. Kara to osoba uparta, nieelastyczna i wydaje mi się czymś... nieodpowiedzialnym uzależniać powodzenie projektu wyłącznie od jej dobrej woli. Kilkakrotnie zażądałam, by poddała się serii badań – miały wykazać, dlaczego hełm nie reaguje na nikogo innego, ale za każdym razem doktor Franklin odmawiała.

Doprawdy? Powiedziano mi, że panna Resnik dostarczyła próbkę śliny do analizy. Widziałem wręcz

raport, w którym stwierdza pani, że pod względem genetycznym Kara nie wyróżnia się niczym szczególnym.

Wykonałam badania genetyczne i biochemiczne i nie znalazłam anomalii chromosomowych ani żadnych wyraźnych mutacji. Istnieje jednak cały szereg innych badań, analiza mitochondrialna. Nie zrobiłam nawet pełnego sekwencjonowania genomu. Mogłabym zbadać jej strukturę mózgu, oczy.

Doktor Franklin wykonała skan siatkówki, jeżeli się nie mylę.

Chodziło mi o to, że mogłabym zbadać fizyczną próbkę jej oka, nie obrazek.

Czy te procedury nie mogłyby poczekać, aż znajdziemy wszystkie części robota i rozwiążemy pilniejsze problemy?

Pan nie rozumie. Tu nie chodzi tylko o Karę. Bez Vincenta projekt nie może... nie może posuwać się naprzód. A jeżeli on nie przeżyje? Jeżeli nie będzie mógł cho... chodzić? Zrozumienie, dlaczego hełm zareagował na Karę, może być kluczem do znalezienia zastępstwa dla Vincenta.

Z całym szacunkiem, ale stawka jest za wysoka, żebyśmy mieli się przejmować czyimiś uczuciami albo drobnym dys... dyskomfortem, kiedy wprowadzam komuś igłę do oka. Myślałam, że chociaż pan...

Że chociaż ja...?

Że jest pan na tyle pragmatyczny, by zrozumieć, co musi być zrobione. Ale może pan też zaangażował się emocjonalnie.

Kwestionuje pani mój obiektywizm?

Zapytam inaczej. Gdybyśmy do uruchomienia tej maszyny potrzebowali nie ludzi, tylko psów, czy nie mielibyśmy już do dyspozycji gromadki szczeniaków?

Szczeniaki... Pytanie wydaje mi się o wiele ciekawsze od każdej odpowiedzi, jakiej mógłbym udzielić. Ale dziękuję za przedstawienie sytuacji w nowym świetle. Pani uwagi są wnikliwe i interesujące; obiecuję, że wezmę pod rozwagę wszystko, co pani powiedziała.

Dziękuję. O nic więcej nie proszę.

Do widzenia, pani Papantoniou.

DOKUMENT NR 129

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Miejsce: Biały Dom, Waszyngton, D.C.

Co mogę dla pana zrobić, panie Woodhull?

Minister obrony ogłosił podwyższony poziom gotowości bojowej.

Rosjanie?

Między innymi. Chińczycy zauważyli nas, kiedy opuszczaliśmy ich terytorium. Złożyli oficjalną skargę do ONZ.

Od kiedy to przejmuje się pan ONZ?

Nie przejmuję się, ale Rosjanie od razu zastrzygli uszami. Szybko dodali dwa do dwóch. Wciąż nie wiedzą, czego szukamy, ale już się połapali, że nie chodzi tylko o jakiś starożytny artefakt, skoro jesteśmy gotowi wkraczać bez pozwolenia na teren innych państw, żeby to zdobyć. Turcy powiadomili też Rosjan o waszej wizycie, co nie polepszyło sprawy.

Teraz już oficjalnie oskarżają nas o spowodowanie śmierci ich żołnierzy na Syberii. Nazywają wasze wtargnięcie na ich terytorium świadomą prowokacją. Godzinę temu rosyjski ambasador odleciał na konsultacje do Moskwy. Właśnie czyszczą ambasadę. Prawie da się słyszeć szum niszczarek. To tylko kwestia czasu, zanim Chińczycy pójną ich śladem.

Podwyższyli poziom alertu bojowego?

Można to tak nazwać. W ciągu ostatnich trzech godzin rosyjska aktywność morska osiągnęła poziom nienotowany od kryzysu kubańskiego. Cała Flota Północna została postawiona w stan podwyższonej gotowości, podobnie jak większość Floty Pacyfiku. Na samym północnym Atlantyku operuje w tym momencie ponad sto ich jednostek.

Łodzie podwodne?

„Siewierodwińsk” wyszedł dzisiaj w morze razem z dwiema jednostkami klasy *Borei*. Baza na Morzu Białym wygląda jak opuszczona. Poza tym po Atlantyku krąży pięć łodzi podwodnych typu *Delta IV*, tyle samo jednostek klasy *Delta III*, a nawet gigant „Tajfun”. Ogólnie rzecz biorąc, wszystkie zdolne do działania rosyjskie łodzie podwodne o napędzie atomowym są obecnie na morzu. Chińczycy nie wykonywali na razie żadnych gwałtownych ruchów, ale nie zdziwiłbym się, gdyby i oni posłali w morze część floty.

Blefują. Wie pan o tym.

Podobnie jak my. Blefowanie to nie to co kiedyś. Nikt nie chce wojny i wszyscy o tym wiedzą. Każda ze stron wie, że ta druga nie dąży do konfliktu, więc przyciskamy się do ściany, za każdym razem trochę bardziej. Głównie chodzi o to, by zachować twarz, ale zasadniczo gramy w „kto pierwszy stchórzy”, a każda strona sądzi,

że może robić, czego tylko zapragnie, bo przeciwnik i tak nie użyje swojego arsenału nuklearnego. Pewnie nie dzisiaj, ale któregoś dnia... któregoś dnia ktoś z nas się okrutnie pomyli.

Oczywiście wyprawiliśmy w morze nasze ofensywne łodzie podwodne. Jeżeli Chińczycy się ruszą, pošlemy okręty przeciwko ich okrętom. Nasze lotniskowce są w pełnej gotowości bojowej. Jeżeli każemy im wziąć kurs na Azję, to tamci rzucą naprzeciwko wszystko, co mają. Sam pan widzi, dokąd to prowadzi.

A jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło z konfrontacji na morzu. Tak, na mapie ocean wydaje się ogromny, ale w rzeczywistości szybko robi się tam tłoczno, ja natomiast cholernie nie chcę składać swojego losu w ręce parunastu na poły ślepych kapitanów, próbujących nie zderzyć się z innym okrętem.

Czy naprawdę zawsze musimy odpowiadać siłą na siłę? Nie moglibyśmy po prostu nie robić nic i dać Rosjanom poprężyć mięśnie przez kilka dni? Nigdy nie rozumiałem sensu zasady proporcjonalnej odpowiedzi.

Nie wnिकam w jej sens. Ale tak działa natura ludzka. Uczestniczył pan kiedyś w bójce w barze?

Rozumiem, że to pytanie retoryczne.

Sytuacja rozwija się tak: niechący potrąca pan kogoś i wylewa mu drinka. On się oburza i popycha pana. Pan udaje, że przeprasza, a jednocześnie szturcha go w pierś. Wszyscy „odpowiadają proporcjonalnie”, aż wreszcie leje się krew, a na podłogę lecą zęby. Nikt tak naprawdę nie chce się bić, ale nikt też nie chce być tym, który się wycofa. Podobnie jest z wojskowymi, tylko sto razy gorzej, a z politykami sto razy gorzej niż z wojskowymi.

My więc będziemy robić swoje, oni swoje, i dopisze nam szczęście, jeżeli w efekcie dwadzieścia milionów ludzi nie pójdzie do piachu.

Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę z ryzyka, kiedy uzgadnialiśmy kierunek działania.

To nie jest... To dość pokrętne ujęcie obecnej sytuacji, nie uważa pan?

Jak to?

Nic przecież nie uzgadnialiśmy. To raczej pan postawił nas przed *fait accompli*. Poinformował nas o swoich działaniach po fakcie i groził, że...

Accompli.

Słucham?

Mówi się fait accompli, co znaczy „fakt dokonany”. Nie ma takiego słowa jak accoupli. Nie wiem, dlaczego ludzie używają wyrażen, których nie rozumieją.

Prosząc o pańskie wsparcie, jasno wyraziłem swoje zamiary. Pan postanowił mi pomóc. Nie musiał pan stawiać mi do dyspozycji wojska. Mógł pan odmówić. Było również w pańskiej mocy powstrzymać mnie w dowolnym momencie. Mógł pan nakazać, aby aresztowano, uwięziono, a nawet zabito mnie i każdego członka mojego zespołu. Gdyby pan nie powiedział nic, byłby to klasyczny przykład milczącej zgody, ale pan poszedł dalej i postawił pewne warunki, po których spełnieniu mieliśmy prawo liczyć na „pełne poparcie rządowe”. Zważywszy na obecną sytuację, nawet rozumiem pańską chęć zdystansowania się wobec tej decyzji, dokonał pan jednak wyboru. Nie cofnie pan tego, nawet jeżeli zginie z tego powodu wielu ludzi.

A co z panem? Panu to nie przeszkadza? Cel uświęca środki?

Mówi pan to tak, jakby to było coś irracjonalnego. Tak. Myślę, że ten konkretny cel uzasadnia sięgnięcie po daleko idące środki. Gdzieś wyznaczam sobie granicę, jak każdy. Tyle że robię to, opierając się na rozsądku, nie emocjach.

A więc zaakceptowałyby pan śmierć kilkuset osób? Tysiąca? Ile ofiar byłoby do przyjęcia? Milion?

Z pewnością nie. Ale tysiąc brzmi rozsądnie.

Dupek z pana, wie pan o tym? Czy to nie nazbyt arbitralne postawienie sprawy?

Jasne, że tak. Ale to nic nadzwyczajnego. Wyścig o to, kto prędzej stanie na Księżycu, kosztował życie ośmiu osób. Kolejne czternaście poniosło śmierć w katastrofach promów „Challenger” i „Columbia”, a jednak program kosmiczny trwa. Eksploracja kosmosu jest na tyle ważna, by uzasadnić te tragedie. Gdyby zginęły nie dwadzieścia dwie osoby, ale dwadzieścia dwa tysiące osób, sytuacja zapewne wyglądałaby inaczej.

Wyzwolenie Kuwejtu kosztowało nas życie około trzystu żołnierzy. Większość ludzi uzna, że to akceptowalny koszt. Ponad cztery tysiące Amerykanów poniosło śmierć w Iraku. Jedni powiedzą, że to zbyt wysoka cena za pozbycie się Saddama, inni że nie. Najwyraźniej rząd uważał wtedy, że było warto.

Ponad dwadzieścia milionów żołnierzy zginęło w II wojnie światowej. Dwadzieścia milionów samych żołnierzy. Wielu ludzi musiało uważać, że ich konkretny

cel usprawiedliwia sięgnięcie po wręcz niewyobrażalne środki.

Głęboko wierzę, że to, co robimy, jest ważniejsze od postawienia stopy na Księżycu czy położenia łapy na paru baryłkach ropy. Porównałbym to raczej z wynalezieniem koła czy opanowaniem umiejętności wzniesienia ognia. Zdaję sobie sprawę, że nie każdy musi tak to widzieć. Chciałbym móc odpowiedzieć, jakie ofiary w ludziach byłyby tu usprawiedliwione, ale nie mogę. Niewykluczone, że w którymś momencie uznamy, że warto poświęcić tysiąc sto pięćdziesiąt jeden osób, ale już nie tysiąc sto pięćdziesiąt dwie osoby. Jest to z definicji kwestia arbitralnego wyboru.

Mogę jednak powiedzieć tyle: w podziemnym magazynie w Denver znajduje się definitywny dowód, że nie jesteśmy sami we wszechświecie, że istnieją cywilizacje wyprzedzające nas o tysiące lat pod względem rozwoju technologicznego i że coraz bliżej nam do wykorzystania części ich wiedzy. To będzie dla ludzkości niewyobrażalnie wielki skok, i nie tylko z technologicznego punktu widzenia. Zupełnie zmieni się nasze postrzeganie świata i samych siebie. Jeżeli nam się uda, Ziemia już nigdy nie będzie taka sama, a my mamy szansę pokierować tą zmianą. Ile ofiar zaakceptowałby pan dla czegoś takiego?

Miejmy tylko nadzieję, że nikt więcej nie umrze, dobrze? Przydałyby się nam dla odmiany jakieś dobre wiadomości, i to szybko. À propos, czy udało się opanować bunt na pokładzie?

Jak najbardziej.

Świetnie. Prezydent zaczyna mieć już tego dość. Słyszał również

o numerze, który wykręcił pan w szpitalu.

Który to mój nikczemny czyn ma pan na myśli tym razem?

Zmusił pan lekarza, żeby wszczepił temu lingwiście jakieś zwariowane metalowe kolana. Sądził pan, że nikt się o tym nie dowie?

Cóż, pacjent potrzebował kolan.

Prezydent widzi to inaczej. Dotąd był gotów tolerować fakt, że realizacja pańskiego projektu powoduje określone zagrożenia dla zwykłych ludzi, a także dał panu praktycznie wolną rękę, jeżeli chodzi o stosowanie prawa międzynarodowego. Ale tym razem przekroczył pan granicę, która miała pozostać nieprzekraczalna. Przeprowadził pan wielce ryzykowną – „eksperymentalną” to mało powiedziane – operację chirurgiczną na obywatelu amerykańskim, nie pytając go nawet o zgodę.

Przepraszam. Nie wiedziałem, że to problem.

Pana to śmieszy?

Trochę. Po pierwsze, niczego nie przeprowadzałem; lekarz to zrobił. Po drugie, pan Couture nie jest obywatelem amerykańskim. Pochodzi z Montrealu. To całkiem spore miasto, wielkości Bostonu, w tym bardzo dużym kraju na północ stąd. Może pan o nim słyszał. Grają tam w hokeja.

To tylko takie wyrażenie.

„Obywatel amerykański” to nie jest wyrażenie. Poważnie mówi mi pan, że prezydent jest niezadowolony, bo nie pozwoliłem jakiemuś lekarzowi zaprzepaścić

naszej najlepszej szansy na sukces? W razie potrzeby mogę pana Couture'a zastrzelić, ale operacja jest dla prezydenta moralnie nie do przyjęcia? Sprawia, że czuje się niezręcznie? Nieswojo? Proszę przekazać prezydentowi, że daliśmy temu człowiekowi naprawdę dobre kolana. A jeszcze lepiej niech mu pan powie, żeby odznaczył pana Couture'a medalem. To poprawi naszemu przywódcy samopoczucie.

Jeżeli pan Couture przeżyje, szanse powodzenia projektu znacznie wzrosną. Pozwolę sobie również przypomnieć, że alternatywą było obsługiwanie sterów nożnych przez pilota bez nóg. Zaistniała wyjątkowa okazja i ja z niej skorzystałem. Bez wahania zrobiłbym to ponownie.

Następnym razem, gdy będzie zamieniał pan kogoś w człowieka za sześć milionów dolarów, niech pan go najpierw zapyta o zgodę. Według prezydenta to, co pan zrobił temu lingwiście, kwalifikuje się jako tortura.

Z całym szacunkiem, ale zupełnie się nie zgadzam. Może pan powiedzieć prezydentowi, co tylko zechce. Pańska sprawa.

...

Panie Woodhull?

Wie pan, z tym medalem to nie taki głupi pomysł.

To był sarkazm. Nie możecie... A zresztą nieważne. Tak. Dajcie mu medal.

DOKUMENT NR 141

WYWIAD DOKTOR ROSE FRANKLIN

**Miejsce: kompleks podziemny, Denver,
stan Kolorado**

Gdzie Kara? Nie przyszła dzisiaj do pracy.

Wykonuje pewne zadanie. Chciałbym móc powiedzieć pani więcej, ale ona za kilka dni wróci. Słyszałem, że pani też wyjeżdżała.

Nic panu nie umknie, co? Tak, pojechałam odwiedzić Ryana.

Nie wiedziałem, że wolno go odwiedzać.

Nie wolno. Ale najwyraźniej psychiatrów rządowych zakaz nie obowiązuje.

Nie sprawdzili, kim pani jest?

Widzi pan, ci z NSA nie odebrali mi legitymacji. Mam tam wpisane „doktor”...

Muszę przyznać, że jestem nieco zaskoczony. To do pani niepodobne.

To komplement czy krytyka?

Ani jedno, ani drugie. Podkreślam tylko, że nie spodziewałbym się po pani takiego zachowania. Jest pani niezwykle odważna, ale również bardzo racjonalna i metodyczna. A wizyta w Fort Carson wydaje się działaniem trochę pochopnym, impulsywnym. Takie określenia przychodzą mi do głowy raczej w związku z panną Resnik.

To jej pomysł... Powiedziała, że wpłaci pan kaucję, jeżeli mnie aresztują.

Na to bym nie liczył.

Cóż, nie zostawiłabym go tam samego. Chciałam, żeby wiedział, że są ludzie, którzy wciąż się o niego troszczą. Bardzo się zdziwił na mój widok. Tak się wstydzi tego, co zrobił; nie spodziewał się, że ktokolwiek się nim przejmie.

Najgorsze, jak mówi, jest to, że wszystko pamięta. Godziny poprzedzające zdarzenie giną w oparach alkoholu, ale sam wypadek zapamiętał w najdrobniejszych szczegółach. Wciąż widzi twarz Vincenta, kiedy na niego najechał. Zaproponowałam, że znów go odwiedzę, jeżeli się zgodzi.

Biorąc pod uwagę sytuację, pan Couture również nie żywi wobec niego specjalnej urazy. To zdaje się charakterystyczne dla przedstawicieli środowiska naukowego. Zakładam, że chorąży Resnik nie przyłączyła się do pani.

Nie, Kara to zupełnie inna historia. Ona... czuje się odpowiedzialna. I nie posunęłabym się tak daleko, by powiedzieć, że mu przebaczyłam. To, co zrobił, jest okropne. Ale wiem też, przez co przeszedł. Z pewnością pan to zrozumie.

Rozumiem, że okoliczności są wyjątkowe i że należy spodziewać się intensywnych emocji. Rozumiem, że silny pociąg do kogoś łatwo prowadzi do napięć i że strata w tym kontekście bywa wyolbrzymiana. Rozumiem również, że w identycznych okolicznościach pani, panna Resnik i pan Couture nie próbowaliby nikogo zamordować. Pan Mitchell natomiast usiłował zabić kolegę z pracy, okazał głębokie lekceważenie dla życia i zdrowia członka amerykańskich sił zbrojnych i naraził na szwank powodzenie być może najważniejszego przedsięwzięcia w nowożytnej historii. Myślę, że rozumiem doskonale.

Może ma pan rację. Ale to nie jest cała prawda. To, co zrobił, jakkolwiek byłoby straszne, nie unieważnia całej reszty jego życia. Ryan ma rodzinę, matkę, która go urodziła, karmiła, kąpała. Ubierała do szkoły. Woziła na treningi futbolu. Ona nie będzie postrzegać tej sprawy w czarno-białych kategoriach. Nie może. Ja też nie. Odmawiam takiego podejścia.

Wcześniej go pan doceniał. Cóż, jego przeszłość pozostaje niezmienną. Wszystko, co zrobił przed tamtym dniem, pozostaje w mocy. Ryan wie, że skrzywdził nie tylko Vincenta, ale innych ludzi też. Musi z tym żyć. Uważam, że to wystarczająco ciężka kara.

Pozwolę sobie się nie zgodzić, ale różnijmy się pięknie. Nie jestem tu po to, aby omawiać kwestię pana Mitchella ani pani emocjonalną reakcję na jego obecne położenie. Zawiadomiono mnie o incydencie w laboratorium.

Można to tak nazwać. Bez Vincenta praca nad konsolą stanęła w miejscu. Kara niecierpliwiła się, bo nie miała, z kim ćwiczyć. Po wyjeździe Alyssy zrobiło się pusto.

Gdzie jest pani Papantoniou?

Myślałam, że pan wie. Cofnięto jej wizę. Jakieś formalne niedopatrzenie. W poniedziałek odesłano Alysę do Grecji.

Przykro mi to słyszeć. Podobno jest świetnym naukowcem.

To prawda. Ale miała problem z nawiązywaniem relacji; chyba nie zawarła tu żadnych przyjaźni. Przyznam, niełatwa osoba. Miała własne zdanie na temat sposobu zarządzania projektem, ale z drugiej strony postępy, jakie ostatnio poczyniliśmy, w dużym stopniu zawdzięczamy jej pomysłom.

Tego nie wiedziałem.

Tak. Po znalezieniu drugiej części skupiliśmy się na samym robocie. Ponieważ Vincenta nie ma i nie da się ćwiczyć sterowania, Alyssa zasugerowała, żebyśmy przyjrzeni się materiałowi, z którego robot jest zbudowany. Wiemy, że części aktywują się w kontakcie z materiałem radioaktywnym, ale warto było zbadać, jaki to ma związek z samym materiałem. Ponieważ w laboratorium jesteśmy teraz tylko we dwie, postanowiłam poprosić Karę, aby pomogła mi przeprowadzić kilka eksperymentów zaprojektowanych przez Alysę.

Nie bardzo rozumiem. Czy nie wykonała pani analizy metalurgicznej już dawno temu?

Owszem, wykonałam, i to kilkakrotnie. Każda część to blok litego metalu, który zawiera osiemdziesiąt dziewięć procent irydu, dziewięć i pół procent żelaza i półtora procent innych metali ciężkich. O fizycznych właściwościach tego stopu mogłabym opowiadać godzinami. Tyle że nic nie byłoby prawdą. Ten stop powinien ważyć dziesięć razy więcej niż w rzeczywistości. Metal nie emituje światła układającego się w dziwne wzorki i z pewnością się nie porusza, kiedy zetkniemy ze sobą dwa kawałki. Według

posiadanej przez nas wiedzy patrzymy na lity metal, ale fizyczne właściwości wskazują, że jest to w istocie skomplikowany mechanizm.

Wymyślam więc eksperymenty, które powiedzą nam więcej niż analiza metalurgiczna. Wiem, że to brzmi trochę podejrzenie, ale tak właśnie jest. Improvizuję na bieżąco.

Najpierw wystawiłam płyty na działanie plutonu-238 i zmierzyłam wydatek świetlny. Okazuje się, że części nie tylko „budzą” się w efekcie styczności z materiałem radioaktywnym, ale też „karmią” się nim – każdym rodzajem energii nuklearnej, jak się zdaje. Wystawienie płyt nawet na niewielkie promieniowanie powodowało wzrost wydatku świetlnego o około pół procent.

Czyli promieniowanie je napędza?

Tak bym przypuszczała, ale nie to jest najciekawsze. Udało nam się wcześniej odciąć kawałeczek jednej płyty do analizy. Zatopiłam go w przezroczystej żywicy. Leżał na moim biurku jako przycisk do papieru. Gdy zauważyliśmy wzrost świetlistości płyt, wpadłam na pomysł, by zmierzyć, ile energii materiał zdoła wchłonąć. Umieściłam fragment w zamkniętym środowisku w bezpośredniej styczności z plutonem. Okazuje się, że metal pochłania promieniowanie, ale dość szybko się nasycza i musi oddać nadmiar energii.

W momencie rozładowania emituje bardzo silny impuls elektromagnetyczny. Dwa komputery, które znajdowały się w pomieszczeniu, padły. Możliwe, że części w momencie aktywacji emitują taki sam impuls. To tłumaczyłoby uziemienie helikoptera w Turcji, chociaż impuls elektromagnetyczny nie wyjaśniałby awarii silnika. Teraz, kiedy wiem, czego oczekiwać, będę monitorować wszystko, co się da. Chcę również sprawdzić, czy inne rodzaje energii wywołują identyczny efekt.

Gdyby już nie powiedział tego ktoś inny, stwierdziłbym:

fascynujące.

Cieszę się. Ale nawet nie to jest najciekawsze. Naprawdę interesujący jest fakt, że ten materiał generuje niezwykle silne pole energetyczne, na tyle silne, że niszczy obiekty znajdujące się w pobliżu.

Co to znaczy „niszczy”? Następuje jakaś eksplozja?

Nie. Nic nie wybucha. Materia po prostu znika, jakby wyparowała, chociaż nie ma żadnej pary. Przeprowadzałam eksperyment w dużym szklanym tyglu. W jego ścianie pojawiła się idealnie okrągła dziura – chirurgiczna precyzja, jak cięcie laserem. Nie było ani ciut popiołu, resztek, nawet najmniejszego śladu, że brakujący fragment kiedykolwiek istniał.

Ile energii mógłby pochłonąć cały robot?

Bardzo dużo. Jeżeli ten mały kawałek metalu potrafi wydzielić tyle energii, by zrobić dziurę o średnicy trzydziestu centymetrów, to nawet nie próbuję sobie wyobrazić, ile energii pochłonęłyby całe jego kilotony. Oczywiście nie mogę umieścić w jego pobliżu żadnych przyrządów, ale gdy znajdę sposób obliczenia wydatku energetycznego tego małego odłamka, to ekstrapoluję wartość dla całego robota.

Czy robot wytrzymałby uderzenie rakiety albo bomby?

To skomplikowana sprawa. Pociski konwencjonalne generują ciepło, ale większość uszkodzeń powoduje zwykle energia kinetyczna. Nie mam pojęcia, jak ten materiał na nią reaguje. Przeprowadzę eksperymenty. Może wystarczy przyłożyć młot do płyty i zmierzyć wydatek świetlny. Coś wymyślę.

Odcięcie kawałka płyty wymagało ogromnego nakładu sił. Nie wyobrażam sobie, żeby fala uderzeniowa spowodowała jakies

uszkodzenia. Gdyby była wystarczająco silna, pewnie zdołałaby go przewrócić. Ale nie znam się wystarczająco na rodzajach broni.

A eksplozję nuklearną przetrwałyby?

Nie wiem. Może tak? Ważniejsze jednak wydaje się to, jak skutecznie sterownia jest ekranowana od warunków zewnętrznych. Sam robot może być niezniszczalny, ale to nie będzie miało większego znaczenia, jeżeli zginie obsługa, prawda?

Tak czy owak, gdyby przetrwał zaatakowany głowicą nuklearną, ilość energii, jaką by wyzwolił, byłaby zapewne równie niszczycielska. Chyba że zostałaby jakoś ukierunkowana. Kawalek, którego użyłam, waży zaledwie kilka gramów, jest mniejszy od paznokcia małego palca, a zrobił całkiem sporą dziurę. Dopiero teraz zaczynam rozumieć, jak ten robot może być potężny. Muszę przyznać, że to zaczyna mnie przerażać.

Jak pani sądzi, po co został zbudowany?

Dotąd próbowałam nie zwracać uwagi na fakt, że to może być urządzenie bojowe, w dodatku o gigantycznej mocy. Ale teraz kiedy o tym myślę, nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód konstruowania czegoś tak ogromnego. Żaden praktyczny powód. Jeżeli uda nam się złożyć całego robota, będzie ważył około siedmiu tysięcy ton. Zniszczy wszystko, na co nastąpi. Niepokoi mnie, że zdeptałby dziesięcioletnią armię, nawet gdyby ważył jedną dziesiątą tego. Sześć tysięcy lat temu nie istniało nic tak potężnego, co uzasadniałoby użycie broni na równie wielką skalę, w każdym razie nic na Ziemi.

Ma aż taką moc?

Musimy tylko znaleźć głowę, żeby się przekonać.

Wkrótce uzyskamy wszystkie odpowiedzi. Niestety

będziemy musieli zejść po nie w morskie głębiny.

Myślałam o tym. Mam jednak nadzieję, że obejdzie się bez tego, bo mój magiczny proszek nie działa zbyt dobrze w wodzie. Uruchomienie nowego systemu rozprzestrzeniania substancji zajęłoby miesiące, a przeszukanie oceanów o wiele dłużej. Cokolwiek wymyślę, rozpylanie pod wodą będzie o wiele wolniejsze. Przy użyciu łodzi podwodnej, pojazdu stosunkowo ślamazarnego, odnalezienie czegokolwiek potrwałoby całe dziesięciolecia. Może to pobożne życzenia, ale naprawdę liczę na to, że ktokolwiek ukrywał te artefakty, bał się wody.

Nie zrozumiała mnie pani. Ja dokładnie wiem, gdzie znajduje się głowa. Na dnie morza. Morza Beringa.

DOKUMENT NR 143

WYWIAD KAPITAN DEMETRIUS ROOKE, MARYNARKA USA

**Miejsce: baza łodzi podwodnych Bangor,
półwysep Kitsap, stan Waszyngton**

Proszę podać nazwisko i stopień.

Kapitan Demetrius Rooke, marynarka Stanów Zjednoczonych.

Jaki jest pański obecny przydział?

Dowodzę okrętem podwodnym USS „Jimmy Carter”, oznaczonym jako SSN-23.

Jeżeli dobrze rozumiem oznaczenie, to myśliwski okręt podwodny o napędzie atomowym.

Tak jest, sir. Klasa *Seawolf*.

Od jak dawna nim pan dowodzi?

W październiku minie pięć lat, sir.

Nie jestem wojskowym. Nie musi mnie pan tytułować

„sir”.

Jak zatem mam się do pana zwracać?

No dobrze, może być „sir”. Proszę własnymi słowami opisać, co się wydarzyło rankiem 17 sierpnia.

Oczywiście. Wyszliśmy z bazy Bangor razem z USS „Maine”. To wyposażony w pociski balistyczne atomowy okręt podwodny typu *Ohio*. Byliśmy na kursie do bazy nasłuchowej SEAFAC w Ketchikan na Alasce w celu przeprowadzenia tygodniowych ćwiczeń z wykrywalności, kiedy skontaktował się z nami sekretarz Marynarki Wojennej.

To znaczy ktoś z jego biura?

Nie, sekretarz we własnej osobie. Już samo to wydawało się niezwykle. Rozkazy były równie dziwne. Dostaliśmy polecenie, aby przechwycić dwa rosyjskie okręty podwodne na Morzu Beringa i zabezpieczyć to, co tam znajdziemy. Mieliśmy, o ile to możliwe, unikać bezpośredniej konfrontacji, ale w razie konieczności mogliśmy użyć siły.

Nie wiem, czy rozmawiał pan kiedykolwiek z sekretarzem, ale facet ma naprawdę tubalny głos. Mówi powoli, wyraźnie, z namysłem. Nie da się nie zrozumieć, o co mu chodzi, ale i tak poprosiłem, żeby powtórzył. Nie sądzę, by jakkolwiek dowódca okrętu podwodnego słyszał te słowa od czasu II wojny światowej.

Najpierw musieliśmy wrócić do Bangor po pewną damulkę z wojska w stopniu starszego chorążego, występującą w roli doradcy. Atrakcyjna babka. Stamtąd wzięliśmy kurs na zachód. Przy maksymalnej prędkości do Morza Beringa płynie się około sześćdziesięciu godzin.

Mieliśmy wydobyć jakiś potężny reaktor nowego typu, wykorzystujący technologię, która nie mogła wpaść w ręce Rosjan.

Wcześniej był transportowany do tajnej bazy na Alasce, kiedy coś się wydarzyło i musieli wyrzucić go za burtę. Helikopter pani doradcy eskortował tamten statek, a ona sama знаła urządzenie. Dlatego musieliśmy wziąć ją na pokład.

Od razu chciała iść do sterówki. Jeden z poruczników odparł, że zawiadomimy ją po dotarciu na miejsce, ale nalegała. Nastąpiła wymiana zdań. Mój zastępca musiał interweniować. Z początku to zlekceważyłem. Myślałem, że dostała lekkiej klaustrofobii. Czasem tak bywa, kiedy ludzie pierwszy raz płyną łodzią podwodną. Ciasno, nisko, wąsko – niektórym trudno się przyzwyczaić. Stają się rozdrażnieni. Pozwoliłem jej trochę poszumieć i machnąłem na to ręką.

Wpuścił ją pan do sterówki?

Nie, nie od razu. Dałem jej znać jakieś dwanaście godzin przed dotarciem do celu. Wydawała się spokojna i opanowana. Okrążyliśmy półwysep Alaski i z Dutch Harbor wzięliśmy kurs na północ. Po jakichś dziesięciu milach sonar wykrył trzy obiekty. Na dnie niedużego klifu leżał na boku okręt podwodny klasy *Akuła*. Wydawał się unieruchomiony. Sześćset metrów dalej na zachód stał „Sankt Petersburg”. Uważnie nas obserwował.

„Sankt Petersburg”?

Okręt podwodny typu *Łada*. To jednostka główna. Zaprojektowano go właśnie do tego typu operacji. Niszczenie okrętów podwodnych, obrona baz i tak dalej. Musieli go przysłać, kiedy *Akuła* przestał reagować. Czymkolwiek był ten „reaktor”, pilnie go strzegli i nie pozwalali nam się do niego zbliżyć.

Myśli pan, że to nie był reaktor?

Nie mnie o tym rozstrzygać. Spory obiekt, o średnicy jakichś dziesięciu metrów, spoczywający pomiędzy „Petersburgiem”

a unieruchomioną *Akułq*. Sonar pokazywał, że to metal. Gdy chcieliśmy podejść bliżej, „Petersburg” zablokował nam drogę.

Stanęliśmy. „Maine” próbował wyminąć „Petersburga”. Mieliśmy nadzieję, że w obliczu dwóch jednostek wycofa się. A skąd! Patrzył prosto na nas i zalał luki torpedowe.

Co wtedy zrobiliście?

Nic. „Maine” też się zatrzymał. Czekaliśmy. Okręty podwodne to powolne, niezgrabne maszyny. Sporo czasu schodzi nam na staniu i czekaniu. Jesteśmy w tym dobrzy.

Mieliście rozkaz otwarcia ognia w razie konieczności.

Nie widziałem takiej potrzeby. I nie byłem jeszcze gotów dać się rozwalić na kawałki. Mogliśmy załatwić „Petersburga”, ale nie wcześniej niż wyprztyka się z całej amunicji.

Jak długo czekaliście?

Mniej więcej dzień. Tak jak mówiłem, jesteśmy dobrzy w czekaniu. Następnego ranka dostaliśmy ostrzeżenie, że zbliża się rosyjska korweta. Miała być na miejscu za dziewięćdziesiąt minut. Musieliśmy działać szybko. Korweta jest przystosowana do zwalczania łodzi podwodnych, z pewnością przejęłaby cel i wzięła go na pokład albo odholowała.

Dałem rozkaz zalania i otwarcia luków torpedowych i za pośrednictwem gertrudy[8] kazałem USS „Maine” zrobić to samo. Rosjanie odpowiedzieli identycznym manewrem. Wtedy sprawy się skomplikowały. Pani chorąży „zasugerowała”, żebyśmy się wynurzyli i ostrzegli Rosjan, że zniszczymy obiekt, jeżeli miałby dostać się w ich ręce.

Zrobił pan to?

Nie. Nawet nie miałem zamiaru. Nadpływała korweta. Wtedy pani chorąży poprosiła mnie – a raczej rozkazała – żebym rzeczywiście go zniszczył. „Ognia!”, krzyknęła. „Ze wszystkiego, co macie!”

Moje rozkazy były takie, żeby zabezpieczyć obiekt, w razie konieczności strzelać do Rosjan, a nie żeby rozwalić to, po co przy płynęliśmy. Oczywiście odmówiłem. Zapewniła mnie, że obiekt nie ulegnie zniszczeniu, a powstała fala uderzeniowa zmusi Rosjan do odwrotu, dając naszej kawalerii czas na dotarcie z odsieczą. Nie miałem nawet pewności, czy jakakolwiek odsiecz rzeczywiście jest w drodze. Nazwała mnie głupcem.

Co pan jej odpowiedział?

„Zachowuje się pani niestosownie”. Zapowiedziałem, że każę ją usunąć, jeżeli natychmiast nie przestanie. Wtedy – pamiętam doskonale, bo to była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewałem – podniosła głos, żeby się upewnić, że wszyscy w sterówce ją słyszą, i oznajmiła: „Na podstawie upoważnienia udzielonego mi przez prezydenta Stanów Zjednoczonych przejmuję dowództwo nad tym okrętem”.

Odważnie.

Można to tak nazwać. Wezwałem ochronę i kazałem pierwszemu ją aresztować. Chwycił ją za ramię, a wtedy sytuacja przyspieszyła. Pani chorąży założyła mu dźwignię i grzmotnęła jego głową o pulpit. Przybyli dwaj uzbrojeni strażnicy. Jednego kopnęła z obrotu, a drugiemu złamała pięścią nos i przyfasowała nogą w krocze. Musiała któremuś z nich wyrwać broń, bo ani się obejrzałem, a miałem lufę przytkniętą do skroni. Kazała nam stanąć pod ścianą.

Zjawiło się kolejnych czterech uzbrojonych ludzi. Zaczęło się wzajemne pokrzykiwanie. Wyczułem, że moi ludzie tracą

cierpliwość, więc kazałem wszystkim opuścić broń. Musiałem to powtórzyć kilka razy, ale w końcu posłuchali. Zapytałem ją, co teraz. Oznajmiła, że są dwa wyjścia: mogę storpedować obiekt, tak jak mi kazała, albo wynurzyć się, żeby potwierdzić jej rozkazy. Miałem wątpliwości, co do jej motywów, ale widać było, że jest zdeterminowana. Nie zawahałaby się mnie zastrzelić, to na pewno. A jednak, biorąc pod uwagę okoliczności, wydawała się spokojna, więc uznałem, że raczej całkiem nie postradała rozumu.

Powiedziałem jej, że nie ma mowy o wynurzeniu się, bo zaraz nadpłynie korweta, ale że strzelę torpedami w obiekt, jeżeli „Maine” będzie trzymał „Petersburg” na celowniku. Tyle że nie zrobię tego z lufą przy głowie. Musi mnie puścić.

Uwierzyła panu?

Dałem jej słowo jako oficer marynarki. Odłożyła pistolet. Pierwszy znokautował ją, chyba łamiąc jej nos przy okazji. Chłopcy zabrali panią chorąży do aresztu.

Wystrzelił pan torpedy?

Dałem przecież słowo. Odpaliliśmy dwie. Obie trafiły w cel.

I co się stało?

Nic. Znaczący, nie tyle nic, tylko nie to, czego się spodziewaliśmy. Gdy torpedy eksplodowały, przygotowaliśmy się na falę uderzeniową. Byliśmy stosunkowo blisko celu. Silnik zamilkł, wszystkie światła zgasły. Słyszeliśmy jedynie skrzypienie kadłuba pod ciśnieniem. Zaczęliśmy się obracać dziobem do góry i na bok, musieliśmy się czegoś złapać. Unosiliśmy się w ten sposób przez jakieś sześć godzin, a potem coś dotknęło kadłuba. Ewakuowali nas łodzią ratunkową, grupami po dwunastu.

Wychodzi na to, że posłali za nami całą flotyllę: kilka fregat, dwa niszczyciele i krążownik. Musiały być niedaleko, kiedy to się

zdarzyło. Przez bulaj okrętu ratunkowego widzieliśmy „Sankt Petersburg” – a właściwie jego cień. Otaczało go błękitne światło. Brakowało mu części rufy. Była ucięta równo jak pod sznurek, nie poszarpana jak po eksplozji. Żeby zrobić takie cięcie, trzeba by użyć lasera albo palnika. Potem łódź ratunkowa udzieliła pomocy Rosjanom. Mieli szczęście. Grodzie tylnej komory były zamknięte, kiedy odcięło im rufę; zginęło tylko dwóch ludzi.

Zapytałem załogę krążownika: „A co z *Akułą*?”. Nie wiedzieli, o co chodzi. Kilku z nas musiało ich przekonywać, że kiedy dotarliśmy na miejsce, na dnie tkwił okręt klasy *Akuła*. Tyle że teraz już go tam nie było. Pyk! Zniknął jak w magicznej sztuczce. Nic nie zostało po wraku. Żadnych resztek unoszących się w wodzie, żadnego śladu, że w ogóle tam leżał.

A co z panią chorąży?

Nigdy więcej jej nie widziałem. Poinformowano mnie, że stanie przed sądem wojskowym. Musiała mówić prawdę. Na temat swoich rozkazów.

Ale powiedział pan, że...

Wyjaśnili mi również bardzo dobitnie, że nic z tego się nie wydarzyło. Nie przypuszczam, żeby kogokolwiek sądzono za coś, co się nie wydarzyło.

Zawsze jest pan takim cynikiem? Odnoszę wrażenie, że często wątpi pan w to, co słyszy.

To wszystko bzdury, jeżeli chce pan znać moje zdanie. Wywiad wojskowy. Wymyślają różne niestworzone historie i tylko dlatego, że nie zadajemy pytań, sądzą, że w nie wierzymy. Zapominają, że mają do czynienia z ludźmi, których się uczy, by nie zadawali pytań. Tak naprawdę wolałbym, żeby nie przekazywali mi żadnych informacji. To lepsze niż być okłamywanym.

Czy ja też pana okłamuję?

Trudno stwierdzić, bo nic mi pan jeszcze nie powiedział. Ale spróbujmy. Czym był obiekt, do którego strzelałem? Tak jak mówiła, nie został uszkodzony. Widziałem go po wciągnięciu na pokład, tyle że leżał przykryty czarnym brezentem. Trafiłem go dwiema torpedami...

Założmy na moment, że mógłbym podać panu wyjaśnienie, nazwijmy to, alternatywne. Zapewniam, że uznałby je pan za tak niedorzeczne, że wyszedłby pan stąd, święcie wierząc, że rzeczywiście strzelał do wyrzuconego za burtę prototypowego reaktora. Zaoszczędzę więc czasu nam obu i daruję sobie wyjaśnienia. Ale powiem jedno: to, co pan zrobił, miało znaczenie.

Dziękuję. Myślę, że to właśnie chciałem usłyszeć. A tej pani chorąży kiedyś chętnie uściskałbym dłoń. Ma dziewczyna charakter.

Pozdrowię ją od pana.

DOKUMENT NR 161

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: kompleks podziemny, Denver,
stan Kolorado**

Dłużej tego nie wytrzymam. Mam wrażenie, że obserwuję jego agonię, codziennie, cały czas. Jeżeli nie jest nieprzytomny, cierpi. Nikt nie zniesie takiego ciągłego bólu. Dziwne, że tyle wytrzymał.

Ale może chodzić, prawda?

Nie! Nie może! Nie da się tego nazwać chodzeniem. Pan i ja chodzimy. On zrobi kilka kroków i już się trzęsie. Potem pada na ziemię i – ze względu na nas – udaje, że aż tak nie bolało. Już trzy razy dzisiaj musiałam podnosić go z podłogi. Nikt nie chce dodawać mu cierpienia, więc wszyscy milczą.

A gdyby mogli, co by powiedzieli?

Że praktycznie nie ma mięśni.

Bierze sterydy?

Oczywiście. Ale jego organizm już zaczyna się do nich

przystosowywać. Lekarz mówi, że ta tolerancja będzie wzrastać.

Znajdziemy mu nowy specyfik.

Nie możecie pompować w niego eksperymentalnych leków. I tak już bardzo dużo przeszedł.

Wolałaby pani, żeby cierpiał?

Nie musi cierpieć. Wyjmijcie z niego te żelastwa i dajcie mu spokój. Jak będzie gotowy, nauczy się chodzić, używając protez.

Zdaje sobie pani sprawę, że gdyby stracił nogi, to oznaczałoby koniec projektu. Byłaby pani gotowa zaprzepaścić wszystko, co zrobił, co zrobiliście, aby zaoszczędzić panu Couture'owi paru tygodni bólu?

To nie jest kwestia paru tygodni. I jeżeli mam dalej patrzeć na jego agonię, to tak, poddaję się. My go zabijamy! Zresztą to wcale nie musiałoby oznaczać końca. Znajdziemy sposób, żeby hełm reagował na kogoś innego. Zmodyfikujemy stery, żeby Vincent obsługiwał je rękami. Możemy wykombinować sto różnych rzeczy zamiast go torturować. To, co mu robimy, jest po prostu nie w porządku.

Z tego, co mówi doktor Franklin, wynika, że rozpracowanie działania hełmu zajmie dziesięciolecia, jeżeli nie stulecia. Chciałbym również zauważyć, że pani i pan Mitchell – kondycyjnie o wiele lepszy od Couture'a – ćwiczyliście setki godzin w sterowni i udało wam się sprawić, że robot przeszedł w najlepszym razie kilka kroków. Nie może pani poważnie sugerować, że pan Couture sterowałby nogami robota za pomocą rąk, a jednocześnie obsługiwał konsolę. To byłoby niebezpieczne dla was obojga. Vincent Couture jest

dorośli. Dlaczego nie miałby zdecydować sam?

Nie, no oczywiście zgodzi się brać nowe leki, jeżeli dacie mu wybór. Zrobiłby wszystko, żeby projekt ruszył z miejsca.

Niektórzy nazwaliby to oddaniem. Nie traktowałbym tego jako problem.

Nie chodzi tylko o jego ciało. Zmienił się też mentalnie.

Jest przygnębiony?

Nie, wręcz przeciwnie. Mówi, że dzięki tym wszystkim przejściom postrzega sprawy inaczej. Podkreśla, jak bardzo docenia każdy drobiazg. Powinien go pan zobaczyć, jak się zachowuje w moim towarzystwie. Uprzejmy... skupiony nie tylko na sobie. To mnie przeraża.

Ludzie nierzadko znajdują pozytywne strony negatywnej sytuacji.

Jasne. Już to słyszałam: „Życie dało mi wielką lekcję”. „Teraz wiem, co w życiu ważne”. Myślę, że czasem to nawet prawda. Ale coś tu nie gra. To do niego nie pasuje. Według mnie jest na skraju załamania nerwowego i szuka sposobów, żeby nie osunąć się w szaleństwo.

Miło, że troszczy się pani o przyjaciela, ale naprawdę wierzę, że robi zdumiewające postępy, fizycznie i psychicznie. A skoro mowa o postępach fizycznych: jak się goi pani nos? Wciąż ma pani trudności z oddychaniem?

Miło, że troszczę się o przyjaciela...? Powinien pan kiedyś siebie posłuchać. Z nosem wszystko w porządku. Podczas snu wciąż jeszcze muszę oddychać przez usta, ale jest coraz lepiej.

Powiedziano mi, że usunięcie blizny będzie wymagało operacji plastycznej. Nie wiem, czy się zdecyduję. Szkoda, że hełm nie sięga tak daleko, miałabym sprawę z głowy.

Odważnie pani zadziałała. Mogli panią zastrzelić. Powinni. Zdaje sobie pani sprawę, jakie to było niebezpieczne?

Wiem. Tyle że ja tego nie zaplanowałam. Albo wszyscy byśmy zginęli, albo Rosjanie zabraliby głowę. Nigdy tak naprawdę nie bałam się umierać, ale głupio tak znaleźć ostatnią część i wypuścić ją z rąk. Mówię sobie, że to było skalkulowane ryzyko, prawda jednak jest taka, że zareagowałam instynktownie. Po prostu mnie wkurzyli.

W pani przypadku należało się spodziewać impulsywnego zachowania. Ale skąd się wzięło przekonanie, że głowa nie ulegnie zniszczeniu?

Powiedzmy, że się domyśliłam. Wie pan, że pomagałam doktor Franklin w przeprowadzeniu niektórych eksperymentów. Założyłam, że skoro małeńki skrawek metalu jest w stanie wchłonąć dużą ilość energii, to tak duży obiekt spokojnie przetrwa uderzenie kilku torped. Jasne, powie mi pan, że to było niepotrzebne ryzyko, że mogłam coś zepsuć.

Nic takiego nie powiem. Wybrałem panią z powodu tego, kim pani jest. I dlatego też panią tam posłałem. Mówiąc szczerze, sam nakazałbym oddać salwę. Ciekawi mnie jednak, skąd pani wiedziała, że okręty podwodne zostaną unieruchomione. Według mojej wiedzy impuls elektromagnetyczny nie rozchodzi się pod wodą, a jeżeli nawet, to nie wpłynąłby na takie jednostki.

Myślałam o tym, ale mojemu helikopterowi też nic nie powinno

się stać – jest przed czymś takim chroniony. A jednak silnik stanął, zdarzyło się tak dwa razy. Cokolwiek ta rzecz emituje, jest paskudztwem. A gdyby samo torpedowanie nie zadziałało, to miałam nadzieję, że fala uderzeniowa przynajmniej odepchnie Rosjan.

Wciąż szukają drugiej rosyjskiej łodzi podwodnej.

Żal mi tych ludzi. Nie sądziłam, że ich jednostka zostanie zniszczona.

„Unicestwiona” byłoby lepszym określeniem. To, co po niej zostało, to tylko półkoliste wgłębienie w skale i gromada bardzo zdziwionych marynarzy.

Nie złożą raportu po powrocie do bazy?

A co mieliby w nim napisać? Że druga łódź podwodna nagle zniknęła? Wiedzą, że my jej nie zabraliśmy. Tak naprawdę liczy się to, że zdobyliśmy głowę. Uporaliście się już z montażem?

Nie. Nawet jej nie rozpakowaliśmy. Doktor Franklin chce, żebyśmy najpierw sprawdzili wszystko na konsoli. Jeżeli teraz będzie widać efekt na hologramie, to później unikniemy nieprzyjemnych niespodzianek.

Myślałem, że ciekawość zwycięży.

W moim przypadku tak by się stało. Zamontowałabym tę głowę od razu po powrocie. Przynajmniej wiedzielibyśmy, czy działa. Ale wtedy Vincent jakby się nagle ocknął. „Jeden z tych przycisków może oznaczać samozniszczenie”, powiedział. Fajnie było zobaczyć przebłysk starego dobrego Vincenta. Jego oczy nie są takie same od czasu wypadku, ale przez chwilę patrzył na mnie tak jak kiedyś.

Oczywiście nie miałam na to żadnej inteligentnej odpowiedzi. Zgodziliśmy się, że trzeba kontynuować pracę nad konsolą, podczas gdy Vincent będzie zdrowiał.

Nie znaleźliśmy przycisku samozniszczenia, ale trafiliśmy na polecenie, które rozkłada naszą dziewczynę na części. W lewym górnym rogu konsoli jest mały guzik. Gdy się go wciśnie i dłużej przytrzyma, robot kładzie się na brzuchu, z rękami wzdłuż boków, a wszystkie części się rozłączają – w każdym razie na hologramie. W sklepieniu sterowni jest wyłącz dla obsługi – gdy pomieszczenie pozostaje w tym samym położeniu – tylko ciekawe, jak mielibyśmy tam się dostać.

Odkryliście jakieś uzbrojenie?

Jeszcze nie, ale wypróbowanie wszystkich kombinacji przycisków może zająć długie tygodnie, a niektóre komendy nie powodują zmian w hologramie. To może być pańskie uzbrojenie.

Moje uzbrojenie?

Wie pan, co mam na myśli... Teraz widzimy tylko ruchy. Jeżeli jakiś guzik sprawia, że z jej oczu biją turkusowe błyskawice, nie dowiemy się o tym, dopóki nie użyjemy go naprawdę. Będziemy musieli to wszystko sprawdzić, jeśli Vincent odzyska dość sił.

A raczej: kiedy odzyska dość sił.

Jasne, właśnie to chciałam powiedzieć. Proszę mi obiecać, że nie będzie go pan do niczego zmuszał.

Mówi pani tak, jakbym sprawował nad nim jakąś kontrolę. Nie mogę go do niczego zmusić.

W pewnym sensie może pan. On pana słucha. Nie wiem dlaczego. Nie potrafię zrozumieć, czemu akurat panu ufa, ale tak

jest. Proszę nie nadużyć tego zaufania.

Oboje wiemy, że pan Couture bardziej wierzy opiniom pani i doktor Franklin niż moim. Proszę nie zaprzeczać.

To prawda, ufa nam... mnie... prawie we wszystkim, ale też zdaje sobie sprawę, jak bardzo jego los leży nam na sercu. Wie, że zawsze będzie nami kierowała troska. Myślę, że w jakiś dziwny sposób bardziej wierzy pańskiemu... obiektywizmowi.

Sądzi pani, że przestałem być obiektywny?

Przestał pan? Nie. Według mnie od początku nie był pan obiektywny. Nie wyobrażam sobie, jak ktoś mógłby zaangażować się w ten projekt i zachować obiektywizm. Doktor Franklin jest naukowcem. Jeżeli ktokolwiek powinien być tu obiektywny, to ona, ale nie wykazuje cech robota, jest ciekawa, dumna. Choć dążąc do realizacji swoich planów, na pewne rzeczy musi pozostać ślepa. To samo odnosi się do mnie, a tym bardziej do pana. Pan ma własne cele i nie ustąpi pan, dopóki ich nie osiągnie. Nie mówię, że chodzi panu o korzyści osobiste – uważam, że pańskie motywy są tak naprawdę mniej egoistyczne niż nasze – ale to nie czyni pana mniej stronniczym. Jeżeli chodzi o Vincenta, jedyna różnica między mną a panem jest taka, że pana nie obchodzi, co się z nim stanie, jeżeli mu się nie uda. To trudno nazwać obiektywizmem.

Mogę zaakceptować, a nawet zrozumieć, że kwestionuje pani moje motywy. Trudniej mi nie zareagować, kiedy wątpi pani w moją uczciwość. Czy kiedykolwiek panią okłamałem?

Tysiące razy z pewnością. Tylko niech pan nie okłamuje jego, to wszystko, o co proszę.

Chyba powinienem się obrazić. Czy w ogóle przyszło

pani do głowy zapytać pana Couture'a, czy uważa, że w jakikolwiek sposób go oszukałem? Jest niezwykle inteligentnym młodym człowiekiem, o wiele inteligentniejszym od pani czy ode mnie.

Niech pan da spokój. Proszę choć przez chwilę być uczciwym. Gdyby powiedział: „Dość, odchodzę”, nie próbowałby pan go przekonywać, manipulować nim, szantażować go, jakoś mu grozić?

Kto tu teraz manipuluje? Są dwie możliwe odpowiedzi na pani pytanie: jedna, w którą by pani nie uwierzyła, i druga, w świetle której byłbym postacią złą i okrutną. Mogę więc wydać się albo okrutny i nieuczciwy albo uczciwy, ale mimo to okrutny i zły. Zadała pani pytanie, na które w odpowiedzi najlepiej się przyznać, że istotnie jestem niebezpiecznym manipulantem i szantażystą. Dlatego proszę wybaczyć, ale nie dam pani przyjemności i nie odpowiem.

Na szczęście dla mnie to pytanie jest czysto retoryczne, bo pan Couture kilkakrotnie jasno potwierdził – wobec nas obojga – że pragnie uczynić wszystko, co w jego mocy, aby wesprzeć ten projekt. Jeżeli w przyszłości nastawienie Vincenta się zmieni i będzie chciał się wycofać, to otrzyma pani jedyną odpowiedź, jaka się liczy, i dowiemy się, czy prawdą jest to wszystko, co mi pani przypisuje. Tymczasem mam nadzieję, że powstrzyma się pani od sugerowania, że wie więcej na temat potrzeb i pragnień pana Couture'a niż on sam, i uszanuje pani życzenia człowieka, którego twierdzi, że kocha.

DOKUMENT NR 182

DZIENNIK OSOBISTY DR ROSE FRANKLIN

Miejsce: kompleks podziemny, Denver, stan Kolorado

„Wiedzieliśmy, że świat nie będzie już taki sam. Jedni się zaśmiali, inni zapłakali, większość milczała. Przypomniałem sobie werset ze świętej księgi hinduizmu, Bhagawadgita. Wisznu próbuje przekonać Księcia, że ten powinien wypełnić swój obowiązek; by zrobić na nim wrażenie, przybiera postać wieloramienną i mówi: «Stałem się Śmiercią, niszczycielem światów». W ten czy inny sposób chyba wszyscy tak myśleliśmy”.

To nie są moje słowa. W gruncie rzeczy musiałam sprawdzić dokładny cytat. Jak większość znałam tylko „Stałem się Śmiercią, niszczycielem światów”. Zwykle idealizujemy takie słynne frazy, ja zawsze wyobrażałam sobie Oppenheimera, jak wygłasza swoje słowa, przyglądając się grzybowi atomowemu, który wykwita na horyzoncie. W rzeczywistości wypowiedział je w wywiadzie do filmu dokumentalnego NBC w 1965 roku. Miał dwadzieścia lat na przemyślenie sprawy.

W ciągu ostatnich kilku dni dużo myślę o Oppenheimerze i projekcie Manhattan. Nie konstruuje bomby, ale coraz trudniej mi nie zwracać uwagi na pewną prostą prawdę.

Buduję broń i to o wielkiej mocy. Ale to nie od tej prawdy

uciekam. Głównie zastanawiam się nad tym, jak może być niszczycielska. Oczywiście, niewykluczone że zbudowano ją jako narzędzie pokoju, ale nie osiąganego prawością i zrozumieniem. To zabójcza maszyna, o takiej sile i mocy, że nikt jej się nie przeciwstawi.

Ona działa. Tego się boję. Sny przypominają mi o tym każdej nocy. Każdemu z nas. W pracy pojawiają się coraz wcześniej rano, bo albo nie mogę spać, albo wolę nie wracać do tego, co mi się śniło. Zwykle ktoś już jest na miejscu albo wkrótce się pojawia. Nikt nie chce o tym rozmawiać, ale czujemy, że przeżywamy to samo.

Mój sen jest zwykle taki: ona stoi nade mną, potem przykłęka i patrzy na mnie z bliska. Świdruje mnie spojrzeniem jasnych, oślepiająco turkusowych oczu; wygląda, jakby miała coś powiedzieć. Wtedy budzę się cała spocona.

Od wczoraj wiem, że już nigdy nie powtórzy się ten sen. Wreszcie obejrzeliśmy głowę.

Cały zespół nie mógł się doczekać. Głowa leżała sobie owinięta czarnym brezentem. Mniej więcej raz dziennie łapałam Karę, jak próbuje zajrzeć do środka. Mogłam pozwolić, ale dręczenie jej mnie bawiło. Przez dwadzieścia minut chodziła dookoła, jakby brezent miał nagle sam zniknąć. Potem wycofywała się, fukając gniewnie.

Wczoraj rano przywiozłam Vincenta na wózku i powiedziałam Karze, że nadszedł czas. Odpięliśmy pasy i zdjęliśmy plandekę. Głowa jest wspaniała, ale nie taka, jak się spodziewałam.

Cienkie usta i bardzo mały nos. Rysy drobne, delikatne. Wygląda niemal jak głowa dziecka, niewinnego, lecz panującego nad sytuacją. Cnotliwego.

Nie wiem, czy to włosy, czy wymyślny hełm, ale głowę pokrywają misternie rzeźbione wijące się fałdy. Spomiędzy nich przesącza się turkusowe światło. Niektóre schodzą na policzki i brwi, część jest zaczesana do tyłu. Kilka pasm biegnie z czoła i łączy się w wyrostek o toporkowatym kształcie z tyłu głowy.

Gdy ją rozpakowywaliśmy, spodziewałam się – cała w strachu – napotkać ten sam intensywny wzrok co w snach, ale nic z tego. Nie było oślepiającego światła, spojrzenia, oczu.

Zamiast oczu ma tylko niewielkie wgłębienia. To wywołuje pewien niepokój. Człowiek się zastanawia, czy ta dziewczyna jest świadoma naszej obecności. Wiem, że nie może być, bo ja sama ją złożyłam, ale tkwi w niej coś... jakaś obecność. Myślę, że jest czymś więcej niż niezwykle zaawansowaną maszyną. Poza tym trudno mnie winić za antropomorfizowanie czegoś, co już posiada cechy ludzkie. Wątpię, żeby przestała mi się śnić, ale będzie musiała znaleźć inny sposób, by mnie przestraszyć.

Aby podnieść głowę, musieliśmy użyć dwóch dźwigów. Jak tylko ją przymocowaliśmy, całe pomieszczenie się zatrzęsło. Ciało zeszytniało na moment, a potem wszystko wróciło do normy. Poprosiłam Karę, by wzięła krótkofalówkę i przeszła do sterowni.

Gdy założyła uprząż, kazałam jej powoli unieść prawą rękę. To był fantastyczny widok. Nasza dziewczyna ożyła! Wreszcie nam się udało. Poruszaliśmy rękami, kręciliśmy głową. Schyliła się nawet po skrzynię ładunkową. Porusza się z prawdziwą gracją, delikatnie. Nie spodziewałam się takiej płynności. Oczywiście zgmiotła tę skrzynię palcami, ale nad tym popracujemy. Kara wcale sama nie jest taka delikatna.

Dzisiaj znaleźliśmy uzbrojenie. Nie powiedziałam jeszcze naszemu bezimiennemu przyjacielowi. Wkrótce i tak się dowie. Nie chcę tylko, żeby udawał, że od początku na to nie czekał, nie dam mu tej przyjemności. Uzbrojenie znaleźliśmy przez przypadek. Spodziewałam się, że wcześniej czy później to nastąpi, ale nie tak szybko, i zawsze myślałam, że to będą lasery, promienie śmierci, coś futurystycznego. Pewnie naoglądałam się za dużo filmów science-fiction. Myliłam się, nasza panna to wojowniczką w starym stylu. Ma miecz i tarczę.

Wygląda na to, że zbudowano ją do walki wręcz. Z czymkolwiek miała walczyć, to musiało być duże. Miecz działa na zasadzie

wiązki energii, jak miecz świetlny, ale jest szerszy, obosieczny, przypomina średniowieczny miecz dwuręczny. Połączenie *Gwiezdnych wojen z Władcą pierścieni*. Nie jest turkusowy jak cała reszta, tylko bardzo, bardzo jaskrawobiały. Prawie nie da się na niego patrzeć.

Naprawdę fajne – ostatnio często używam tego słowa – jest to, że na konsoli można wybrać długość miecza. Vincent wydedukował, że skala składa się z sześćdziesięciu czterech stopni: od 1 – najkrótszego, do 64 – najdłuższego. W najkrótszym ustawieniu to prawie sztylet. W najdłuższym... Zrobiliśmy sporą dziurę w podłodze, kiedy nastawiliśmy na maksa. Potem przestaliśmy się nim bawić.

Na szczęście eksperymenty z tarczą są ciut bezpieczniejsze. Również działa na zasadzie skupionej energii, a jej wielkość ustawia się dokładnie w ten sam sposób. Na najniższym poziomie ledwie zakrywa nadgarstek; na najwyższym – osłania całe ciało. Nie świeci tak mocno jak miecz. W zasadzie jest prawie przezroczysta. Widać ją, bo lekko załamuje światło, coś jak spaliny samochodowe w upalny dzień.

Odkryliśmy, że można jej używać również jako broni. Kosztowało nas to kolejną dziurę, tym razem w ścianie, ale okazuje się, że krawędź tarczy jest bardzo ostra... jeżeli można tak powiedzieć o świetle.

Zarówno w mieczu, jak i w tarczy światło wydaje się samoograniczone. Wokół nich nie ma śladu pola elektromagnetycznego. Nie trzeba dodawać, że nie pojmuję, w jaki sposób oni manipulują fotonami, jakby były materią stałą. A jednak robią ze światłem, co chcą, tak jak rzeźbiarz kształtuje glinę.

Nie znaleźliśmy jak dotąd żadnego uzbrojenia dalszego zasięgu, ale to tylko kwestia czasu. Nasza mechaniczna dziewczyna jest pełna pułapek. Na pewno ukierunkowuje energię na zewnątrz. I to na całkiem spory zasięg. Musi to jednak jakoś kontrolować, bo inaczej byłaby większym zagrożeniem dla swoich niż dla

nieprzyjaciela. Wystarczyłoby cisnąć w nią odpowiednią dawką energii, a zniszczyłaby wszystko dokoła. Nie chciałabym być w pobliżu, gdy ta panna wdaje się w bójkę.

Z drugiej strony, jeżeli potrafi skupić tę całą energię w jednym kierunku, to walka z nią byłaby koszmarem. Czymkolwiek by się ją zaatakowało, ona odrzuci to z powrotem. Im silniejszy przeciwnik, tym byłaby potężniejsza. Mam nadzieję, że te dywagacje jeszcze długo pozostaną tylko teorią.

Ważne, by „wyższe instancje” wiedziały, że te bardziej niszczycielskie zdolności robota pozostają wciąż do odkrycia. Boję się, że zabiorą ją nam, gdy tylko uznają, że to całe uzbrojenie, jakie posiada. Musimy wykorzystać dany nam czas i dowiedzieć się możliwie najwięcej na temat tego, jak działa i czy potrafi coś poza niszczeniem materii ożywionej i nieożywionej. Nie mówiłam nic Vincentowi, myślę jednak, że to rozumie.

Teraz trzeba tylko postawić ją na nogi.

Ale to potrwa. Vincent nie jest gotowy. Sam ledwie człapie.

Głupio mi to mówić. Straciliśmy kilka miesięcy z powodu jego wypadku i wiem, że Kara chce jak najszybciej wznowić trening, ale to cud, że Vincent wytrwał tak długo. Nie powinniśmy teraz na niego naciskać, to zepsułoby wszystko.

Sama mu tego nie powiem, bo jedynie pogorszyłabym sprawę, ale to straszne, co mu zrobili. Rozumiem dlaczego, tak naprawdę to zupełnie logiczne, ale gdzieś musimy wyznaczyć granicę, jeżeli mamy zachować człowieczeństwo.

Nie próbował jeszcze zginać kolana w drugą stronę. Rwie się, żeby to zrobić, ale jak dla mnie to zły pomysł. Jeżeli dobrze rozumiem, to by oznaczało zerwanie resztek tylnych mięśni udowych. Po prostu są za krótkie. Wykształcenie mięśni odpowiadających jego nowej anatomii potrwa parę miesięcy.

Zdaję sobie sprawę, że nie posuniemy się naprzód, jeżeli nie wypróbuje kolana, ale już teraz cierpi dwadzieścia cztery godziny na

dobę. Nie zamierzam zwiększać tej męki. I nikt nie będzie zmuszać Vincenta, żeby zrobił coś, na co nie jest gotowy. To złamałoby go fizycznie i psychicznie. Wywołałoby niechęć, nadszarpnęło wzajemne zaufanie i naraziło każdego członka zespołu na niepotrzebne ryzyko.

Wiem, że w którymś momencie musi podjąć próbę. Nie sądzę, by za miesiąc okazało się to łatwiejsze albo mniej bolesne. W gruncie rzeczy pewnie będzie bardziej bolesne, bo do tego czasu zdążą się częściowo odbudować mięśnie. Ale mam nadzieję, że trochę też się wzmocni, pod każdym względem.

Mówię to, choć nie ukrywam, że nie mogę się doczekać, kiedy robot zacznie stawiać pierwsze kroki.

A więc co to za prosta prawda, od której tak uciekam? Nie chodzi o to, że budujemy śmiercionośną maszynę. Nawet nie o to, że będzie zabijać ludzi. To tylko kwestia czasu. To, czemu tak uparcie zaprzeczam, to fakt, że cholernie mi się to wszystko podoba. Chciałabym być na tyle pryncypialna, by odejść, ale wiem, że to najlepszy czas w moim życiu. Jestem naukowcem i to jest to, po co żyję. Jeśli tę prawdę zaakceptuję, może znowu zacznę spać w nocy.

Ciekawa byłam, co w podobnej sytuacji myślał Oppenheimer. Oto co powiedział w 1945 roku: „Sedno sprawy jest takie, że zrobiliśmy, co zrobiliśmy, bo to była organiczna konieczność. Jeżeli jesteś naukowcem, nie możesz powstrzymać czegoś takiego. Jeżeli jesteś naukowcem, wierzysz, że słuszne jest dociekanie, jak działa świat i na czym polega rzeczywistość; i że ludziom należy się możliwie największa władza nad światem, by mogli go kształtować wedle swych poglądów i wartości”.

DOKUMENT NR 188

RAPORT WSTĘPNY – ZAGINIĘCIE LOTU ICELANDAIR 670

Federalna Administracja Lotnictwa (FAA), Biuro ds. Badania Wypadków i Prewencji

Należący do linii Icelandair samolot Boeing 757–200, lecący non stop z Denver do Reykjavíku (numer lotu FI670), zniknął z radarów 10 sierpnia, około godziny 10.31. Samolot zgłosił gotowość do kołowania z bramki A-43 na lotnisku w Denver o godzinie 10.16. Wykonał instrukcję wieży kontrolnej – przeokołował na pas startowy numer 17L, a następnie ponownie skontaktował się z wieżą. Zgody na start udzielono niezwłocznie. Zapis ostatniej rozmowy pomiędzy FI670 a wieżą znajduje się poniżej. Wcześniejsze kontakty z wieżą nie zapowiadały nic niepokojącego.

FI670: Wieża, tutaj ICEAIR 670, kołuję drogą Echo Delta na pas startowy 17L.

Wieża: Dzień dobry ICEAIR 670. Droga wolna, pas należy do was.

FI670: Przyjąłem.

Wieża: ICEAIR 670, możecie startować, pas 17L, kontakt po starcie na częstotliwości 126,1 MHz.

ICEAIR 670, straciłem was na radarze. Możecie podać waszą pozycję?

FI670: Skąd się bierze to światło?

Wieża: Możecie powtórzyć, 670?

ICEAIR 670, tu wieża, odpowiedzcie.

670, odezwijcie się...

Ekipa śledcza FAA była na lotnisku o 12.15, ale odmówiono jej wstępu na miejsce zdarzenia. Zapisy kamer pokazują, że tylko południowy kraniec (około dwustu metrów) pasa startowego 17L/35R pozostał nienaruszony. Resztę pasa oraz dochodzące do niego drogi kołowania pochłonął krater o średnicy około pięciuset metrów i głębokości stu metrów. Na zapisach nie widać wraku ani żadnych jego szczątków.

Całkowity brak śladów w połączeniu z niezwyklejmi okolicznościami zdarzenia czyni wielce prawdopodobnym, że powodem zniknięcia lotu 670 nie była awaria mechaniczna ani błąd pilota, i że to nie samolot zniszczył pas startowy 17L/35R. Okoliczności wypadku, choć wciąż niewyjaśnione, w oczywisty sposób wykraczają poza kompetencje FAA, a tym samym dalsze śledztwo jest nieuzasadnione.

DOKUMENT NR 189

WYWIAD VINCENT COUTURE, STARSZY DORADCA DS. WYWIADOWCZYCH

**Miejsce: baza wojskowa Fort Carson,
okolice Colorado Springs, stan Kolorado**

Nie chcę zaczynać od początku. Możemy przerwać? Ja... ja nie chcę rozmawiać... Muszę pozbierać myśli. Gdzie Rose? Nie widzę jej. A Kara? Chcę zobaczyć Karę.

**Proszę wziąć głęboki wdech. Musi się pan rozluźnić.
Pragnę tylko pomóc panu przypomnieć sobie...**

Przypomnieć sobie co? Gdzie jest...

Nie. Niech pan nie próbuje wstawać.

Gdzie moje buty?

**Zacznijmy od czegoś prostego. Jaka była pierwsza
rzecz, którą zrobił pan dziś rano?**

Ktoś mi zabrał buty. Co to jest? Piżama szpitalna? Nie mogę znaleźć swojego ubrania.

Niech się pan położy. A przynajmniej usiądzie na łóżku.

Moje ubranie...

Pomogę je panu znaleźć. A teraz proszę usiąść i spojrzeć na mnie. Proszę się skupić. Jaka była pierwsza rzecz, którą zrobił pan dziś rano po obudzeniu się?

Dziś rano... Ja... wziąłem... wziąłem prysznic i udałem się do laboratorium. Byłem tam wcześniej.

Świetnie. I co pan zrobił, gdy tam dotarł?

Gdzie dotarłem?

Do laboratorium. Wstał pan wcześniej i udał się do laboratorium.

Tak.

Co pan robił w laboratorium?

Ćwiczyłem chodzenie... Przeszedłem się kilka razy od ściany do ściany, a potem... potem spróbowałem z kolanami odwrotnie.

Świetnie. Nie wiedziałem, że już pan sprawdzał tę możliwość.

Kilka razy.

I jakie to uczucie?

Jakie uczucie? Ja...

Mam na myśli pańskie kolana. Jakie to uczucie, kiedy zginają się w odwrotną stronę?

Ból nie z tej ziemi. Pierwszy raz spróbowałem w zeszłym tygodniu. Rose radziła, żebym poczekał, nie spieszył się. Byłem pewien, że pan z nią rozmawiał. Nie wiem, czy orientuje się pan, jak one działają, ale trzeba wsunąć palec pod rzepkę i nacisnąć z całej siły. Już samo to sprawia ból, a na dodatek kolana są na sprężynach, więc nogi z impetem odskakują do tyłu. Niesamowite uczucie. Przy pierwszych kilku próbach wywinąłem orła. Po prostu... Boli jak cholera. Jakby ciężarówka przejechała panu po nogach.

Słucham dalej.

Ja...

Dziś rano udał się pan do laboratorium wcześniej niż zwykle.

Tak. Byłem pierwszy.

Wypróbował pan kolana...

Chciałem się przekonać, czy zdołam obejść pomieszczenie dookoła. Byłem mniej więcej w dwóch trzecich rundy, ale upadłem i nie mogłem wstać. Naprawdę trudno się podnieść, kiedy kolana są w odwrotnym położeniu.

Co pan wtedy zrobił?

Po tym jak upadłem? Nic, po prostu leżałem na plecach i czekałem, aż ktoś przyjdzie. Rose zjawiała się mniej więcej po pół godzinie. Przyprowadziła wózek i pomogła mi usiąść. Miała ze sobą drożdżówki z cynamonem. Kawa i drożdżówki cynamonowe. Jakies dwa kilometry od lotniska jest mała cukierenka. Mają tam najlepsze wypieki.

Co było dalej?

Siedzieliśmy i rozmawialiśmy o polityce. Czekaliśmy na Karę. Dotarła około dziewiątej. Przez dobry kwadrans marudziła, że zjedliśmy wszystkie drożdżówki. Rose obiecała jej, że pojedzie po więcej, potem przeszliśmy do sterowni.

Znów wypróbowaliśmy tarczę i miecz. Zapytałem Karę, co by powiedziała na szybką przechadzkę. Porozumieliśmy się z Rose. Uznała, że to zły pomysł. Kazała nam ćwiczyć operowanie różnymi wielkościami tarczy. Robiliśmy to przez jakiś czas, ale widziałem, że Kara też ma ochotę się przejść. Przekręciłem kolana. Odczekałem minutę, żeby ból minął, i założyłem uprząż. „Na pewno tego chcesz?”, zapytała. Ponieważ nie odpowiedziałem, zeszła ze swojego stanowiska i pomogła mi wejść na moje.

Zimno tutaj. Gdzie my jesteśmy? To jakaś baza wojskowa?

W tym momencie to nieważne. Proszę mówić dalej.

Chcę się zobaczyć z Karą. Była ze mną. Jest tutaj?

Za chwilę odpowiem na pańskie pytania. Proszę mi tylko powiedzieć, co dalej. Założył pan uprząż. Po raz pierwszy mieliście spróbować, jak się chodzi.

Tak. Zdjąłem słuchawki, ale słyszałem głos zaniepokojonej Rose: „Co się tam dzieje? Co wy wyprawiacie? Odezwijcie się!”.

Podniosłem lewą nogę. Tu krótkie zaskoczenie. Kula dostosowała się do mojego ruchu i całe pomieszczenie lekko się przechyliło. Przesunąłem prawą nogę, potem znowu lewą. Rose próbowała zachować spokój: „Dobrze, zrobiliście to, a teraz już koniec, wyjdźcie stamtąd”. Powiedziałem Karze, że przejdziemy na koniec pomieszczenia i z powrotem. Czułem, jak drętwieją mi nogi, ale byłem zbyt podekscytowany, żeby przestać. Postawiłem jeszcze kilka kroków, ale potem kolana zaczęły się pode mną uginać. Wcześniej dźwigałem tylko własny ciężar, teraz nie dość że miałem na sobie uprząż, to na dodatek musiałem kołysać biodrami w przód

i w tył, żeby zachować równowagę...

Nie chcę już więcej mówić. Proszę mnie zabrać do Kary.

Rozumiem. To potrwa dosłownie jeszcze chwilę. Potem będzie pan mógł pytać, o co tylko zechce. Ważne, by opowiedział mi pan wszystko, co pamięta.

Po raz pierwszy próbowaliśmy chodzić. Planowaliśmy dojść jedynie na drugi koniec pomieszczenia.

Tak. Nogi się pod panem ugięły...

Och. Mówiłem panu... ja... Moje lewo kolano puściło jakieś trzy kroki przed końcem sterowni. Kara zdążyła wysunąć rękę, żebyśmy nie runęli głową prosto w ścianę. Poleciałem naprzód i oparłem się dłońmi o konsolę. Bardzo dziwne uczucie. Gdy niechcący nacisnąłem dwa guziki naraz, oświeciło mnie, że to jest coś, czego nigdy wcześniej nie próbowaliśmy: nacisnąć dwa przyciski jednocześnie.

Poczułem ekscytację i zacząłem obliczać liczbę możliwych kombinacji, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie mogę się skupić z powodu hałasu. Wcześniej go nie słyszałem, ale narastał.

Co to był za hałas?

Pisk, o coraz wyższym tonie. Jak odgłos ładującej się lampy błyskowej, tyle że o wiele głośniejszy. Nagle ustał.

Zapadła zupełna cisza. Wszystko wokół kuli pobielało. Światło było tak jasne, że musieliśmy zasłonić oczy. Po kilku sekundach pomieszczenie stopniowo pociemniało. Rozejrzałem się. Patrzę, a tu jakbyśmy zostali przeniesieni gdzie indziej.

Sufit zniknął. Zorientowałem się, że nad głową mamy niebo. Staliśmy na dnie idealnie okrągłego krateru o średnicy może pół kilometra. Kara podniosła wzrok; zobaczyłem, jak głowa robota

przechyla się do tyłu. Krawędź krateru była dobre sto pięćdziesiąt metrów nad nami. Tkwił tam duży samolot. Brakowało mu końcówki ogona.

Obróciłem się, żeby sprawdzić, co jest za nami; nogi nie sprawiały mi kłopotu. Ujrzałem ucięty w połowie budynek. Większość świateł była zgaszona, ale neon nad naszym barem świecił. Okazało się, że to budynek Terminalu B, to, co z niego zostało. Minęło kilka minut, gdy Kara kazała mi spojrzeć w górę. Krążyło nad nami kilka helikopterów. Raczej nie były wojskowe.

Nie, nie były. Przysłały je różne telewizje. O naszym małym sekrecie trąbią dzisiaj stacje na wszystkich kontynentach. Co zrobiliście potem?

Zdjęliśmy uprząże i usiedliśmy na podłodze. Kara objęła mnie i pomogła mi się położyć. Leżeliśmy objęci, w milczeniu, miałem wrażenie, że mijają godziny. Chyba zasnąłem. Jak znaleźliśmy się na dole?

Oddział komandosów ściągnął was dźwigiem.

Miałem wrażenie, że to trwa tak długo... Przykro mi. Naprawdę cholernie mi przykro. My po prostu... Myślałem, że oczekuje pan od nas szybszych postępów. I Rose też, ale że nigdy nie powie tego na głos. Ja nie... Wszystko straciliśmy, prawda? Notatki, wszystko... Nie wiem, co powiedzieć. Znajdę sposób, żeby to naprawić. Coś wymyślimy.

Nie wierzę, że da się – jak pan to ujmuje – naprawić to, co się stało. Możemy tylko spróbować ucieczki do przodu.

Te helikoptery... Narobią nam dużych problemów?

Czy to oznacza koniec projektu? Nie wiem. Wiem, że

sprawy się... skomplikują.

A teraz mogę się dowiedzieć, gdzie jesteście?

W szpitalu w bazie wojskowej Fort Carson. Przetransportowano was tutaj drogą lotniczą po ewakuacji ze sterowni robota.

Nie przypominam sobie lotu. Ostatnie, co zapamiętałem, to jak leżeliśmy na podłodze.

Dostał pan zastrzyk uspokajający. Był pan w szoku. Zaczął się pan rzucać, gdy próbowali zabrać pana ze sterowni. Musieli pana obezwładnić.

Gdzie Kara? Chcę się z nią zobaczyć. Jak się czuje?

Dobrze. Jest w pokoju na drugim końcu korytarza, śpi. Przez kilka godzin czuwała przy panu, ale potem zasnęła na siedząco. Znalazłem dla niej łóżko.

Kilka godzin? Jak długo tu jestem?

Jakieś szesnaście godzin. Już prawie świta.

Och. A Rose? Ona też tu jest? Ona... Ona była...

W laboratorium.

W laboratorium? Ale laboratorium... Nie! Nie było jej tam. Pojechała po drożdżówki. Tak nam obiecała.

Nie zdążyła.

Nie! Nie! Powiedziała, że kupi więcej drożdżówek! Pojechała po nie. Dla Kary. Widzi pan, Rose i ja zjedliśmy wszystkie. Kara była

niepocieszona. Rose obiecała, że przywiezie więcej. Wyszła z laboratorium.

Panie Couture...

Rose... zawsze dbała o szczegóły. Dbała o nas. Dawała nam poznać, że nas docenia. Codziennie. Drobiazgi, rozumie pan. Kawa, ciasto. Gdzieś wyszukała jajka-niespodzianki. Wiedziała, że przypominają mi rodzinny kraj. Raz na jakiś czas zostawiała jedno na moim stanowisku.

Mogła wkładać je do szafki, ale zadawała sobie trud i wjeżdżała windą do sterowni, by zdążyć przed moim przyjściem, bo wtedy niespodzianka była większa. Więc z pewnością spełniłaby prośbę Kary. Pojechałaby po więcej drożdżówek.

Panie Couture...

Powiedziała, że...

Vincent! Ona nie żyje.

CZĘŚĆ CZWARTA

MOCNY CIOS

DOKUMENT NR 211

WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Miejsce: Biały Dom, Waszyngton, D.C.

Czuję się tak, jakby wezwano mnie na dywanik.

Dotarły raporty. Pomyślałem, że zechce pan wiedzieć, ile szkód narobiliście.

To był wypadek, zapewne możliwy do przewidzenia, ale mimo to wypadek.

Porozmawiajmy najpierw o infrastrukturze. Unicestwiliście dwa budynki przy Vandriver Street, mniej więcej połowę pasa startowego 17L/35R oraz wschodnie skrzydło hali odlotów B. Na szczęście nie startowały wtedy stamtąd żadne samoloty. Straty wycenia się na trzysta milionów.

Nie znam się za bardzo na liczbach. Rozumiem, że to dużo.

To teraz taka liczba, Panie Przemądrzały: trzysta jednaście. Ofiar.

Aż tyle? Powiedział pan, że w tej części terminalu, która uległa zniszczeniu, nie było żadnych odlotów.

W hali znajdowali się tylko pracownicy: obsługa stoisk handlowych, sprzętacze, członkowie załóg naziemnych na zewnątrz. Łącznie czterdzieści dwie osoby, sami Amerykanie.

W momencie zdarzenia na pasie startowym znajdował się jednak boeing 767 islandzkich linii lotniczych Icelandair. Nie muszę chyba wyjaśniać, że wszystkie osoby na pokładzie zginęły, bo sam samolot przestał istnieć... Lot był wyprzedany prawie do ostatniego miejsca: sto dziewięćdziesiąt troje pasażerów, sześcioro członków załogi. Głównie Islandczycy. Osiemnaścioro obywateli amerykańskich.

Do Terminalu B kołował też pasażerski bombardier dash-8, pięćdziesiąt jeden ofiar. Ponadto ucieliście ogon airbusowi 320 linii United, to kolejnych dziewiętnaścioro zabitych. Mieli szczęście, zmiotliście tylko tych z trzech ostatnich rzędów i jednego członka załogi.

Łącznie trzysta jednaście osób, trzysta dwanaście z waszą panią naukowiec. Sto dziewiętnaścioro obywateli amerykańskich, blisko sto sześćdziesięcioro Islandczyków, ponad dwudziestka Kanadyjczyków oraz garść osób z dziewięciu innych krajów, których rządy publicznie nas teraz oskarżają – i słusznie, mógłbym dodać – oraz żądają wyjaśnień. Część z nich przejdzie w końcu do porządku dziennego nad tym, co się stało, ale Islandia z pewnością dołączy do listy krajów, które chcą, żeby przytrafiło nam się coś złego.

Czy naprawdę potrzebujemy Islandii po swojej stronie?

Cóż, kogoś potrzebujemy.

Być może.

I to wszystko? Jedna zgryźliwa uwaga na temat Islandii? Żadnej

skruchy, żadnych przeprosin, ani słowa na temat zabitych przez was ludzi?

Czy za pomocą kilku serdecznych słów mógłbym wymazać śmierć trzystu dwunastu osób...? A zatem nie, nie widzę sensu.

Przynajmniej okazałby pan swoje człowieczeństwo. W każdym razie jest pan zapewne jedyną osobą na ziemi, która nie chce o tym rozmawiać.

W telewizji praktycznie o niczym innym nie mówią. Co ciekawe, większość kanałów interesuje się głównie wątkiem ofiar.

Co w tym dziwnego?

Gigantyczny robot dematerializuje wszystko w promieniu kilometra. Pomyślałbym, że...

Ludzie tego nie rozumieją. Widok zapłakanych matek jest bardziej przystępny. To w gruncie rzeczy typowe.

Pewnie ma pan rację. Ale niektóre z tych historii są rzeczywiście wstrząsające, powinien pan ich posłuchać.

Mąż na rocznicę ślubu sprezentował żonie i trójce dzieci bilety do Paryża. W Memphis czternastoletnia dziewczynka umrze w ciągu paru godzin, bo serce dla niej leciało bombardierem, który zniknął. Wiele opowieści o bliźniętach: bliźnięta na pokładzie, jedno z bliźniąt na pokładzie. Pewna młoda para wracała do domu z Tajlandii, z córką, na którą czekali...

Może pan przestać. Co mówią o robocie?

Wszystko i nic. Zakres spekulacji obejmuje wszelkie twory: od posągu Majów po... mniej więcej to, czym ten robot jest, choć nikt nie pojmuje, co zrobiło taką wielką dziurę. Najlepsze jak dotąd

wyjaśnienie głosi, że to próba zatuszowania faktów. Media sugerują, że w ciągu mniej niż dziesięciu minut pozbyliśmy się śladów dużej eksplozji.

Tak czy owak, coś będziemy musieli wymyślić. Dzisiaj po południu odbywam naradę z prezydentem i ustalimy linię najkorzystniejszego postępowania.

To nie będzie konieczne. Prezydent już wie, co zrobi.

Jak to?

Spotkałem się z nim dziś rano i jesteśmy absolutnie jednomyślni.

Jak pan w ogóle śmie rozmawiać z prezydentem bez wcześniejszego porozumienia się ze mną?! To ja panu mówię, czego on chce, a nie pan mnie.

Może pan z nim poruszyć ten temat. Nie był w żaden sposób zobligowany, żeby ze mną rozmawiać.

Zrobię to. Zaraz po zakończeniu tego spotkania.

To niestety nie będzie możliwe. Prezydent jest w Nowym Jorku na sesji Rady Bezpieczeństwa. Dziś po południu wygłosi oświadczenie.

Jaką bajeczkę opowie?

Żadną. Przedstawi prawdę.

Poinformuje cały świat, że tysiące lat temu kosmici zostawili na Ziemi części gigantycznego robota, które składaliśmy w podziemnym laboratorium w nadziei, że nikt się o tym nie dowie?

Końcowy fragment zapewne ubierze w nieco inne

słowa, ale jeśli włączy pan CNN o trzeciej po południu, to mniej więcej coś takiego pan usłyszy.

Postradał zmysły.

Dziś rano wydawał się zupełnie poczytalny.

Wezmą go za wariata!

Panie Woodhull, siedemdziesiąt dwie godziny temu praktycznie wszyscy ludzie na naszej planecie widzieli gigantycznego robota, wielkiego na dwadzieścia pięter, a zaraz potem patrzyli na idealnie okrągły krater o średnicy pół kilometra, który unicestwił część międzynarodowego lotniska w Denver. Jakie wytłumaczenie by pan sugerował? Rutynowe ćwiczenia wojskowe? Balon pogodowy? Dodam jeszcze, że przywódcy kilku krajów wiedzą, że to nie my skonstruowaliśmy robota, bo poszczególne części musieliśmy im ukraść.

To już koniec jego kariery.

Próbuje uniknąć III wojny światowej.

Naprawdę sądzi pan, że inne państwa powiedzą: „Och! Dzieło kosmitów! A więc nie ma sprawy, działajcie dalej!”?

Jasne, pojawią się pytania. Przywódcy będą oczekiwali zapewnień. Ale będą również musieli pogodzić się z myślą, że nie jesteśmy sami we wszechświecie. Prezydent ma nadzieję, że to wystarczy, by osiągnąć jakiś rodzaj porozumienia.

Dobrze, a więc powiemy Rosjanom, Chińczykom, Francuzom. Ale po co trąbić o tym na cały świat? Nie sądzi pan, że kiedy ludzie

dowiedzą się o istnieniu kosmitów, a jednocześnie o wielkim spisku rządowym, mogą zareagować dość nieprzyjemnie?

Nie uważam, żeby prezydent myślał w tym momencie o następnych wyborach.

Nie chodziło mi o to, że straci głosy. Obawiałbym się raczej czegoś w rodzaju masowej hysterii.

To nie nastąpi. Ludzie zostali wystarczająco odwrażliwieni.

Co takiego?

Odwrażliwieni. Przeciwnieństwo uwrażliwienia. Naoglądali się za dużo filmów o kosmitach, żeby się przejąć. Długotrwały kontakt z określonym motywem powoduje... odwrażliwienie.

Ale mówimy tutaj o prawdziwych kosmitach, a nie o ludkach w zielonych gumowych kostiumach na ekranie telewizora.

To bez znaczenia. Żołnierzy uczycie zabijania, każąc im grać w gry komputerowe. Gdy zastrzelą dostatecznie wielu wrogów na ekranie, łatwiej im potem celować do ludzi w realu. Jak pan sądzi, dlaczego pański rząd finansuje tyle produkcji o wojnie i terrorystach? Hollywood wykonuje za was brudną robotę. Gdyby 11 września wydarzył się dwadzieścia lat wcześniej, kraj pogrążyłby się w chaosie, ale widzieliśmy już tyle okropieństw w telewizji, że nic nas nie poruszy. Naprawdę nie musimy rozmawiać o rządowych spiskach.

Więc co konkretnie zrobi?

Z tego, co zrozumiałem, proponuje kompromis.

Jesteście gotowi podzielić się tym robotem? Jeżeli inni go nie dostaną, nam też nie pozwolą go zatrzymać.

To właśnie miałem na myśli, mówiąc o kompromisie.

Czyli się nim podzielimy.

Nie do końca.

To znaczy co? Pozbędziemy się go?

Właśnie.

Trochę głupio byłoby złamać praktycznie każdy traktat międzynarodowy, jaki podpisaliśmy, spowodować śmierć masy ludzi, a następnie zniszczyć to, co próbowaliśmy zdobyć. Zrobiłby pan coś takiego?

Nie.

Tak myślałem.

Zresztą nie jestem wcale pewien, czy dalibyśmy radę go zniszczyć.

A zatem?

Zasugerowałem prezydentowi, żebyśmy zatopili go w Rowie Portorykańskim.

Gdzie to jest?

Niedaleko Portoryko.

Bardzo śmieszne...

To najgłębsza część Atlantyku, o głębokości ponad

dziewięciu kilometrów.

Moglibyśmy go stamtąd wydobyć?

Przy użyciu dzisiejszej technologii – nie. Na tym właśnie polega pomysł.

Czyli nie dotarlibyśmy do niego, nawet gdybyśmy chcieli?

Dotrzeć może i dotarlibyśmy. Istnieją batyskafy zdolne schodzić na taką głębokość. James Cameron w jednoosobowym „Deepsea Challengerze”[\[9\]](#) zszedł na blisko jednaście kilometrów.

Ten reżyser?

Ten sam, ale podkreślam słowo „jednoosobowy”. To są bardzo małe jednostki, niezdolne do wynoszenia na powierzchnię rzeczy o dużej masie, nawet w częściach. Moglibyśmy do naszego robota dotrzeć, ale i tak byśmy go nie odzyskali. Jest to rozwiązanie wystarczająco drastyczne w świetle naszych obecnych problemów, ale nie wieczne. Któregoś dnia, raczej wcześniej niż później, powstanie odpowiednia technologia i wtedy wrócimy do sprawy.

...

Milczysz, mój drogi Robercie. To do ciebie niepodobne.

Wie pan co? Nie wierzę panu. Już prawie uwierzyłem, jednak nie jest pan kimś, kto łatwo zrezygnowałby z czegoś o takim znaczeniu.

Doktor Franklin nie żyje. Ponad trzysta osób zginęło w Denver i jesteśmy na krawędzi globalnego konfliktu. „Łatwo” to nie jest określenie, które przychodzi mi do

głowy.

Choć myślę, że jest pan aroganckim, samolubnym sukinsynem, to jest pan też zimnym, kalkulującym sukinsynem. Typem faceta, który ma plany awaryjne planów awaryjnych. Nie uwierzę nawet na chwilę, że wszedłby pan w tak duże przedsięwzięcie bez planu B.

Wystarczy już tych komplementów jak na jeden dzień. Mam plan B. Polega na tym, by zatopić robota w Rowie Portorykańskim i wydobyć go w przyszłości.

Zapomniałem dodać, że cierpliwość raczej nie należy do pańskich mocnych stron, ale nieważne, co pan mówi... Gdyby miał pan jakiś ukryty plan, i tak bym go nie poznał. Co zamierza pan zrobić z zespołem, a raczej tym, co z niego zostało?

Wrócą do normalnego życia. Chorąży Resnik już lata z misjami z bazy Lewis-McChord.

Czy nie była uziemiona? Z jej akt wynika, że ma wadę wzroku.

Niech pan zajrzy jeszcze raz.

Sfałszował pan jej dokumenty?

Nic podobnego. Wszystko, co było w teczce, wciąż tam jest. Tyle że być może ktoś odrobinę przesadził z redagowaniem zawartości za pomocą czarnego mazaka.

Ach tak, jakże miło z pańskiej strony. Nie uważałem pana za romantyka.

Nie powiedziałem, że cokolwiek zrobiłem. Powiedziałem, że „być może ktoś”. Bardziej twórcze wydaje mi się jednak dotrzymywanie obietnic. Bo jeśli będziemy potrzebować jej w przyszłości, nie chciałbym,

żeby chowała urazę.

A co z tym młodym Francuzem? To znaczy Kanadyjczykiem francuskiego pochodzenia... Wie pan, kogo mam na myśli.

Pan Couture niestety musi sobie radzić sam.

To już nie takie romantyczne. Po tym wszystkim, co dla pana zrobił, odeśle go pan do domu?

To był jego wybór. Zaproponowałem mu pomoc psychologa. Zadzwoiłem do paru znajomych i załatwiłem robotę w DARPA[10]. Odmówił. Psychiczenie nie jest w najlepszym stanie.

Doprawdy? Gdzie teraz się podziewa?

Pewnie gdzieś nad Wielkimi Jeziorami. Jego samolot wystartował o dziesiątej dziś rano.

DOKUMENT NR 229

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

Miejsce: morsko-lotnicza baza Lewis-McChord, stan Waszyngton

Ile to czasu minęło, panno Resnik?

Od naszego ostatniego spotkania czy od śmierci doktor Franklin?

Czy to nie na jedno wychodzi?

Mniej więcej. I z pewnością pan wie lepiej ode mnie.

Miałem na myśli, ile czasu minęło od naszego ostatniego spotkania. I naprawdę nie wiem. Powiedziałbym, że sześć do siedmiu miesięcy.

Dziewięć.

Widzę, że dostała pani awans. Cieszę się.

Ja nie... Od promocji na sztabowego prawie nie latam. Głównie planuję misje. Śmieszne, wcześniej nie zwracałam na to większej uwagi. Chodziłam na odprawy i po prostu wyfruwałam z bazy swoją

ptaszyną. Nigdy nie zastanawiałam się, ile czasu wymaga opracowanie najdrobniejszych szczegółów mojej pięciogodzinnej misji. Dzisiaj już wiem.

Przysięgam, głowa mi pęknie, jeżeli spędzę jeszcze choćby minutę na wpatrywaniu się w mapę. Na dodatek to są wszystko mapy pustyni. Godzinami gapię się na gigantyczne płachty beżowego papieru, wytrzeszczam oczy, by dojść, czy jeden kwadracik ma o trzy metry większą wysokość względną od sąsiedniego.

Rozumiem, że nie prosiła pani o ten awans.

Dobry Boże, oczywiście, że nie prosiłam! Wezwali mnie któregoś dnia i przekazali radosną nowinę. Powiedzieli, że wykazuję zdolności przywódcze. Jak to się ma do oglądania map i śledzenia raportów meteo?

Zdolności przywódcze często są mylone z talentem do zarządzania. Zgadzam się jednak z tą oceną. Z pewnością potrafi pani inspirować ludzi. Z drugiej strony niekoniecznie ma pani serce do szczegółów. Ale nawet jeżeli nie jest pani najlepiej zorganizowaną osobą na świecie, to szkoda, żeby pani wiedza i doświadczenie się marnowały.

Wolno spytać, jak się miewa pan Couture?

Sama chciałabym wiedzieć. Ostatni raz kontaktował się ze mną zaraz po powrocie do Montrealu. Czyli dziewięć miesięcy temu. Albo nie odbiera ode mnie telefonów, albo wyjechał. Może być teraz wszędzie.

Wciąż siedzi w Montrealu. Zakładam, że to nie jest szczytowy moment waszego związku.

Powinnam przewidzieć, że to długo nie potrwa.

Co, wasz związek?

Nie, pańskie zadawanie pytań, na które nie zna pan odpowiedzi. Bałam się, że przytrafiło mu się coś złego. Miło usłyszeć, że po prostu nie chce ze mną rozmawiać. Co teraz porabia?

Sporo cynizmu udało się pani zawrzeć w zaledwie trzech zdaniach.

Nie wiem, co panu powiedzieć. On po prostu wyjechał. Po jej śmierci... Tylko o tym mógł myśleć. Jego świat się rozpadł.

Rozmawiałem z wami obojgiem po wypadku. Jeżeli nie ukryliście przede mną czegoś ważnego, to wydaje mi się jasne, że żadne z was nie jest odpowiedzialne za to, co się stało.

Niczego nie ukryliśmy. Ale do tego wszystkiego nie doszłoby, gdybyśmy posłuchali doktor Franklin. Vincent postąpił inaczej. To jego nogi nie wytrzymały, jego dłonie nacisnęły te guziki. Wiem, że jestem równie odpowiedzialna za tę katastrofę jak on, może bardziej. Szkolono mnie, żebym słuchała rozkazów. Ale nie mogę go winić za to, że myśli, że ją zabił. Zrobił to. Ja też ją zabiłam.

Każdy wiedział, że istnieje ryzyko, zwłaszcza ona.

Narażać własne życie to jedno. Wytłumaczyć sobie śmierć innych jest stosunkowo łatwo. Ale poradzić sobie z odejściem przyjaciela, kogoś, kogo się zna, to zupełnie co innego.

Zaryzykowałbym twierdzenie, że doktor Franklin nie chciałaby, żebyście winili się za jej śmierć.

Jasne, że by nie chciała. Była dobra do szpiku kości. Ale to nie

sprawia, że czuję się lepiej z tym, co się stało. Przynajmniej się orientuję, czego oczekiwać. Już wcześniej traciłam bliskie mi osoby. Członków rodziny, ludzi, z którymi latałam. Wiem, jak długo będę się tak czuła, i wiem, co będę czuła potem. Zaprzeczenie, żal, złość. Przewidywalne z nas istoty. Ale martwię się o Vincenta. On nie wie, co go czeka. Wiele bym dała, żeby usłyszeć, jak sobie radzi.

Nie martwię się o jego życie, jeżeli o to pani pyta. On... To prawda, jest załamany śmiercią doktor Franklin. Nie da się ukryć. Ale to też dobrze, bo oznacza, że pan Couture nie ma problemu z ekspresją poczucia straty, winy, gniewu z powodu tego, co się stało. Jego emocje są wyraźnie określone, a on spójnie je wyraża. Z czasem mu przejdzie.

Nie jestem tego taka pewna. Co teraz robi?

Nie wiem, czy gdzieś pracuje. Kiedy go odwiedziłem, sklejał modele okrętów.

Modele...? Takie zabawki?

Miniatury okrętów z II wojny światowej. Nie znam się na tym, ale niektóre wydawały się całkiem skomplikowane.

...

Musiały mieć z tysiąc części. Sklejanie takich jednostek wymaga określonych umiejętności, dużo cierpliwości i oka do szczegółów.

...

Tak. Można nazwać je zabawkami.

I tylko tym się zajmuje?

Przez większą część dnia – tak. Zdaję sobie sprawę, że to nie brzmi zbyt fascynująco, ale przynajmniej ma się na czym skupić. Wolę, żeby cały dzień pracował nad modelem pancernika USS „Arizona”, niż leżał w łóżku i gapił się w sufit.

Je coś? Myje się?

Tak przypuszczam. Chociaż na golenie się najwyraźniej nie wystarcza mu czasu. Ciągłe rozmawiamy o panu Couturze, ale ja przyszedłem spotkać się z panią. Jak się pani czuje?

Czuję się... odrętwiała.

To znaczy?

Po czymś tak intensywnym wszystko inne jest... Rzeczy, które kiedyś by człowieka wkurzały, dzisiaj wydają się całkiem trywialne. Nic nie ma znaczenia. Zaczyna się ignorować drobiazgi, bo są drobiazgami. Idzie się na kompromisy. Wymyśla usprawiedliwienia. Wkrótce człowiek przestaje poznawać siebie w lustrze.

Ale wie pan, żyję. Budzę się codziennie i wstaję z łóżka z nadzieją, że dzisiaj będzie trochę lepiej niż wczoraj. I zwykle tak jest. Jak to mówią: przedstawienie musi trwać dalej.

Nie wybiera się pani na jakieś wakacje?

Nie sądzę, żebym teraz potrzebowała akurat wakacji...

Nie pytam o pani opinie, ale o to, czy nie wzięłaby pani krótkiego urlopu.

Nie wiem. A czy przez ostatnie dwa lata nie byłam właśnie na przedłużonym urlopie? Od czasu gdy wróciłam do latania, nie

myślałam o braniu wolnego.

Zdziwiłaby się pani, gdybym powiedział, że od przeniesienia do Fort Carson ma pani już dwadzieścia dwa i pół dnia zaległego urlopu?

Och, zapomniałam, z kim rozmawiam. Zaraz mi pan oznajmi, że już poprosiłam o urlop.

Poprosiła pani. Ale gdyby chciała pani zmienić zdanie, to jak najbardziej jest to możliwe.

Mogę zmienić zdanie w sprawie urlopu, o który nigdy nie prosiłam... Typowe... Powinnam się domyślić, że nie przyszedł pan tu tylko pytać o moje zdrowie.

Po to właśnie przyszedłem. Zapytać, jak się pani miewa, i poprosić o pomoc, jeżeli to możliwe.

Co miałabym zrobić?

Zlokalizować pewną osobę.

Nie może pan się zwrócić do swoich kolegów z sił specjalnych?

Wojsko nie uczestniczy w tej operacji. Nie może w niej brać udziału nikt, kto pracuje dla amerykańskiego rządu.

Poza mną...

Poza panią.

To dokąd jadę na ten zasłużony urlop?

Do Sarajewa.

Naprawdę? Już mam się bać?

Pokocha pani Sarajewo. To jedno z moich ulubionych miejsc na świecie. Będzie pani żal wyjeżdżać.

A co konkretnie robię w pięknej Bośni?

Jeżeli czas pozwoli, powinna pani spróbować odwiedzić Mostar. Poza zwiedzaniem zabytków i głównych atrakcji turystycznych – bierze pani udział w Festiwalu Filmowym w Sarajewie.

Jasne. W życiu nie przepuściłabym takiej okazji.

Pojawi się pani na premierze *Oprosti mi, Mina*. To bardzo kameralny film serbskiego kinomana, niejakiego Gorana Lukicia. To ktoś, kogo znam i komu ufam. On będzie pani przewodnikiem w Bośni.

– Co to znaczy *Oprosti Mina*?

– **Oprosti mi, Mina. Mina to imię. Oprosti mi znaczy „przebacz mi”.**

Brzmi miło...

Goran to jeden z najuprzejmiejszych i najbardziej bezinteresownych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Znając pana, nie jestem do końca pewna, co to znaczy. Będzie mnie oczekiwał?

Nie, nic z tych rzeczy. Po premierze jednak wyda małe prywatne przyjęcie w Zlatnej Ribicy. Pojawi się pani tam i pogratuluje mu filmu. Gdy nikt nie będzie słuchał, przypomni mu pani, że wciąż nie zapłacił za hydraulika

w Belgradzie.

Co to? Jakiś szyfr?

Nie, nie szyfr. Raczej delikatna aluzja.

Dlaczego sam pan się z nim nie skontaktuje? Zdaje się, że go pan lubi. Pewnie ucieszyłyby się, że może z panem porozmawiać.

Zapewniam panią, że nie.

Skąd go pan zna?

Uczestniczyłem w przesłuchiwaniu go podczas wojny.

To znaczy pomagał go pan torturować.

Jak w większości przypadków to kwestia indywidualnej oceny i przyjętej perspektywy historycznej. W terminologii CIA stosowaliśmy „alternatywny zestaw procedur”. Powiem tylko, że bez względu na to, jak nieprzyjemne mogło być tamto doświadczenie, on pozostaje moim dłużnikiem.

Załatwi sobie pani jakieś nierzucające się w oczy ubranie i poprosi go, by zabrał panią do Srebrenicy. To małe górskie miasto we wschodniej Serbii.

Dlaczego nazwa brzmi znajomo?

Tysiące bośniackich muzułmanów zostało tam wymordowanych przez Serbów pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Na miejscu spróbuje pani odnaleźć kobietę o imieniu Fata.

A nazwisko?

Nie znam. Nie wiem też, gdzie ona mieszka. Ale mogę powiedzieć tyle, że ma córkę i trzech synów. Jej mąż razem z najstarszym synem pracowali w tamtejszych kopalniach soli. Możliwe, że mieszkali w którejś z okolicznych wiosek.

Naprawdę? To wszystko? Która to mogła być wieś?

Nie mam pojęcia. Na dodatek w czasie wojny Serbowie zniszczyli setki wiosek, więc nie wiadomo, czy ta ich w ogóle istnieje. Fata byłaby teraz trochę po pięćdziesiątce. Podobno ludzie ją lubili i czasem pomagała w roli pielęgniarki.

Jak się zorientuję, że znalazłam właściwą osobę? Jeżeli się nie mylę, Fata to skrót od Fatima. Przypuszczam, że wśród bośniackich muzułmanek to nie jest najrzadsze imię. Całość brzmi jak: „Pojeźdź znaleźć Johna w Nowym Jorku”.

Będzie pani wiedziała, że to ona. Porozmawiajcie o wojnie. Opowie ciekawe historie.

Ile mam czasu?

Poprosiła pani o dwa tygodnie wolnego.

Kiedy?

Premiera jest piątego. Wylatuje pani w sobotę.

Założmy, że znajdę tę pana Fatę. Co jej kazać zrobić?

Nic. Zupełnie nic. Potrzebuję tylko informacji, gdzie ją znaleźć. Mogę jej kiedyś potrzebować.

Do czego?

To akurat pani zupełnie nie dotyczy. Miejmy zresztą nadzieję, że do tego nie dojdzie, a pani spędzi ciekawie czas, poznając odległe zakątki Bośni. A teraz, jeżeli pani wybaczy, muszę już iść. Mój samolot odlatuje za godzinę.

Sir?

Tak?

Dziękuję.

DOKUMENT NR 230

WYWIAD NN

Miejsce: restauracja chińska „New Dynasty”, Dupont Circle, Waszyngton, D.C.

Zaczynam nagrywanie. Jest prawie południe. Czekam na człowieka, który zadzwonił pod mój zastrzeżony numer. Siedzę przy oknie. Po drugiej stronie ulicy ukrył się snajper.

Do restauracji wchodzi niski, korpulentny starszy mężczyzna. Sześćdziesiąt kilka, może siedemdziesiąt lat. Jest ubrany w popielaty prochowiec, jakieś dwa numery za mały, na głowie kapelusz z szerokim rondem. Facet... nie ma brwi. Oby się okazało, że to nie na niego czekam... Niestety, podchodzi do mojego stolika, uśmiecha się szeroko.

Witam, sir! Tak się cieszę, że wreszcie mogę pana poznać! Tyle o panu słyszałem.

Ze względu na pańskie dobro mam nadzieję, że nie aż tak wiele. Proszę pamiętać, że ta rozmowa jest

nagrywana.

Świetnie, bardzo się cieszę. Dziękuję! Wie pan, kim jestem?

Nie mam zielonego pojęcia, kim pan jest, i wcale nie chcę się dowiedzieć. Chcę za to usłyszeć, co pan wie o mnie, skąd wziął pan te informacje i co zamierza z nimi zrobić.

Och! Jest pan zdenerwowany, bo przez telefon wspomniałem o pańskim synu. Przykro mi, że przywołałem złe wspomnienia. Jak powiedziałem, całkowicie się z panem solidaryzuję. Nie mogę wyjawić, skąd wiem to, co wiem, ale zapewniam, że z mojej strony nic panu nie grozi. Pański sekret jest zupełnie bezpieczny.

Proszę posłuchać bardzo uważnie, bo nie będę powtarzał. Jeżeli życie panu drogie, to nigdy więcej nie wspomni pan mnie ani nikomu innemu o moim synu. Powie mi pan dokładnie, co pan wie, i jeżeli odpowiedź mnie zadowoli, pozwolę panu opuścić to miejsce cało i zdrowo.

To trochę niegrzeczne, nie uważa pan? Jaki jest sygnał?

Sygnał?

Dla snajpera po drugiej stronie ulicy.

...

Śmiało, niech pan mówi. Facet śpi jak zabity. I następnym razem niech mu pan zostawi coś do jedzenia! Biedak przez godzinę śliniłby się, patrząc na nas.

A więc... Zacznijmy od początku, dobrze? Spróbowałby pan zgadnąć, kim jestem?

Nie.

Proszę! Niech pan spróbuje!

Emerytowanym klaunem, który stracił brwi przy połykaniu ognia.

Dobrze. Wystarczy zgadywania. Nazywam się Burns.

Beznadziejny pseudonim.

To moje nazwisko, dziękuję bardzo.

Czego pan chce?

Jestem tutaj, ponieważ mamy wspólnego znajomego. Powinien pan spróbować kurczaka *kung pao*.

Dzięki, jeszcze się zastanawiam. A kim jest ten przyjaciel?

Nie sądzę, by znał pan jej dane. Ale to osoba szczególna dla pana. Ktoś, kto zajmował bardzo, bardzo ważne miejsce w pana sercu. Ktoś, z kim, jak rozumiem, stracił pan niedawno kontakt.

Słucham...

Ach! Wreszcie! Skoro już zdołałem przykuć pańską uwagę, to teraz niech pan posłucha uważnie, co ja mam do powiedzenia.

Proszę odłożyć menu i zamówić kurczaka *kung pao*. Ryż po indonezyjsku też jest wyśmienity, ale kurczak pierwszorzędny.

Muszę pana ostrzec, że jeżeli w ogóle mam poczucie humoru, to bardzo małe, a do tego szybko tracę cierpliwość.

Po co ta skromność? Ma pan świetne poczucie humoru! Jest pan trochę flegmatyczny, to prawda, ale tak... tę odrobinę poczucia humoru dostrzegam. Ponieważ wygląda na to, że z głodu robi się pan zrzędlivy, od razu przejdę do rzeczy.

Lubi pan opowieści? Mam nadzieję, że tak. Opowiem panu historię, którą usłyszałem jako dziecko. Jest w niej po trochu wszystkiego: miłości, wojny, zdrady. Na pewno się panu spodoba.

Dawno, dawno temu istniało wielkie imperium. Naprawdę wielkie – posiadało tysiące kolonii. Rządzili nim potężni ludzie. Uważali, że każda kolonia powinna rozwijać się we własnym tempie i być samorządna. Interweniowali minimalnie, jedynie po to, by chronić życie lub bronić interesów imperium. To była niezwykle mądra rasa artystów i inżynierów, jak nikt inny rozumieli prawa rządzące działaniem wszechświata. Potrafili zbudować praktycznie wszystko, posługiwać się materią i energią na najróżniejsze sposoby.

Jedną z kolonii władała wojownicza rasa. Braki w wyrafinowaniu i inteligencji nadrabiali siłą i charakterem. Ich król, legendarny wojownik, miał miliony poddanych. Kiedy wyczerpał własne zasoby rudy, postanowił najechać sąsiadów. Imperium przysłało flotę interwencyjną. Króla wojownika pojmano, osądzono i skazano na dożywocie za kratami.

Z czasem pozwolono mu opuszczać więzienie, a wreszcie zamieszkać swobodnie w głównej metropolii imperium, ale nie mógł wrócić do domu, do swojego ludu. W stolicy pracował jako... guwerner czy trener osobisty, ale to brzmi głupio. W każdym razie w ten właśnie sposób poznał – domyśli się pan? Domyśli? Księżniczkę! Córkę samego cesarza.

Codziennie przez kilka godzin udzielał jej lekcji. Oczywiście wkrótce się w sobie zakochali. Przez jakiś czas utrzymywali swój związek w sekrecie, ale po osiągnięciu pełnoletności księżniczka przedstawiła króla wojownika ojcu. Ten jednak nie chciał o wybranku córki słyszeć. Obalony król znowu wyładował w niewoli.

Księżniczce zakazano go widywać, ale – jak to nastolatka – jednak go odwiedzała. Zrobiła nawet coś więcej. Którejś nocy wywołała pożar, żeby odwrócić uwagę strażników i pomóc kochankowi uciec. Król wojownik chciał zniknąć z miasta, ale księżniczka była uparta i nie zamierzała porzucić dawnego życia i rodziny. Zamiast postąpić rozważnie, zabrała ukochanego do pałacu, by wspólnie stawić czoło ojcu. Trudno sobie wyobrazić, że młodzieniec zgodził się na coś takiego, ale, jak wspomniałem, jego lud nie był szczególnie znany z rozwagi. Poza tym spójrzmy prawdzie w oczy: wszyscy popełniamy głupstwa z powodu kobiet.

A więc stanęli przed obliczem króla. To, co zaczęło się jako dyskusja, szybko przerodziło się w kłótnię. Padły ostre słowa, atmosfera zrobiła się gorąca. Poddani cesarza słynęli ze spokojnego usposobienia, ale spory rodzinne budzą w ludziach najgorsze instynkty. W każdym bez wyjątku.

Cesarz podniósł rękę, żeby uderzyć córkę, wtedy król wojownik szybko stanął pomiędzy nimi. Władca imperium nigdy z nikim nie walczył, nigdy nie dzierżył miecza, nigdy nie pracował fizycznie, więc młody rycerz nie znalazł w nim godnego przeciwnika. Po chwili trzymał ostrze przy jego gardle i tylko rozpaczliwe krzyki księżniczki powstrzymały go przed zadaniem śmiertelnego ciosu. Nadbiegli zaalarmowani strażnicy, kochanków aresztowano.

Zdrada córki głęboko zraniła cesarza. Już nic nigdy nie miało być takie samo. Lecz bez względu na to, jak mocno cierpiał, nie mógłby zgładzić własnego dziecka. W zamian dziewczyna miała spędzić resztę życia w tej samej celi, z której pomogła uciec swojemu oblubieńcowi.

Dla króla wojownika wybrał inny los. Ponieważ ten darował mu życie w pałacu, postanowił uczynić to samo. Karą będzie banicja, ale nie tylko dla króla – dla wszystkich jego ziomków. W kolonialnych fabrykach zbudowano ogromne transportowce i cały wojowniczy naród – dziesiątki milionów ludzi – został wygnany na zawsze.

Zakładam, że w najbliższej przyszłości pojawi się jakaś puenta tej opowieści.

Owszem, ale najważniejsza jest sama opowieść. Niech pan spróbuje się wczuć.

Cesarz nie był głupcem. Wiedział, że ma teraz potężnego wroga. Miną lata, dekady, może nawet stulecia, ale któregoś dnia wygnany lud zapragnie zemsty. Takiego upokorzenia się nie zapomina. Będą przekazywać pamięć o nim z pokolenia na pokolenie, aż odzyskają honor.

Przygotowując się do nieuniknionej wojny, cesarz kazał zbudować gigantyczne roboty na podobieństwo swojej rasy. Powstały niezniszczalne maszyny wojenne tak potężne, że w sekundę mogły obrócić wioskę w perzynę albo zabić legiony przeciwników. Tysiące tych gigantów rozesłano po wszystkich terytoriach.

Na krańcu cesarskich włości znajdowała się pewna niewielka kolonia. Była na wczesnym etapie rozwoju i jak dotąd imperium niezbyt się nią interesowało, lecz cesarz nalegał, żeby jej również zapewnić ochronę. Posłano tam dwanaście robotów bojowych i nieduży oddział żołnierzy do ich obsługi. Sześć robotów było zbudowanych na podobieństwo mężczyzn, sześć na podobieństwo kobiet. W kolonii, o której mowa, technologia praktycznie jeszcze nie istniała, więc jej mieszkańcy uznali gigantyczne maszyny za bogów i boginie. Nazywali je „tittah”. Mijały lata, całe stulecia, a wojna nie nadchodziła. Po przeszło dwóch tysiącach lat roboty wycofano do metropolii. Jednego pozostawiono na miejscu, robota-kobietę, którego ludzie nazywali „dhehméys”. Rozebrano go na części i rozrzuciono je po kolonii, w nadziei że kiedy mieszkańcy osiągną odpowiedni poziom rozwoju, odkryją maszynę i w razie potrzeby wykorzystają ją do obrony.

Co stało się z żołnierzami z obsługi?

Doskonałe pytanie! Widzę, że słucha pan uważnie. Co prawda żyli średnio trzy razy dłużej niż mieszkańcy kolonii, ale to była misja międzypokoleniowa. Gdy odesłano maszyny, bezpośredni potomkowie żołnierzy, ci o czystej krwi, również wrócili do domu. Jednak przez stulecia część żołnierzy pojęło za żony miejscowe kobiety i miało z nimi dzieci.

„Mieszkańcy”, jak ich nazywano, anatomicznie przypominali autochtonów, lecz po ojcu z rasy władców imperium dziedziczyli wybitne zdolności umysłowe i fizyczne. Oni żyli tam dalej po odjeździe żołnierzy. Zasymilowali się z miejscową społecznością. Dzięki swoim przymiotom wielu z nich i ich potomków zdobyło władzę i sławę.

„A w owych czasach byli na ziemi giganci; a także później, gdy synowie Boga zbliżali się do córek człowieczych, te im rodziły. Byli to więc owi mocarze, mający sławę w owych dawnych czasach”[11].

Słyszał pan już tę historię?

To z Biblii. Księga Rodzaju 6, 4.

Tak jak mówiłem, to znana opowieść. Liczni ją przekazywali.

Na ile prawdziwa?

Może w stu procentach. Może w ogóle. Sam pan musi zdecydować. Opowieści bawią, przechowują pamięć albo służą określonym celom społecznym. Myślę, że ta konkretna spełnia każdą funkcję po trochu.

A więc jest pan jednym z nich, tak? Jednym z potomków?

Jestem tylko starym człowiekiem, który lubi opowiadać.

Może nam pan pomóc? Pomóc ją uruchomić?

Nie mogę. Nawet gdybym wiedział, o co panu chodzi.

Więc dlaczego pan o tym wszystkim mówi? Po co pan do mnie przyszedł?

Co pan powie na kolejną opowieść? Ta niestety nie ma aż tak szczęśliwego zakończenia.

Ależ oczywiście.

Proszę bardzo. Pewien człowiek mieszkał w leśnym domku wraz z dwoma nastoletnimi synami. Był środek zimy, nadciągała okropna śnieżycą. Wkrótce miała zasypać drogi, a ich całkowicie odciąć od cywilizacji... Od cywilizacji...

Słucham dalej.

Przepraszam. To już brzmi trochę makabrycznie, a nie wspomniałem jeszcze o strzelbie. Zatem rozweselmy nieco nastrój. Wiem, że podobała się panu moja pierwsza opowieść, więc bohatera tej historii też uczynimy królem. W średniowieczu uchodził za potężnego władcę, wojownika wzbudzającego lęk i respekt. Wierzono, że posiada magiczny miecz, który czyni go nieśmiertelnym i niepokonanym. To oczywiście nie była prawda, po prostu biegle nim władał.

Król miał dwóch nastoletnich synów. Pewnego dnia poproszono go o rozsądzenie sporu w odległej wiosce. Synowie chcieli mu towarzyszyć, ale władca obawiał się, że dojdzie do bitwy. Gdy synowie zauważyli, że wrogowie ojca mogą wykorzystać jego nieobecność jako sposobność do ataku, ten wymyślił chytry plan. Postanowił, że zostawi miecz swoim chłopcom i pozwoli, by wieść o tym się rozniosła. Nieprzyjacielem uznają, że synowie, dzierżąc legendarną broń, są niepokonani tak jak ojciec.

Król załatwił, co miał do załatwienia, wrócił i zastał dwór w żałobie. Okazało się, że pomiędzy królewiczami wybuchła kłótnia o to, który z nich jest lepszym wojownikiem i bardziej zasługuje na ojcowski oręż. Starszy syn w porywie gniewu zaatakował młodszego. Ten ostatecznie skonał od ran, ale żył jeszcze, gdy ojciec przybył na zamek. Kiedy młodzieniec wyzionął ducha, król wziął „magiczną” broń i wyrzucił do morza, by nikt więcej przez nią nie cierpiał.

To wszystko! Tak to się kończy!

Proszę wybaczyć, jeżeli pytam o rzecz oczywistą, ale wolę się upewnić. Jaki jest morał tej historii?

Och, nie sądzę, by miała morał, jakieś szczególnie głębokie przesłanie. Jeżeli zostawiłbyś swoim potomkom miecz do obrony, a potem odkrył, że próbowali się nim pozabijać, to też chciałbyś im tę broń odebrać i się jej pozbyć. Logiczne. Ale może pomijam istotę sprawy. Może chodzi tu o coś zupełnie innego.

O! Jest kelnerka! Zjadłbym konia z kopytami.

[Dzień dobry panom, mogę przyjąć zamówienie?]

Tak, umieramy z głodu! Mój przyjaciel zamówi pierwszy.

Poproszę kurczaka kung pao.

Mądry z pana człowiek.

DOKUMENT NR 233

WYWIAD INES TABIB, ASYSTENTKA PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Miejsce: Biały Dom, Waszyngton, D.C.

Dziękuję, że zechciała mnie pani przyjąć.

To ja pierwsza zadzwoniłam, więc podziękowania należą się panu. Miło wreszcie pana poznać. Mam nadzieję, że kobieta na tym stanowisku nie budzi pańskich zastrzeżeń.

O co konkretnie pani pyta? O to, czy mam zastrzeżenia do zatrudniania kobiet w ogóle? Do mianowania ich na wysokie stanowiska rządowe? Do tego, że decydują o posyłaniu ludzi na wojnę?

Ja...

Odpowiedź na wszystkie trzy pytania jest przecząca. A gdybym miał takie zastrzeżenia, pewnie bardziej przejmowałbym się tym, że naczelnym dowódcą naszych sił zbrojnych jest obecnie kobieta, niż płcią jej doradców. À propos, jak się miewa pani prezydent?

W porządku. Wciąż jeszcze się mebluje. Chciała podziękować panu osobiście, ale to musi chwilę poczekać.

Podziękować mnie?

Mieliśmy dobrą kampanię, ale nie jest tajemnicą, że tak przytłaczające zwycięstwo zawdzięczamy pańskiemu projektowi. Zmienił pan świat, poczynając od prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Nic takiego nie zrobiłem. Eksprezydent mógł postąpić inaczej, sam się załatwił.

To brzmi jak: „Dobrze mu tak! Dostał to, na co zasłużył”. Czy pan postąpiłby inaczej na jego miejscu?

Nie jestem, nie byłem i nigdy nie będę prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie widzę większego sensu gdybać, jak zachowałbym się albo nie zachował na jego miejscu.

Dobrze. Proszę nie mówić. Ja natomiast pozwolę sobie powiedzieć panu, jaką ja podjęłabym decyzję. Na pewno inną. Nie ukrywałabym tego robota. Postawiłabym go przed Białym Domem, żeby każdy mógł go zobaczyć.

Pani poprzednik obawiał się nieprzychylniej reakcji innych państw na taki pokaz siły.

Wiem. Takie rozumowanie nigdy mnie jednak nie przekonywało. W którymś momencie musiały go ujawnić, prawda? W każdym razie dzisiaj i tak mleko już się rozlało. Nie ma chyba człowieka na świecie, który nie słyszałby o tej sprawie. To naprawdę przełomowy moment. Perspektywy są... praktycznie nieograniczone.

Chciałbym, żeby miała pani rację. Niestety, wkrótce

wrócą do swoich spraw, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

To odrobinę cyniczne podejście, nie uważa pan? Oczywiście, ludzie dalej będą robili mniej więcej to co dotychczas. Z kosmitami czy bez, muszą pracować, jeść, spać, posyłać dzieci do szkoły, wynosić śmieci. Ich codzienne życie nigdy tak naprawdę się nie zmieni. Pewnie dlatego są rozczarowani polityką. Myślą, że ten, kogo wybrali, odwróci ich los. A to nie o to chodzi.

Dzisiaj dzieci na całym świecie patrzą w niebo i zastanawiają się, czy twórcy tego robota pochodzili stamtąd, stamtąd czy stamtąd. Może, wiedzione pragnieniem odkrywania, zostaną kiedyś astronautami albo inżynierami. Może za dwadzieścia lat jeden z tych dzieciaków skonstruuje silnik, który pozwoli podróżować poza Układ Słoneczny, a wszystko dlatego, że jako małe dziecko widział coś tak niezwykłego.

Każda religia świata musi się jakoś odnieść do tej rewelacji. Bez względu na to, w jakiego boga ktoś wierzy, sprawa nie dotyczy już tylko ludzi. On czy ona musi odtąd być bogiem dla całego wszechświata. Niebo, piekło, nirwana i tak dalej – to musi być przemyślane na nowo, przeformułowane. Fundamentalisci zaprzeczają, że cokolwiek się wydarzyło, ale dla całej reszty świat jest innym miejscem niż przed odkryciem krateru w Denver.

Nawet prezydent musi dostosowywać treść przemówień do faktu, że oprócz nas są jeszcze inne rozumne istoty we wszechświecie. Zdziwiłby się pan, jak trudno umieścić Boga i kosmitów w jednym zdaniu i nie popaść przy tym w śmieszność.

Co ważniejsze, zwykli obywatele, ale także światowi przywódcy, wiedzą już, że w kosmosie żyje rasa istot zdolnych budować maszyny orężne tak zaawansowane, że w starciu z nimi nie mielibyśmy zapewne żadnych szans.

Zmiotliby nas z powierzchni ziemi. Pewnie nawet zdołaliby to zrobić na odległość.

Właśnie. To otrzeźwienie dla wszystkich. Przy czymś takim błędna nasze spory terytorialne czy handlowe. Nie zdarzył się żaden kataklizm w rodzaju uderzenia asteroidy, ale nastąpił moment traumatyczny, a złe doświadczenia łączą ludzi. Myślę, że to zmienia nasze postrzeganie samych siebie. Zmiana może być powolna i niedostrzegalna, ale staje się faktem. Gwarantuję.

Mam szczerą nadzieję, że się pani nie myli. Najbardziej bym sobie życzył, żeby to odkrycie wpłynęło na nasze myślenie o inności, odmienności. To, czym jestem, stanowi w dużym stopniu pochodną tego, czym nie jestem. Jeżeli „innym” jest muzułmanin, to ja jestem judeochrześcijaninem. Jeżeli „inny” pochodzi ze świata oddalonego o tysiące lat świetlnych, to ja jestem po prostu człowiekiem. Proszę zmienić definicję inności, i dopiero wtedy możemy pomyśleć o wymazaniu granic.

Nie przypuszczałam, że aż taki cynik z pana. Skoro pan już przyszedł, pani prezydent prosiła, żebym zasięgnęła pańskiej opinii na temat ewentualnego terminu wydobycia robota.

Gdy powiedziałem pani poprzednikowi, że zatopienie maszyny nie następuje raz na zawsze, nie miałem na myśli, że wyciągniemy go przy najbliższej możliwej okazji. Poza tym minęły zaledwie cztery miesiące.

Jasne, jasne. Po prostu... tyle się teraz dzieje. Pani prezydent chciałaby się orientować, jakie ma opcje do wyboru.

Nie słyszałem, żeby w ostatnich trzech miesiącach opracowano jakąś przełomową technologię, w każdym razie nie w dziedzinie poszukiwań podwodnych. Może pani poinformować szefową, że jej opcje są dokładnie takie same jak wczoraj albo jak cztery miesiące temu, albo jak przed odkryciem dłoni w Dakocie Południowej.

Dobrze, przekażę, że... Na pewno nic nie możemy zrobić?

Tak.

Tak?

Tak, jestem pewien, że nic nie możemy zrobić.

Zapytam więc inaczej: czy według pana nikt inny nie może nic zrobić, by odzyskać tego robota? Stracić go to jedno, ale wolałabym nie zobaczyć nagle naszego giganta w telewizji, z chińską flagą wymalowaną na piersiach.

Tak jak powiedziałem, nic mi nie wiadomo o istnieniu technologii, która by to umożliwiła. Byłbym zaskoczony, gdyby się okazało, że Chińczycy albo ktokolwiek inny poczynił w tym względzie znaczące postępy, w dodatku w całkowitej tajemnicy. Z drugiej strony nie jest to absolutnie wykluczone.

W jaki sposób zapobiegłby pan wydobyciu robota przez obce państwo?

Nie da się tego zrobić, jeżeli samemu nie potrafi się tam dotrzeć. Zalecałbym zwiększyć rządowe nakłady na rozwój technologii głębinowych prac podwodnych, powiedzmy... tysiąckrotnie, jeżeli jeszcze nie podjęliście takich kroków. Jestem przekonany, że wiele państw poszło tym tropem, gdy tylko pierwsza część opadła na dno oceanu.

To wygląda na jakiś wyścig.

Bo to jest wyścig.

Czyli znowu mamy coś w rodzaju wyścigu zbrojeń, tak? Ścigamy

się z Rosjanami i Bóg wie, kim jeszcze, kto pierwszy dotrze na dno oceanu, a zwycięzca bierze wszystko. Zgadza się?

Chyba że znajdziemy sposób, by wroga zamienić w sojusznika, takie jest mniej więcej sedno sprawy.

Sugeruje pan, że powinniśmy współpracować w tej kwestii z Rosjanami?

Nie wiem, co powinniście, wiem tylko, co moglibyście zrobić. Większość ludzi o tym zapomina, ale w 1963 roku Kennedy zaproponował Moskwie współpracę przy programie księżycowym. Gdyby nie przedwczesna śmierć prezydenta, niewykluczone że pierwsze lądowanie na Księżycu byłoby wspólnym przedsięwzięciem Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego.

Jakoś w to nie wierzę.

Zapewne to miała pani na myśli, mówiąc o „powolnej i niedostrzegalnej zmianie”. Przepraszam, jestem dzisiaj bardzo zajęty. Czy mogę pani jeszcze w coś pomóc?

Nie, nie sędzę. Chyba że potrafi pan zmusić Koreę Północną do zaprzestania prac nad bombą atomową.

Co się wydarzyło?

Trzecia podziemna próba w tym roku. I wydaje się, że teraz to naprawdę był atom. Wcześniej po prostu wysadzali w powietrze kupę dynamitu, żebyśmy myśleli, że mają atomówkę. Ale nie tym razem. Japończycy wykryli promieniowanie na miejscu eksplozji.

Gdyby chodziło o kogoś innego, zagrozilibyśmy użyciem siły... ale na nich to najwyraźniej nie działa. Nie jestem pewna, co ta akcja dla nas oznacza.

Uderzenie prewencyjne?

Według pani prezydent to byłoby wypowiedzenie wojny.

A zatem obawiam się, że nie mam do zaproponowania innej odpowiedzi. Mówię to z bólem serca, ale Korea Północna zawsze mnie zdumiewała. Nie da się ich zastraszyć, bo nie boją się gróźb. Nie da się z nimi rozsądnie negocjować, a co najważniejsze, są całkowicie przekonani, że racja leży po ich stronie, więc nikt nie zdoła ich kupić. Megalomani z kompleksem wyższości to twardy orzech do zgryzienia, ale żeby coś takiego się ciągnęło pokoleniami, to dla mnie zupełna zagadka.

...Przepraszam, zamyśliłam się. Wyścig, kto pierwszy dotrze na dno oceanu... Trudno napisać o tym dobre przemówienie. Zdecydowaliśmy się... zejść na dno oceanu. Zdecydowaliśmy się w ciągu najbliższych dziesięciu lat zejść na dno oceanu i dokonać...

Może pisanie przemówień powinna pani zostawić innym.

DOKUMENT NR 237

WYWIAD VINCENT COUTURE, BEZROBOTNY

**Miejsce: park La Fontaine, Montreal,
Kanada**

Proszę usiąść, panie Couture.

Mogliśmy pójść do mnie. Jest trochę za zimno na piknik.

Staralem się ukryć tożsamość wszystkich uczestników naszego projektu, ale po ostatnim incydencie wolę rozmawiać w miejscu publicznym.

Boi się pan, że ktoś założył u mnie podsłuch?

Tego nie mogę wykluczyć. Poza tym jesień jest piękna w tym parku. Odebrał pan moją wiadomość?

Trudno to nazwać wiadomością, ale tak, odebrałem dwa słowa, które pan przysłał. Fajnie.

To znaczy?

Fajnie, że kiedyś na Ziemi mogło być więcej tych robotów. Konkretnie jeszcze jednaście.

Skąd...

Skąd wiem? Cóż, pierwsze słowo, które pan przysłał, „tittah”, to po hetycku „wielki”. Tym językiem mówiono około pięciu tysięcy lat temu w Anatolii, czyli mniej więcej w rejonach dzisiejszej Turcji. Słowo zapożyczyli zachodni sąsiedzi Hetytów i po grecku mamy „tytan”.

W mitologii greckiej tytanami nazywa się dzieci Uranosa i Gai. To też fajne. Rozumie pan? Są dziećmi Ziemi i Nieba. W jakiś sposób musieli wiedzieć, skąd pochodzą.

Jest ich dwanaścioro, sześciu tytanów i sześć tytanek. Nie znam imion ich wszystkich, ale wiem, którą postać znaleźliśmy. Drugie słowo od pana: „dhehméys”, brzmi całkiem po praindoeuropejsku – właśnie tym językiem prawdopodobnie posługiwano się na obszarach Azji Mniejszej w tamtym czasie. Jeżeli to rzeczywiście praindoeuropejski, to „d” przejdzie z czasem w „t” i w starożytnej grece ma pan Temidę, jedną z tytanek.

Temidę?

Tak jest. Opaska na oczach, w jednej ręce miecz, w drugiej waga.

Bogini sprawiedliwości.

Mniej więcej. Posągi, które widuje się przed budynkami sądów, są stosunkowo nowoczesne. Zwykle przedstawiają połączenie Temidy i Iustitii, jej rzymskiej odpowiedniczki. Jak to się mówi? Sprawiedliwość jest ślepa.

Ale „sprawiedliwość” to nie jest dobre słowo. Tu chodzi o coś większego, coś w rodzaju boskiego prawa. To zapewne „dhehméys” oznaczało już pięć tysięcy lat temu. Jestem przekonany, że stąd wywodzi się sanskryckie „dharma”, czyli kosmiczny porządek spajający wszechświat. Jej córka, Dike, to grecka bogini sprawiedliwości.

To miała córkę?

Cóż, oczywiście nie taką „prawdziwą”. I nie sądzę, żeby gdzieś leżał zakopany minirobot w wersji żeńskiej. Czasami mity są właśnie tym, czym są – mitami.

Ale czy potrafi pan to sobie wyobrazić? Dwanaście takich gigantów... stąpają po ziemi skąpane w turkusowym świetle. Zresztą kto wie, może świecili na różne kolory. Nie mieli jeszcze wtedy narzędzi z żelaza, nie wspominając o elektryczności. Chciałbym cofnąć się w czasie, żeby to zobaczyć. Skoro dzisiaj jeden robi takie wrażenie, to co dopiero dwunastu, w czasach gdy technologia praktycznie nie istniała. To musiało być jak spotkanie z bogami.

Ciekawe, dlaczego zostawili go na Ziemi, skoro wszystkie pozostałe odesłali tam, skąd przybyły.

Co każe panu myśleć, że je odesłali?

Przeszukaliśmy całą planetę i znaleźliśmy części tylko tego jednego. Gdyby było ich jeszcze jedenaście, z pewnością mielibyśmy jakieś części zamienne, dodatkowe dłonie, kolejną nogę, leżącą gdzieś w magazynie.

Powie mi pan, co wie, czy muszę się wszystkiego domyślać?

Być może nic nie wiem.

Jasne. Po prostu natrafił pan na słowa „tittah” i „dhehméys” przy rozwiązywaniu krzyżówki i zadzwonił pan do mnie po podpowiedź. „Inaczej *rozsądek*”, siedem liter?

Rozwaga.

W którymś momencie komuś będzie musiał pan zaufać. Bo co jeśli jutro przejedzie pana samochód dostawczy? Nikt nie pozna tego, co trzyma pan tylko dla siebie.

Proszę zdać sobie sprawę, że zasadniczo jestem tutaj tylko widzem. Nie przyleciałem z kosmosu. Nie ja zbudowałem tego robota. Nie odegrałem nawet istotnej roli w jego odkryciu i zbadaniu. Może pan zatem bezpiecznie założyć, że sto procent tego, co wiem, pochodzi od innych ludzi. Gdyby cokolwiek mi się przytrafiło, będzie ktoś, kto wie to, co ja wiem, wielu takich. Ufam, że w przypadku mojej śmierci istotne informacje zostaną przekazane odpowiednim osobom, tak jak są przekazywane mnie.

Jasne, ale mógłby pan zaoszczędzić nam wszystkim sporo czasu i uchylić rąbka tajemnicy, tak żebyśmy mogli, rozumie pan, pomóc odrobinę!

Już pan pomaga, i to bardzo. A dzieje się tak między innymi dlatego, że nie obciąża pana niepotrzebna wiedza. Część informacji, jakie posiadam, byłaby dla pana przydatna, nie przeczę, ale część prawdopodobnie zawęziłaby myślenie, ukierunkowała je w określony sposób, przez co nie zobaczyłby pan całości. Ponieważ nie potrafię ocenić, jakie konkretnie dane wywołałyby taki skutek, przekazuję panu tylko to, co konieczne.

Naprawdę? A ja cały czas myślałem, że jest pan najbardziej wścibskim kierownikiem projektu, jakiego zna świat. Nie zdawałem sobie sprawy, że robi pan to dla mnie. Że ze względu na mnie nie puszcza pan pary z ust. Jak panu dziękować?

Sarkazm proszę zostawić pannie Resnik. Jest w tym o niebo lepsza od pana. To co, gotów wracać do pracy?

Jakiej pracy? Zrobiłem jak dotąd dwie rzeczy: odszyfrowałem pozaziemskie symbole na płytach, które przypadkowo zdematerializowałem, i nauczyłem się sterować robotem, którego

pan zatopił na dnie oceanu. Z tego, co widzę, nic tu już po mnie.

Nie o to mi chodziło. Chciałem wiedzieć, czy czuje się pan gotowy.

Żeby co zrobić?

Cokolwiek. Pytam, czy czuje się pan gotowy do robienia czegokolwiek.

Nie rozumiem.

Przez ostatnie pięć miesięcy głównie zapuszczał pan brodę i sklejał modele okrętów z II wojny światowej. To całkiem skomplikowane konstrukcje, więc taka aktywność dowodzi cierpliwości i manualnej zręczności, ale nie uspokaja nas co do pańskiego stanu psychicznego.

Ja... nie wiem, co powiedzieć... Psychicznie czuję się dobrze i... jestem gotów... podjąć nowe wyzwania, o których jeszcze nie mam pojęcia.

Jaki jest status pana związku z panną Resnik?

My... nie rozmawiałem z nią od dłuższego czasu.

No właśnie. Jak może pan mówić, że jest gotów do powrotu do pracy, skoro nie potrafi pan się zebrać, żeby zadzwonić do kobiety, na której panu bardzo zależy?

Chciałem poczekać, aż będę pewny.

Pewny czego?

Już prawie jestem. Skontaktuję się z nią wkrótce, obiecuję.

Chciałem poczekać, aż będę pewny.

...

Aż będę pewny, że się znowu nie przewrócę.

...

Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć. Codziennie rano budzę się, słysząc, jak Rose krzyczy, żebym się zatrzymał. Ludzie mówią mi, że to minie, że któregoś dnia przestanę śnić koszmary o jej śmierci. Nie sądzę, by ten dzień kiedykolwiek nadszedł, ale nauczyłem się z tym żyć.

Chciałbym, oczywiście, pamiętać tylko dobre rzeczy. Zaufała mi, zaoferowała przyjaźń i otworzyła drzwi do świata, o jakim nawet nie marzyłem. Pozostanę jej dłużnikiem do końca życia. Wspaniale byłoby zachować w pamięci tylko to, ale niestety, tak się nie da. Więc jeżeli częścią pamiętania o Rose są poranne przebudzenia z krzykiem na ustach, to cóż, niech tak będzie.

Nie przywrócę jej życia. Nie posłuchałem jej wtedy i nie mogę obiecać, że zawsze zrobię to, co ktoś mi każe, ale przysięgam, przysięgam na wszystko, że nigdy więcej się nie przewrócę. Nie pozwolę, by z powodu mojej słabości komukolwiek coś się stało, a zwłaszcza Karze. Dlatego jeszcze do niej się nie odezwałem.

Nie kwestionuję pańskiej determinacji, nigdy nie kwestionowałem, ale nie może pan zagwarantować, że kolana znowu nie odmówią panu posłuszeństwa, tak jak ostatnim razem.

Chodzę po schodach.

Co takiego?

Chodzę po schodach z kolanami w odwrotnej pozycji.

Najwyraźniej jednak nie wszystko o panu wiem. Proszę mówić dalej.

W nocy, w kamienicy, w której mieszkam. Nastawiam budzik na drugą w nocy i chodzę po schodach, w górę i w dół. Cztery piętra w górę, potem w dół, potem znowu w górę, aż nie mogę się już ruszać.

Jak często pan to robi?

Każdej nocy, od kiedy wróciłem. Nogi mam zbyt słabe, by trenować w dzień, więc piję koktajle białkowe i ćwiczę koncentrację. Sklejam modele statków, powtarzając w myślach tabliczkę mnożenia w systemie ósemkowym. Wiem, to trochę dziwaczne, i przykro mi, jeżeli komuś taka metoda nie odpowiada, ale na nic bliższego pracy nad konsolą nie wpadłem. Nie wiem tak naprawdę, co pan chce, żebyśmy zrobili, ale jeżeli myśli pan o ponownym zebraniu zespołu, to jestem gotowy. Dziesięć razy bardziej gotowy niż wtedy, gdy ostatni raz postawiłem stopę w sterowni.

Ponowne zebranie zespołu może nie być takie proste.

...Przepraszam, nie śmieję się z pana. Tylko że to, co pan powiedział, to cytat z Jake'a z *Blues Brothers*.

Cytowałem pana sprzed chwili.

Tak, oczywiście. Przepraszam. Nie chciałem...

...a cytat jest z Elwooda, nie z Jake'a. Gratuluje.

Czego?

Przekonał mnie pan, że jest gotów do służby. Teraz musi pan tylko przekonać pannę Resnik.

DOKUMENT NR 239

WYWIAD ALYSSA PAPANTONIOU, PREZES, FIRMA NR 462753, ZAREJESTROWANA NA BRYTYJSKICH WYSPACH DZIEWICZYCH

Miejsce: okolice San Juan, Portoryko

Niestety, pani Papantoniou, znowu się spotykamy.

Tak, to musi być dla pana trudne.

Dlaczego pani tak sądzi? Żałowałem, że pani odeszła.

Przecież kazał mnie pan... deportować.

Owszem. Mam na myśli, że żałowałem później. Nie doceniłem pani wkładu w działanie zespołu. Uważam, że brak pani umiejętności społecznych i empatii koniecznych do odgrywania roli kierowniczej, ale zdaję sobie sprawę, że jest pani wybitnie utalentowana i możemy dużo skorzystać na pani obecności.

A teraz zostałam wy... wybrana przez zarząd. Tym razem ja

kieruję.

Zgadza się. Z pewnością zrobiła pani spore wrażenie na rosyjskich urzędnikach. Ciekaw jednak jestem, co im pani zaoferowała, nie wiedząc nic o tym miejscu. Musiała pani jakoś przekonać członków zarządu, że stery robota będą reagowały na ich pilotów, gdy wyciągną go z dna oceanu. Cóż, rząd amerykański bez wątpienia nie byłby zachwycony, że składa pani Rosjanom taką propozycję.

Podobnie jak tym, że pan zakłada tu takie konsorcjum.

Właśnie. Jak pani widzi, wiele nas łączy. Oboje głęboko zaangażowaliśmy się w ten projekt, na tyle głęboko, że musimy wybierać pomiędzy tym, co etyczne, honorowe a tym, co ważne. Mam nadzieję, że to wspólne zaangażowanie posłuży jako podstawa naszej odnowionej relacji. Niech to będzie... nowy początek.

Wyprowadzono mnie z domu... jak prze... przestępczynię!

Uważali, że nią pani jest. Ale... co było, to było. Zdaje sobie pani sprawę, że musimy znaleźć jakiś modus vivendi? Chętnie spróbuję, jeżeli pani robi to samo.

Ja przez cały czas zachowywałam się profesjonalnie. To pan sprowadził współpracę na poziom os... osob...

Osobisty. Określiłbym swoje postępowanie jako... stanowcze. Myślałem, że to cecha, którą podziwia pani u innych. Proszę mi wierzyć, kiedy ja sprowadzam kwestię na poziom osobisty, nie pozostawia to miejsca na interpretację. A więc, zaczniemy? Jak postępują prace konstrukcyjne?

...

Nie odejdę, dopóki nie porozmawia pani ze mną. Jeżeli zależy pani na tym projekcie tak bardzo, jak pani twierdzi, to nie pozwoli pani, by... tymczasowa przeprowadzka zniweczyła jego szanse powodzenia.

Wyprzedzamy harmonogram o blisko miesiąc. Budowa laboratorium jest na ukończeniu, a kładzenie toru idzie dużo szybciej, niż się spodziewaliśmy. Powinien pan sprowadzić tu pilotów.

Zrozumiałem, że treningi nie zaczną się przed grudniem. Nawet biorąc pod uwagę tempo waszych postępów, nie wiem, co mieliby teraz robić.

Nic. Nic nie musieliby robić. Mogliby chodzić na pla... plażę, pić drinki z palemką, dobrze się bawić. Pozwolić zbliżnić się ranom.

Myśli pani, że nie cierpią mnie za to, że zakończyłem projekt?

Nie, nie sędzę. Ale z pewnością obrażą się na mnie. Będą bezużyteczni przez co najmniej... co najmniej miesiąc. Nie lubili mnie wcześniej, a teraz znie... znienawidzą.

Taki sposób rozumowania wydaje mi się trochę irracjonalny. Spędziła pani z nimi w sumie niedużo czasu. Nie znają pani na tyle dobrze, żeby pani nienawidzić.

„Irracjonalny” to do... dobre słowo. Podświadomie będą mieli do mnie żal za to, że nie jestem nią. Za to, że... żyję.

Chodzi pani o doktor Franklin?

Owszem. Fakt, że nie doktor... nie ona kieruje projektem,

wywoła w nich wstręt, choć pewnie nie na poziomie świadomym. Będą mnie nienawidzili za to, że nie jestem taka jak ona, i będą mnie nienawidzili za każdym razem, kiedy zachowam się podobnie jak ona. Będą mnie nienawidzili za to, że przeze mnie muszą ciągle i ciągle prze... przeżywać jej śmierć. Może mi pan wierzyć, tak się stanie. Proszę więc pana, żeby sprowadził tych dwoje już teraz, niech ich rany się zabliznią. Nie dam rady pracować, kiedy oni życzą mi śmierci, nawet jeżeli tylko pod... podświadomie.

Zobaczę, co da się zrobić. Przede wszystkim potrzebują trochę czasu, żeby pogodzić się ze sobą nawzajem. Zostawmy na razie te kwestie psychologiczne i skupmy się na tym, co dotąd osiągnęliście. Powiedziała pani, że budowa laboratorium dobiega końca. Robicie równie duże jak to w Denver?

Prawie. Kilkanaście metrów krótsze. Grunt bliżej oceanu okazał się mniej stabilny, niż pokazywały analizy geologiczne. Proszę się nie martwić – wciąż zostanie dość miejsca, by robot mógł się poruszać, ale dach się nie zawali. Tym razem będziemy dużo głębiej niż w Denver, z milionami ton wody i skały nad głową.

Ile osób kładzie tor?

Ani jedna. Nie podobała mi się ta perspektywa ze względów bezpieczeństwa, bo ludzie nie potrafią trzymać języka za zębami. Poza tym nurkowie mogliby ułożyć zaledwie pierwsze kilkaset metrów. Nasi niemieccy przyjaciele zdołali zbudować kolejkę, która sama kładzie sobie tor. Tak naprawdę to rodzaj szyny. Duża część trasy biegnie po niemal pionowym zboczu, więc przyłożenia sił są inne niż przy zwykłym pociągu. To, co zbudowaliśmy, przypomina raczej dwuteownik z ciągiem otworów pośrodku, o które zaczepiają się koła zębate.

Sprytne urządzenie. Jedzie na koniec trasy, kładzie nowy odcinek toru, potem wraca po następny. Na początku to zajmowało kilka

godzin, teraz pochłania niemal cały dzień. Kolejka jest powolna, ale... działa bezawaryjnie.

Jak wydobędziecie części robota, gdy dotrzecie na miejsce?

Mamy bezzałogowy okręt podwodny z dźwigiem. Gdy zejdziemy na dno rowu, przyczepimy boje przy każdym elemencie, żeby zwiększyć jego wyporność, a następnie przymocujemy te fragmenty do platformy kolejki za pomocą lin. Potem wyciągniemy... jeden po drugim.

Kolejka ma wystarczającą moc, żeby wydobyć wszystkie części?

Nie. Przy odpowiedniej liczbie boi poradziłaby sobie pewnie z mniejszymi elementami: dłońmi czy stopami, ale nie z udami czy tułowiem. Gdy skończy kłaść tor, podłączymy do niej linę i jej pomożemy. Mamy wyciągarkę wielkości czteropiętrowego budynku.

Zdaję sobie sprawę, że nie wszystko mi pan mówi, i pewnie są ku temu ważne powody, ale zakładam, że czegoś takiego by pan przede mną nie uk... nie ukrywał. Dlaczego poszukiwanie układu napędowego trwa tak długo? Pozostałe części znaleźliście stosunkowo szybko, a pewnie przeszukaliście już większość powierzchni Ziemi.

Nie znaleźliśmy układu napędowego, jak go pani nazywa, ponieważ go nie szukaliśmy. A konkretnie: przestaliśmy szukać po znalezieniu głowy. Dlaczego pani uważa, że coś takiego w ogóle istnieje?

Cóż, jestem przekonana, że wielu rzeczy nie wiem, ale...

Po raz drugi sugeruje pani, że istotne informacje są

przed panią ukrywane. Zapewniam, że tak nie jest.

Nieważne. Wiedziałam o tym, przystępując do współpracy.

Ja...

Niech pan pozwoli, że skończę. Jak rozumiem, ten robot został zbudowany przez wysoko rozwinięte istoty z kosmosu w celu obrony planety przed inną rasą, czy tak?

Tak.

Jest pan pewien, że celem była obrona całej planety?

Tak to rozumiem.

A więc jakże mogłoby być inaczej? Robot, jak go pan nazywa, jest niezwykle potężny i niewątpliwie mógłby obronić dzielnicę, a nawet przypuśćmy, że całe miasto, przed dowolnym zagrożeniem. Ale co robi, gdy wróg zaatakuje w innym państwie czy wręcz na innym kontynencie? Pójdzie tam na piechotę? Taksówki raczej nie złapie.

Brak układu napędowego ograniczałby mobilność maszyny do tego stopnia, że okazywałaby się bezużyteczna. Wystarczyłoby, żeby musiał się przemieścić kilkanaście kilometrów dalej. Zanim dotarłby na miejsce, wróg już by zakończył sprawę. To byłby najgłupszy system obrony planetarnej we wszechświecie – nie żebym znała jakiś inny – skoro nie potrafiłby przenosić się szybko na większe odległości.

Sensowny argument. Dziwne, że nikt, włącznie ze mną, dotąd o tym nie pomyślał. Postaram się, by wznowiono poszukiwania. Jednak, jak pani zauważyła, przekopaliśmy już większość globu, z wyjątkiem Antarktydy. Jeżeli układ napędowy istnieje, a tam go nie znajdziemy, to najpewniej

spoczywa pod wodą.

Będziemy musieli przeszperać powierzchnią dużo większą niż dotychczas, a obecnie nie potrafimy rozpylać w wodzie środka zaprojektowanego przez doktor Franklin.

Trzeba więc dobrać sobie kogoś do pomocy. Jestem genetyczką, nie chemiczką czy inżynierem.

Doktor Franklin też nie była ani jednym, ani drugim.

Cóż, może bardziej niż ja przypominała człowieka renesansu... ale nie żyje. Pańscy piloci ją zabili. I musimy sobie jakoś poradzić. Tak jak powiedziałam, jestem genetyczką. Już teraz zarządzam pracą hutników i inżynierów, a nie rozumiem połowy tego, co mówią. Biorąc pod uwagę, ile to wszystko kosztuje, jedna pensja więcej nie zrobi chyba różnicy. Jeżeli potrzebujemy chemika, zaangażujemy chemika. Jeżeli inżynierowie, którzy wymyślili to, co tutaj budujemy, nie znajdą sposobu dystrybucji argonu-37 pod wodą, zaangażujemy kolejnych.

A skoro mówimy o genetyce, to jest jeszcze jeden powód, dla którego jak najszybciej chciałabym ściągnąć tu pilotów. Jeżeli mam odkryć, dlaczego akurat oni potrafią uruchomić tę maszynę, to będę potrzebowała dostępu do ich... ciał. Będę potrzebowała próbek.

Próbki krwi jakby co prześlą kurierem.

Mnie zależy na dużej liczbie próbek, i nie tylko krwi. Proszę po prostu ściągnąć ich tu możliwie najszybciej.

Wielokrotne pobieranie płynów fizjologicznych może im się nie spodobać.

Będzie mi ciężko wykonywać swoje zadanie, jeżeli oni nie zechcą współ... współpracować. Są niewiadomą w tym równaniu.

Fakt, że tak ważny i skomplikowany projekt zależy od dobrej woli dwojga ludzi, poważnie niepokoi radę nadzorczą. Rozmawialiśmy już o tym wcześniej, nie ma sensu tego powtarzać. Zamierzam rozpocząć te badania jak najszybciej.

Tylko niech będą możliwie nieinwazyjne i bezbolesne, dobrze? Co do rady nadzorczej, proszę zdać się na mnie. Pani zadanie polega na tym, aby znów uruchomić projekt. Gdy ten cel zostanie osiągnięty, stworzymy plan awaryjny, na wypadek gdyby cokolwiek się stało któremuś z pilotów. Na tę chwilę jednak pilotów mamy. Proszę więc skupić się na tym, czego nam brakuje, to znaczy na samym robocie oraz odpowiedniej bazie do kontynuowania ćwiczeń.

Rozumiem. Mimo to nie mogę ignorować rady nadzorczej. Oni powierzyli mi stanowisko. Rozumiem pańskie zaangażowanie, ale istnieje tu określona struktura administracyjna, której, o ile wiem, nie jest pan częścią. Doceniam pański wkład w projekt, ale to ja odpowiadam przed radą.

Podziwiam pani lojalność i pragnienie jak najlepszego wykonywania obowiązków prezesa.

Dziękuję.

Jeżeli wolno coś zasugerować – byłoby rozsądnie, gdyby zadała pani sobie trud i spróbowała lepiej zrozumieć otoczenie, może nawet ponownie przemyśleć uprzednie założenia. Pełne zrozumienie prawdziwego charakteru hierarchii władzy w przedsięwzięciu tak złożonym jak to, nie jest rzeczą łatwą.

Dziękuję za troskę. To bardzo miłe z pana strony.

DOKUMENT NR 249

WYWIAD VINCENT COUTURE, KONSULTANT, FIRMA NR 462753, ZAREJESTROWANA NA BRYTYJSKICH WYSPACH DZIEWICZYCH

Miejsce: okolice San Juan, Portoryko

Mam nadzieję, że dobrze się pan czuje w nowym otoczeniu.

Jakże mogłoby być inaczej? Mieszkam na plaży! Nie wiem, skąd pan pochodzi, ale dla kogoś, kto całe życie mieszkał w Quebecu, tu jest naprawdę cudownie.

Cieszę się, że dom na plaży się panu podoba. Miałem jednak na myśli ośrodek badawczy.

Byłem tu tylko dwa razy. W dniu przyjazdu spotkałem się z Alyssą – wie pan, że ściągnęli ją z powrotem? – a kilka dni później przyszedłem na badanie lekarskie.

Jeżeli się nie mylę, jest pan tu od blisko dwóch

tygodni. Czym się pan zajmuje, skoro nie spędza pan czasu w ośrodku?

Uczę się pływać na desce! To znaczy, próbuję się uczyć. Jestem w tym kiepski, ale zabawa przednia! Wiem, że to niemożliwe, jednak nie mogę przestać myśleć, że dużo łatwiej byłoby mi z kolanami w odwrotnej pozycji. Powinien pan przyjść! Łatwo mnie zauważyć: opalam się na wściekłą czerwień.

**Czy naprawdę muszę wyjaśniać, że nie surfuję?
Porozmawiajmy o pracy, dobrze?**

Jasne!

Co pan sądzi o nowej bazie?

Jestem pewien, że wie pan o niej więcej ode mnie. Tak jak wspomniałem, byłem tu tylko dwa razy. Przestrzeń w Denver wydawała mi się niesamowita, ale to miejsce jest już zupełnie odlotowe. Zdaje pan sobie sprawę, że siedzimy ponad półtora kilometra pod ziemią?

Drzwi z tyłu prowadzą do dużej sali, mniej więcej wielkości sterowni, w której ćwicyliśmy w Denver. Na tym poziomie znajduje się też kilka laboratoriów i ogromna – gigantyczna – śluza prowadząca prosto do oceanu. Byłem wyłącznie na tym piętrze, innych nie widziałem.

Jest tylko jedno piętro. Mieści jeszcze warsztat mechaniczny o powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych, zaplecze medyczne, kwatery załogi i elektrownię.

Mogę zadać głupie pytanie?

Nie, nie może pan.

A mądre?

Wedle życzenia.

Jak wydostaniemy stąd robota? Jedyne wystarczająco duże właz, jaki widziałem, wychodzi na ocean.

Po zmontowaniu nie da się robota przetransportować lądem. Musi być ponownie zdemontowany i wyciągnięty na powierzchnię niedaleko brzegu morza. Potem załadujemy poszczególne części na statki. Robot mieści się jednak w śluzie, więc teoretycznie mógłby wyjść na ląd dnem morza.

Myśli pan, że nasza zabawka działałaby też pod wodą? Byłoby super.

Nie wiemy, czyby działała, ale chcemy to sprawdzić. Tak, byłoby super.

Kto zarządza tym miejscem? To amerykańska baza?

Nie do końca. Ośrodek należy do konsorcjum czterech krajów: Japonii, Rosji, Korei Południowej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a także czterech korporacji: dwóch z Niemiec, jednej ze Stanów Zjednoczonych i jednej z Japonii.

To wygląda jak przypadkowa zbieranina. Robiliście losowanie?

Rosja musiała uczestniczyć w ten czy inny sposób. Sytuacja była zwyczajnie zbyt napięta po tym, jak dwaj ich oficerowie zostali zastrzeleni w trakcie misji.

Zabiliście dwóch rosyjskich oficerów?

Nie my. Tuwańscy wieśniacy... Długa historia. Dość powiedzieć, że gdyby Stany Zjednoczone próbowały zatrzymać robota dla siebie, konsekwencje byłyby katastrofalne. Musiałem Rosjanom coś zaoferować. Niestety, oni nie mają środków na sfinansowanie projektu tej skali. Emiraty tak. Japonia była dla obu krajów możliwym do przyjęcia partnerem, a Korea Południowa jest oczywistym klientem dla naszego produktu. Wkładem partnerów prywatnych są określone technologie.

Powiedział pan „produktu”?

Naszym celem jest wzmocnienie potencjału defensywnego państw członkowskich.

A co z potencjałem ofensywnym?

Nie. To nie wchodzi w grę; umowa tego nie dotyczy. Robota można wykorzystać wyłącznie w przypadku zewnętrznej agresji, nigdy jako broń ofensywną i nigdy przeciwko innemu krajowi należącemu do konsorcjum.

Przepraszam, wciąż próbuję zrozumieć, o co chodzi. Możecie to zrobić? Wyciągnąć maszynę i ogłosić, że należy do was?

To kwestia interpretacji. Ktoś mógłby zakwestionować nasze prawo własności. Posiadamy jednak ponad siedem tysięcy patentów do zastosowanych technologii. Gdyby miał jej użyć ktoś inny, ryzykowałby wiele w sensie prawnym.

Co mają z tego prywatne firmy?

Koszt uczestnictwa jest... znaczący. Gdy do konsorcjum dołączą kolejne kraje, te, które wyłożyły

kapitał początkowy, osiągną spory zwrot z inwestycji.

A więc od największego odkrycia w historii dla dobra całej ludzkości i tak dalej przeszliśmy do rozwiązania wojskowego dla zysku? Tak to wygląda?

Przyznam, że sytuacja sporo odbiegła od tego, co zamyślałem, ale przynajmniej możemy kontynuować badania i uniknąć globalnego konfliktu.

Jak się nazywa?

Co jak się nazywa?

Konsorcjum. Och, to byłaby dobra nazwa, po prostu „Konsorcjum”.

Na razie nie ma nazwy. To firma zarejestrowana na Brytyjskich Wyspach Dziewiczych, posiada jedynie numer rejestru.

Jakże romantycznie. Nie nazwaliście jej Konsorcjum Temida? Dobrze by brzmiało.

Z nikim jak dotąd nie dzieliłem się informacjami na temat historii czy tożsamości robota.

Dlaczego?

Mam swoje powody. Przyznaję, że z motywacyjnego punktu widzenia brak nazwy jest rozwiązaniem dalekim od ideału. Może pan coś zaproponuje? Chciałbym, żeby nasi pracownicy czuli się związani z firmą. Ze względu na ścisłe wymogi bezpieczeństwa i ograniczenia prywatności wynikające ze specyfiki projektu, wzmocnienie morale uznaję za kwestię zasadniczą.

Cóż, jeżeli nie chce pan używać imienia Temidy... Była córką Gai i Uranosa. Co prawda nie mamy do czynienia z nastolatkami, ale że jednak występuje skojarzenie z uryną, to Uranosa też bym sobie darował. Gaja nie jest zła. Konsorcjum Gaja.

Zaproponuję radzie nadzorczej.

To tutaj istnieje rada nadzorcza?

Jesteśmy korporacją.

Jasne, rozumiem. Tak czy owak, nie zamierzam narzekać. Zakup tego miejsca musiał kosztować fortunę. Co tu było przedtem?

Nie rozumiem.

Co się mieściło przed naszym przybyciem. Kopalnia?

Nic się nie mieściło. Znajdujemy się pod parkiem narodowym. Musieliśmy wkopywać się z morza.

Żartuje pan. Nie da się zbudować czegoś tak ogromnego w parę miesięcy. Przy tej skali i głębokości to zajęłoby parę lat.

Zajęło około dwóch.

Co takiego?

Dobrze pan słyszy. Zbudowaliśmy ten ośrodek w niecałe dwa lata. Oczywiście to pochłonęło niebotyczne sumy.

Zaraz, coś mi się nie zgadza. Przecież dwa lata temu nie złożyliśmy jeszcze wszystkich części. Nie mieliśmy nawet głowy.

Rzadko robię coś, nie planując daleko naprzód.

Nie martwi się pan możliwą reakcją amerykańskiego rządu? Nie wymienił pan Stanów Zjednoczonych na swojej liście.

To prawda. Ale są chronione przed ewentualnym atakiem, bo jednym z członków konsorcjum jest firma amerykańska.

To z pewnością będzie dla władz wielka pociecha... Czegoś jednak nie rozumiem. Amerykanie zapłacili za wszystkie dotychczasowe badania. Amerykańska armia pomogła wydobyć poszczególne części robota, a teraz oddaje go pan Rosjanom? Nie wiem jak pan, ale ja na miejscu Amerykanów poczułbym się co najmniej urażony.

Słusznie pan zakłada, że w pewnym momencie konieczne będzie naprawienie wzajemnych relacji.

No dobrze. Zresztą kim ja jestem, żeby narzekać? W końcu pochodzę z Kanady. Jak pan sądzi, kiedy wznowimy treningi?

Jeżeli pani Papantoniou się nie myli, zgromadzimy wszystkie części w ciągu miesiąca.

Brakuje nam pilota. Myślałem, że Kara już będzie.

Powinna się wkrótce zjawić. Mogła mieć wypadek.

Co się stało? Co z nią?

Nic poważnego. Może nawet jeszcze się nie wydarzył żaden wypadek. Zapomina pan, że panna Resnik jest oficerem amerykańskich sił zbrojnych, a ponieważ Stany Zjednoczone bezpośrednio nie uczestniczą w tym projekcie, nie mogę prosić rządu o jej oddelegowanie. W tym momencie nie jestem zaangażowany w żadne działania, oficjalne lub nie, które wymagałyby obecności

pilota helikoptera.

A więc?

A więc w niedalekiej przyszłości – jeżeli do tej pory to nie nastąpiło – panna Resnik będzie miała mały wypadek samochodowy. Dozna lekkiego wstrząśnienia mózgu. Lekarz zdiagnozuje syndrom poudrzeniowy i nerwoból kręgosłupa szyjnego, w związku z czym uzna ją za niezdolną do służby. Da jej przynajmniej pół roku zwolnienia.

Gdy Kara się tu zjawi, będziecie musieli się ze sobą pogodzić. Głęboko zraniło ją pańskie zniknięcie. Mam szczerą nadzieję, że kiedyś wrócie do siebie i będziecie razem, ale w tym momencie przynajmniej się ze sobą nie kłóćcie. To niezwykle istotne, żebyście nauczyli się jak najefektywniej współpracować i komunikować, tak jak poprzednio. Co więcej, musicie to zrobić szybko. Niedawne wydarzenia zmusiły mnie do zwiększenia liczby graczy uczestniczących w projekcie. Zbyt wielu ludzi zainwestowało tu zbyt wiele, by z powodu osobistych animozji projekt miał utknąć choćby tylko na kilka dni.

Nie sądzę, żeby musiał się pan martwić o Karę. Może mnie nienawidzić, ale wykona swoją robotę.

Całkowita racja. Panna Resnik jest zawodowcem i wypełni powierzone jej zadania najlepiej, jak potrafi, bez względu na to, co w głębi ducha myśli. To o pana się martwię.

Ja nigdy...

Nie ma sensu przybierać obronnego tonu. W pańską

determinację nie wątpię, ale w odróżnieniu od panny Resnik brakuje panu wykształcenia wojskowego. Kilkakrotnie wspominał pan, podobnie jak ona, że praca w sterowni wywiera na człowieka szczególny wpływ. Boję się, że gdyby któreś z was uznało, że jego uczucia nie są odwzajemniane, sterownia szybko stanie się środowiskiem toksycznym. To z kolei przełożyłoby się na jakość waszej pracy.

Damy sobie radę.

To za mało. Musicie być zsynchronizowani. Jednakowo myśleć i mówić.

Od początku nie mieliśmy problemu z byciem razem. Kara jest kobietą po przejściach, a ja mam w sobie tyle uroku co kanał zębowy, a jednak coś nas połączyło. Dwadzieścia minut po tym, jak po raz pierwszy ją pocałowałem, pewien szajbus wbił mnie furgonetką w betonową ścianę. Przetrwaliśmy to. Wspólnie zniszczyliśmy lotnisko, zabiliśmy naszą najlepszą przyjaciółkę i o mało nie wywołaliśmy III wojny światowej, a to wszystko w ciągu zaledwie jednego dnia.

Nie widzi pan? Nasz związek jest albo wielkim kosmicznym żartem, albo po prostu przeznaczeniem. A najśmieszniejsze, że ja wcale nie wierzę w przeznaczenie. Tak jak powiedziałem: damy sobie radę. Na pana miejscu bardziej martwiłbym się o bałagan, jakiego narobimy tym razem.

DOKUMENT NR 250

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

Miejsce: okolice San Juan, Portoryko

Pan Couture wiele przeżył.

A ja to co? Ja też tam byłam, proszę nie zapominać! Porzucił mnie! Nie zadzwonił, nie napisał. Nie jestem w tych sprawach jakoś szczególnie wymagająca. Jeżeli facet potrzebuje spędzić trochę czasu na osobności, nie ma sprawy, ale jeżeli po prostu znika, to niech przynajmniej da znać, że nic mu nie jest, no i ewentualnie, czy zamierza kiedyś wrócić. Nie wiem, prosić o coś takiego to zbyt wiele?

Coraz mniej podoba mi się kierunek, w którym zmierza ta rozmowa.

Niech pan odpowie! Czy mam nadmierne oczekiwania?

W ten czy inny sposób powinien się z panią skontaktować.

No, dziękuję!

Pani reakcja głęboko mnie niepokoi. Nic z tego, co powiedziałem, nie oznacza, że biorę pani stronę.

A co pan by zrobił na jego miejscu?

Udam, że nie słyszałem tego pytania. Cóż, ani pani, ani ja nie zdołamy zrozumieć, co się działo w głowie pana Couture'a, ponieważ właśnie on ponosi główną odpowiedzialność za śmierć doktor Franklin.

To straszne, co pan mówi. Ja jestem odpowiedzialna w równym stopniu za to, co się stało.

Bardzo wielkoduszne postawienie sprawy. Jednak oboje wiemy, że to nieprawda. Pan Couture nacisnął guziki na konsoli, nie pani.

To niesprawiedliwe! Robot się potknął!

Tak, potknął się, kiedy pan Couture sterował jego nogami. Gdyby doktor Franklin zginęła przygnieciona gigantycznym kciukiem, winiłbym osobę, która obsługiwała górne kończyny. Powinna pani z nim porozmawiać.

Rozmawialiśmy.

Nie chodzi o wymianę uprzejmości, ale autentyczną rozmowę. Kiedy ostatnio go odwiedziłem, miałem poważne wątpliwości co do jego stanu psychicznego, chęci dalszego uczestnictwa w projekcie i tego, co do pani czuje. Te wątpliwości zostały rozwiane. Choć może trudno to zrozumieć, długa nieobecność pana Couture'a i to, co robił w tym czasie, jest w istocie potwierdzeniem jego zaangażowania w projekt, a także – w jeszcze

większym stopniu – przywiązania do pani.

Mówił pan, że bawił się zabawkami.

Ujmowałem to trochę inaczej. Poza tym, kiedy pierwszy raz poszedłem do niego z wizytą, byłem na tyle mocno wstrząśnięty ogólnie tym, co zaszło, że nie zauważałem rzeczy, które – jak widzę z perspektywy czasu – powinny być dla mnie oczywiste. Zdaję sobie teraz sprawę, że moja interpretacja wydarzeń mogła pogorszyć już i tak trudną sytuację, więc szczerze przepraszam za swoją krótkowzroczność.

Co do jednego ma pan z pewnością rację. Czymkolwiek Vincent zajmował się w Montrealu, korzystnie wpłynęło na jego umiejętności kierowania robotem. Dzisiaj rano odbyliśmy pierwszą próbę.

W symulatorze?

Nie, na żywo. Wcześniej, w nocy wydobyli ostatnią część. Rano robot był zmontowany i gotowy do działania. Nie wiem, czy podoba mi się fakt, że działamy teraz w ramach prywatnej firmy, ale przynajmniej mamy więcej ludzi.

Czy woda wyrządziła jakieś szkody?

Sterownia pozostała sucha jak w dniu, kiedy ją opuściliśmy. Z początku szło nam trochę koślawo, ale po pół godzinie biegaliśmy w kółko po pomieszczeniu. Biegaliśmy! Ostatnim razem ledwo potrafił zrobić kilka kroków. A teraz biega... Jest nawet w stanie w marszu obsługiwać konsolę. Nie sądziłam, że zostało mu tyle mięśni.

Zdumiewające, ile da się osiągnąć, gdy człowiek

naprawdę włoży w to całe serce. Ciekawe, że mimo tak wielkiego ciśnienia sterownia nadal jest szczelna. Chciałbym wiedzieć, czy robot poruszały się pod wodą.

Alyssa już o tym pomyślała. W piątek odbędziemy próbę w służbie wodnej. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, trochę oddalimy się od brzegu i spróbujemy podziałać. Alyssa chce, żebyśmy nauczyli się ukierunkowywać energię wyzwalaną przez robota. Niezły pomysł. Jeżeli wydarzy się coś nieprzewidzianego, to najwyżej pošlemy na tamten świat parę ławic ryb, ale nikogo nie unicestwimy i nie zniszczymy bazy... jak ostatnim razem.

Nic mi nie wspominała.

Nie dziwię się. Wie pan, nie lubię jej. Przyznaję, ma poczucie misji. Ale coś jest z nią nie tak. Czulaam to w Denver i czuję teraz.

Spodziewała się, że nie zapala pani do niej sympatią.

Wcześniej też nie bylam jej fanką.

Przewidziała pani niechęć do niej wynikającą z tego, że ona to nie doktor Franklin.

Ach, więc o to chodzi. A ja myślałam, że to z nią coś nie tak.

Pomijając odczucia, czy zrobiła coś, by zasłużyć sobie na pani awersję?

Hm, po pierwsze, kłuje mnie igłami, i to coraz grubszymi. W ciągu trzech dni wzywano mnie do ambulatorium już czterokrotnie.

Pierwszego dnia pobrała mi krew i kilka wymazów. Te ostatnie pewnie do badań DNA.

Jest genetyczką.

I szalonym naukowcem, jeżeli chciałby pan usłyszeć moje zdanie. Następnego ranka zaprosiła mnie na kolejne pobranie krwi. Potem kazała mi spędzić dobre pół godziny w maszynie do rezonansu magnetycznego. Nie cierpię na klaustrofobię, ale tego urządzenia szczerze nie znoszę. Alyssa traktuje mnie jak królika doświadczalnego. Nic nie wyjaśnia, nie mówi, po co to wszystko. Pewnie uważa, że jestem za głupia, żeby zrozumieć.

Po kolacji szykowałam się do kąpieli – to był naprawdę długi dzień i chciałam się wcześniej położyć – kiedy wywołano mnie przez interkom. „Kara Resnik zgłosi się do ambulatorium numer jeden...” Idę tam, a ona podpina mi kroplówkę i przygotowuje do tomografii. Wciąż mnie piecze po zastrzyku z jodyny, kiedy ona informuje mnie, że musi wykonać nakłucie lędźwiowe. Widział pan kiedyś, jak dużej igły się do tego używa?

Bolało?

Nie wiem, wyrwałam kroplówkę z ramienia i wróciłam do swojej kwatery. Bolałoby na pewno.

Wspomniała pani, że była wzywana do ambulatorium cztery razy, a wymieniła pani trzy.

Tak. Dziś rano wywołano mnie ponownie.

Brak szczegółów oznacza – jak rozumiem – że pani nie poszła. Hm, to chyba błąd. Ona może nie przyjąć odmowy.

Musi. Niech się z tym pogodzi. Co zrobi? Zaciągnie mnie tam siłą?

Niewykluczone.

Niech spróbuje. Zresztą do czego jej to wszystko potrzebne?

Doktor Franklin już stwierdziła, że w naszym DNA nie ma nic nietypowego.

Dokładnie nie znam planów naszej genetyczki. Ale ogólnie dąży do tego, żeby zrozumieć, czemu hełmy reagują tylko na panią i pana Couture'a. Chce poznać to ograniczenie, a potem w miarę możliwości je usunąć.

O tak, mówi o tym otwarciu. Że pragnie stworzyć „zespół B”. Hełmy mają reagować na każdego – to jej priorytet. Nie sądzę, żeby znalazła kogoś z nogami takimi jak Vincenta, ale jeżeli uda jej się z hełmami, to przynajmniej zdoła zastąpić mnie.

Nie wierzę, żeby chciała wsadzić kogoś na pani miejsce, ale najwyraźniej nie podoba jej się fakt, że powodzenie całego projektu zależy od zdrowia czy dobrej woli pojedynczej osoby. Skłamałbym, gdybym powiedział, że nie myślę tak samo. Ktoś mógłby zlikwidować zagrożenie, jakie stanowi robot, mordując jedno z was.

Rozumiem. Mam tylko nadzieję, że trochę jej to zajmie. Nie podejrzewam, żeby trzymała mnie na pokładzie, jeżeli nie będzie musiała.

Alyssa Papantoniou chciałaby się pani pozbyć? Skąd takie przypuszczenie?

Och, proszę mi wierzyć, zrobi to z przyjemnością. Gdy człowiek się zakocha, istnieje duże prawdopodobieństwo, że bez wzajemności. Nienawiść, dla odmiany, jest zwykle odwzajemniona. Gdy kogoś nie znosimy, on najczęściej też nie należy do grona naszych wielbicieli.

Nie zdawałem sobie sprawy, że aż taką czuje pani do niej antypatię.

Może odrobinę przesadzam. Nie nienawidzę jej. Tyle że bardzo nie lubię. A ona mnie nie cierpi.

Żałuję, że nie mogę być bardziej pomocny. Niestety, moja relacja z panią Papantoniou nie jest najlepsza. To osoba obdarzona silną wolą, może czasami nawet zbyt asertywna. Jest mocno zdeterminowana – co zresztą podziwiam – ale momentami wydaje mi się wręcz... arogancka.

To znaczy, że nie zawsze się z panem zgadza? Cóż, w tym momencie zaczynam ją lubić...

Chciałem tylko powiedzieć, że niestety coraz trudniej będzie mi pani pomagać.

Mimo to cieszę się, że przynajmniej na razie musi mnie tolerować. Jestem za to wdzięczna losowi.

Skoro mowa o wdzięczności, zdaję sobie sprawę, że może nie podziękowałem pani dość gorąco za to, co zrobiła pani w Bośni.

Proszę się nie przejmować. Miał pan rację. Zauważyłam to dopiero w drodze na lotnisko... aż żal było wyjeżdżać. Ludzie tam są tacy... tacy silni, a jednocześnie bezbronni. Wszystko wydaje się bardziej...

Prawdziwe.

Tak. Dziękuję, że mnie pan posłał do Bośni.

Dziękuję za znalezienie Faty.

Nie ma za co. Jej też nie zapomnę. Biedna kobieta. To, co musiała przeżyć, jest... trudno znaleźć właściwe słowo...

Nieludzkie. Jaki potwór zrobiłby coś takiego drugiemu człowiekowi?

Wojna wyzwala najgorsze – i czasami najlepsze – instynkty.

À propos wojny, niepokoi mnie to, co tutaj robimy. Na początku to był projekt badawczy. Nie mam dyplomu z fizyki czy czego tam, ale czułam, że zajmujemy się nauką. Tutaj sprawa wygląda inaczej. To już nie jest szukanie rozwiązań stricte naukowych, bardziej... militarnych.

Za dużo pieniędzy zainwestowano w tego robota, żeby miał pozostać niewykorzystany. Któregoś dnia każą nam wyciągnąć go z magazynu i zabijać ludzi, setkami, tysiącami... Trudno to sobie uświadomić, bo nasz robot wygląda jak istota ludzka, jak kobieta, ale to machina wojenna, w każdym razie tak go traktujemy. Gdybyśmy znaleźli bombę, gigantyczną raketę...

Czy wtedy zgodziłaby się pani uczestniczyć w projekcie?

Nie wiem. Może tak. Byłoby łatwiej, gdybym nie ja kierowała robotem. Jestem tylko jedna. No tak, i osoba od nóg. W każdym razie w końcu wyślą nas na pole bitwy i każą zabijać tych, którzy staną po drugiej stronie. Co wtedy?

Doskonale zdaje pan sobie sprawę, że nasi przeciwnicy nie będą mieli zielonego pojęcia, z czym się mierzą, że nie damy im żadnych szans. Chcę powiedzieć: łatwiej być pojedynczym żołnierzem w wielkiej armii niż jednoosobową armią o ogromnej sile rażenia.

To bez znaczenia, czy działa pani w pojedynkę, czy jest częścią wielotysięcznej armii. Ma pani wybór. Zawsze go pani miała. Powinna być pani wdzięczna, że może wybierać w sytuacji, kiedy wiadomo, jaka jest stawka. Nie

zawsze tak się dzieje.

Nie bardzo rozumiem.

Kieruje pani potężną bronią, ale zaprojektowaną do walki z bliska. To oznacza, że widzi pani potencjalny cel, a więc ma jasny wybór. Zniszczenie mostu podczas nocnego wypadu stanowi większy problem z etycznego punktu widzenia. Po prostu nigdy się pani nad tym nie zastanawiała. Bez mostu posiłki nieprzyjaciela nie dotrą na linię frontu. Z drugiej strony może on stanowić jedyną drogę ewakuacji dla ludności cywilnej. Ilu ludzi pani ocali? Ilu pośle na śmierć? Trudna decyzja, zwłaszcza kiedy...

To pana telefon czy mój?

Pani, mam nadzieję...

A jednak pański.

Rzeczywiście. Zdaje się, że w tej chwili jesteśmy bardzo popularni.

Jaka wiadomość?

Korea Północna właśnie zatopiła okręt Południa na Morzu Żółtym. Przerzucają oddziały w kierunku strefy zdemilitaryzowanej. Coś czuję, że...

Tak. Wyruszamy.

CZĘŚĆ PIĄTA

ZBROJNE RAMIĘ

DOKUMENT NR 251

POŁĄCZENIE GŁOSOWE – TRANSKRYPT STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: Paju, okolice strefy
zdemilitaryzowanej, Korea Południowa**

**Słyszysz mnie pani, panno Resnik? Proszę zakaszleć,
jeżeli tak.**

Zakaszleć? Może po prostu odpowiem. Słyszysz pana wyraźnie.
Alyssę wycięłam z tego kanału. Nie słyszysz nas.

Świetnie. Gdzie teraz jesteście?

W Paju. Idziemy autostradą w kierunku granicy. Wcześniej
przespacerowaliśmy się po rzece.

**Czy oddziały armii południowokoreańskiej posuwają
się za wami?**

Nie. Stoją za rzeką. To teraz nasze przedstawienie. Aha, obok
jedzie wojskowy gazik. Chyba nas eskortuje, jakkolwiek głupio to
brzmi.

Jak się pani czuje?

Jestem cała zdrtwiała.

Czy coś się stało, o czym nie wiem?

Nie, nic z tych rzeczy. Ale wie pan, ile dni trwała podróż tutaj? Jedenaście! Jedenaście dni na pokładzie kontenerowca, w tej puszcze z madejowym łóżem, którą nazwali koją.

Naprawdę musimy coś zrobić z transportem albo znajdziemy sobie jakichś cierpliwych wrogów. Z drugiej strony dzięki temu Vincent i ja mieliśmy okazję pogadać.

I co, pogodziliście się?

Eee... Możemy wrócić do tematu później? Bo wie pan, akurat robię coś pilnego. A tak w ogóle to gdzie pan jest?

W Pekinie. Wciąż mam tu paru przyjaciół. Próbowałem ugrać dla was kilka dodatkowych dni.

Wątpię, by miał pan przyjaciół gdziekolwiek.

Przyjaciółmi nazywam ludzi, którzy są mi winni przysługę. Poprosiłem ich, żeby zwodzili Pjongjang tak długo, jak się da.

Chyba podziałało. Wie pan, nie przypuszczałam, że tu jest tak pięknie. Nigdy nie byłam w Korei, a tym bardziej na granicy. Zawsze wyobrażałam sobie strefę zdemilitaryzowaną jako miejsce surowe, ugór pełen min, poprzecinany zasiekami. A tutaj – jak w parku narodowym. Wszędzie trawa. Niesamowicie zielono. Wszystko śliczne, elegancko utrzymane. Oczywiście nie wątpię, że gdyby posunąć się krok za daleko, człowiek od razu wyleciałby w powietrze, ale mimo to jest pięknie.

Chwileczkę, dobrze? Muszę złożyć raport.

Tak, Alysso. Wkraczamy do strefy zdemilitaryzowanej. Jesteśmy niecałe dwa kilometry od linii demarkacyjnej. Widzę stąd punkt kontrolny. Chyba już nas zauważyli... Nie, nic się nie dzieje... Tak. Dam znać, gdy tylko dotrzemy do granicy...

Jest pan tam? Nie mogę ciągle przełączać mikrofonu. Słyszę pana, ale nie dam rady odpowiadać.

W porządku. Niech się pani tylko nie rozłącza, żebym miał orientację, co się dzieje.

Dobrze.

Alysso, jestem. Tak, rozmawiałam z Vincentem... Sprawy prywatne. Dotarliśmy już prawie do samej granicy. Widzę wojsko w odległości mniej więcej półtora kilometra... Ze dwie setki czołgów. Pewnie cała brygada. Dużo piechoty...

Skąd mam wiedzieć? Są w namiotach. Myślę, że nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Na pewno nie ściągnęli wszystkich. Jeżeli przygotowują się do ataku, to raczej gdzie indziej. To tutaj wygląda tylko na pokaz siły...

Pytałaś mnie o zdanie. Chciałaś wiedzieć, ilu żołnierzy zebrali. A że podobno przygotowują się do inwazji... cóż, na moje oko stąd nie przypuszczają szturm na cokolwiek, bo nie ma tu dość wojska. Po prostu uznałam to za istotne.

Jasne. Możemy podejść do granicy, tyle że tamci widzą nas wyraźnie, jeżeli to cię niepokoi... Idziemy. Idziemy...

Vincent, wystarczy. Dobra. Jesteśmy na miejscu. Przy samym płocie. Jakies sto metrów od nas stoi około setki ludzi i kilka ciężarówek... Nie, Alysso. Nikt nic nie robi. Po prostu gapią się na nas... Mówię ci! Nikt do nas nie strzela!... Gdzie?

A, tak. Widzę. Jakiś facet puszcza serię z kałasznikowa. Z trzysta metrów od nas. Co mam zrobić? Nakrzyczeć na niego? „Hej, ty tam!

Przestań nam strzelać w nogi!”. Coś w tym stylu?

Żartujesz, tak? Nie wkraczam do Korei Północnej z powodu jakiegoś dzieciaka z pukawką. Pewnie jest śmiertelnie przerażony... Nie możemy odpowiedzieć ogniem, Alysso. Zmiażdżymy kołesia, jeżeli się zbliży, ale stąd go nie osiągniemy. Nie, Alysso, nie jesteśmy atakowani. Nie obchodzi mnie, jak bardzo chcesz pochwalić się swoją nową zabawką, ale nie ma tu bezpośredniego zagrożenia...

Są zakłócenia na linii? Słyszysz? Powiedziałam: nie. Nie będziemy dla frajdy walczyć z pięćdziesięcioletnią armią i dywizją opancerzoną...

Niech pani nie przekracza granicy. Nieważne, co mówi Papantoniou. Niech pani nie przekracza granicy.

Rozkaz... Jesteś pewna, Alysso? Zabrzmiało mi to raczej jak sugestia...

No to mnie zwolnij! Przysłano nas tu, żeby zapobiec inwazji. Teraz wiemy, że nikt nikogo nie atakuje. Czas pakować manatki i zabierać się stąd... Vincent, zawracajmy. Spływamy. Vincent?

Nie możecie przekroczyć tej granicy, słyszy mnie pani?!

Nie przekraczamy granicy! Vincent! Ruchy! Rozumiem, że... Co to...?

Tak, słyszę cię, Alysso. Myślę, że do nas strzelano, tym razem naprawdę... Chyba z granatnika. Nie macie podglądu? Ty nam powiedz, co to było... Nie wiem skąd – raczej z bliska. Po prostu zauważyłam coś kątem oka...

W ramię... Nie, nie poczuliśmy uderzenia, tylko jakby szum. Moja uprząż napięła się na moment, ale to mniej więcej tyle... Czeka... Nadlatuje!

Panno Resnik? Co się dzieje? Panno Resnik?!...

...Trafili nas! Trafili!... Pocisk przeciwpancerny. Wystrzelony z wyrzutni na zachód od nas... Tym razem poczułam. Nie sądzę, żeby spowodował jakieś szkody, ale uprząż zareagowała. Coś jakby wstrząs elektryczny. Vincent, też to poczułeś?

Tak, Vincent też. Vincent, lepiej wyłączmy tarczę. Nie wiem, ile takich uderzeń potrzeba, żeby nastąpiła reakcja zwrotna... Och, i niech ktoś powie temu idiocie w gaziku, żeby stąd spadał, okej?

Oczywiście, że do nas strzelają, Alyso. Mają przed sobą siedemdziesięciometrowego robota z kosmosu. Nie wiedzą, że... Następny! Nadlatuje!

Włącz tarczę! Już! Już!... Na lewo, Vincent! Na lewo!... Mam! Widzieliście to?

Pytasz retorycznie, prawda? Bo siedzę przy telefonie w Chinach.

To była kolejna rakietka, zapewne AT-5. Ale pytałam, czy widziałas to światło. Podniosłam rękę i zdążyłam zablokować pocisk krawędzią tarczy. Dziwne – tarcza spłaszczyła się i rozjarzyła naprawdę intensywnym blaskiem. Przez sekundę nie mogliśmy na nią patrzeć. Ciekawe, czemu zmienia kształt w ten sposób.

No dobrze. Zabawa jest przednia, ale może ewakuowalibyśmy się stąd, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli... Tak, zabierz nas z powrotem. Alyso, wracamy...

Chyba żartujesz? Ile? W porządku.

Vincent, nadlatują dwa MiGi. Będą tu za mniej więcej trzy minuty... Tak, poczekajmy. Obróć nas. Jeżeli zaczną strzelać, wolałabym, żeby nie trafili nas w plecy. Alyso, przemieściliśmy się około trzystu metrów. Poczekamy tu na MiGi. Na moment się wyłączam...

Może pan to powstrzymać?

Mówi pani do mnie?

Tak, Alyssa mnie nie słyszy. Może pan coś zrobić, żeby te MiGi zawróciły?

Przykro mi, ale nie.

Jasne... Zna pan jakieś ciekawe historie? Za trzy minuty zginę.

Co chciałaby pani usłyszeć?

Cokolwiek, co pozwoli mi nie myśleć o dwóch MiGach-21.

Nie wierzę, żeby zdołały was zniszczyć.

Zapraszam na moje miejsce.

Musiałbym sprawdzić pogodę.

Proszę opowiedzieć mi o Pekinie.

Pyta pani niewłaściwą osobę. To miasto wywołuje we mnie mnóstwo złych wspomnień. Trudno mi być obiektywnym.

Rozumiem. To niech pan opowie o swoim dzieciństwie. Albo porozmawiajmy o psach.

Właśnie odmówiła pani wykonania rozkazu bezpośredniego przełożonego.

Ach, to... Jeżeli przez „odmówiła wykonania rozkazu” rozumie pan, że nie zrobiłam tego, co chciała, to tak, możliwe.

Poruszaliśmy wcześniej tę kwestię. Szkolono panią, by nie kwestionowała poleceń.

Najwyraźniej szkolono nie dość skutecznie.

...

Nie wiem, co panu powiedzieć. To nie jest wojsko.

A gdyby rozkaz wydała doktor Franklin, zareagowałyby pani tak samo?

Zapewne nie. No dobra, przepraszam! Więcej tego nie zrobię. Nie będę miała okazji. Nie sądzę, żeby Alyssa wysyłała mnie gdziekolwiek w najbliższym czasie.

Może nie mieć wyboru. Nie wiem, czy to właściwy moment, ale boję się, że nie uda nam się porozmawiać przed pani powrotem do Portoryko. Otóż zaszły pewne okoliczności, o których, jak uważam, powinna pani wiedzieć...

Zmieści się pan w półtorej minuty?

Alyssa znalazła pilotów na zastępstwo. Pani i Vincent macie zacząć ich szkolić zaraz po powrocie. Na pani miejsce wejdzie izraelska pilotka.

Dobra przynajmniej?

Najlepsza, jaką znaleźli. Nigdy osobiście nie poznałem tej kobiety, ale przeglądałem jej teczkę. Przypuszczam, że przypadniecie sobie do gustu. Bardziej niepokoi mnie zastępstwo, które wybrali dla pana Couture'a.

Czyli?

Pani Papantoniou nie chciała zbyt dużo mówić, ale innymi kanałami dowiedziałem się, że pewien

amerykański pilot został właśnie zwolniony z więzienia w Fort Carson.

Amerykański pilot? Ryan? Żartuje pan...

Chciałbym, żeby to był żart. Chyba że zna pani inny powód, dla którego pan Mitchell zaraz po wyjściu na wolność, wręcz tego samego dnia, zarezerwowałby sobie lot do San Juan. Przykro mi. Zdaję sobie sprawę, że to musi być nieprzyjemne.

Naprawdę? Jak pan sądzi, jak zareaguje na to Vincent?... Nie, Vincent, to nic takiego. Powiem ci później, dobrze?

Alyssa jest głupia, jeżeli myśli, że on będzie Ryana szkolił... Ale fakt, wybrał pan sobie dziwny moment na przekazanie mi tych rewelacji...

Wiem.

O cholera, nadlatują. Muszę pędzić.

Powodzenia...

...

Panno Resnik?

...

Panno Resnik, jest tam pani?

DOKUMENT NR 252

WYWIAD ALYSSA PAPANTONIOU, PREZES I KIEROWNIK NAUKOWY, KONSORCJUM GAJA

Miejsce: okolice San Juan, Portoryko

Już po niej. Koniec, kropka.

To nieprawda.

Po niej! Niech pan to przyjmie do wiadomości!

Od samego początku jej pani nie lubiła. To musi być dla pani frustrujące.

Proszę mi nie mówić, że popiera pan to, co zrobiła. Odmówiła wykonania bezpo... bezpośredniego rozkazu! Gdyby nadal służyła w armii, natychmiast stanęłaby przed sądem. Już siedziałyby w areszcie. Wie pan o tym.

Istotnie. Gdyby była w armii Stanów Zjednoczonych, po odsiedzeniu wyroku zostałaby zapewne karnie wydalona ze służby... pod warunkiem, oczywiście, że rozkazy, jakie otrzymała, były legalne. Nie miała pani prawa kazać jej wkroczyć na terytorium Korei Północnej. Postawiłem tę

sprawę zupełnie jasno. Żadnych działań ofensywnych. Chyba zgodzi się pani ze mną, że otwieranie ognia na terenie obcego państwa kwalifikuje się jako działanie ofensywne. Dałbym pannie Resnik medal za to, że odmówiła. O wiele bardziej niepokoi mnie, że pani zlekceważyła moje instrukcje.

Ja panu nie podlegam. Ona mnie, owszem, podlega. Wydałam jej polecenie! Nie dość, że od... odmówiła wykonania go, to jeszcze mnie ośmieszyła!

Zachowuje się pani paranoicznie.

Sprzeciwiła mi się!

Próbowała pani wszcząć wojnę! Naprawdę jest pani taką egoistką, by sądzić, że chodziło tylko o panią?

Nie ujdzie jej to na sucho.

Zdaje sobie pani sprawę, że potrzebuje jej bardziej niż ona pani?

Już niedługo. Jesteśmy blisko. Naprawdę tuż-tuż. Proszę mi wierzyć, Resnik już nigdy nie we... nie wejdzie do tego roboty. Nigdy.

Mówi pani, że znaleźliście sposób odblokowania hełmów?

Tak... Cóż, nie. Nie dosłownie. Wciąż potrzebuję jej głowy, żeby hełm działał, ale myślę, że już wiem, jak go oszukać. Pracuję również nad bardziej długoterminowymi rozwiązaniami.

Czyli pełna kontrola nad hełmem? Pytam tylko dlatego, że panna Resnik może być nieszczególnie skora do

pomocy, jeżeli ostatecznie zabierze jej pani sterownię.

Mam nadzieję, że to mi się uda. Potrzebuję jedynie więcej próbek, żeby zyskać całkowitą pewność co do zastępstwa.

Może pani nie zauważyła, ale panna Resnik nie lubi tych procedur.

Jej zdanie już się nie liczy. Osiągnę to, czego chcę, w ten czy inny sposób.

Chętnie z nią porozmawiam. Myślę, że ją przekonam, aby się poddała kolejnym badaniom, ale wyłącznie na zasadzie dobrowolności. Wierzę, że wyrażam się jasno.

W tym świecie mało co jest pewne. Ale jedno nie ulega wątpliwości: nie jest pani niezastąpiona, w tym czy jakimkolwiek innym projekcie, podczas gdy panny Resnik nie da się zastąpić. Pewnej granicy nie wolno pani przekroczyć. Została bardzo jasno określona. Gdyby kiedykolwiek wydawała się nieostra, proszę do mnie zadzwonić, doprecyzuję.

Poprowadzę ten projekt wedle własnego uznania. Nie chcia... nie chciałam teraz tego robić, ale będę musiała. Rozmawiałam z radą i jestem upo... upoważniona do zakomunikowania panu, że rezygnujemy z pańskich usług. Już ich nie potrzebujemy. Od dziś. Doceniamy pański wkład w projekt, zdajemy sobie sprawę, że nie zaszlibyśmy tak daleko, gdyby nie pan, i zawsze będziemy wdzięczni za pańską pomoc. Ochrona przy wyjściu poprosi pana o zdanie identyfikatora.

Rozmawiała pani z radą?

Tak.

„Rada”, jak pani wie, składa się z niskiego rangą oficera rosyjskiego wywiadu, emerytowanego południowokoreańskiego generała, syna arabskiego księcia oraz czterech prawników reprezentujących prywatne firmy, którym nie mogą zdradzać przebiegu posiedzeń. Gdybyśmy mieli sporządzić listę ludzi źle przygotowanych do radzenia sobie z obecną sytuacją, „rada” znalazłaby się bez wątpienia na wysokiej pozycji. Pani nazwisko byłoby niżej, to prawda, ale i tak nie jest pani w stanie zapanować nad tym, co wkrótce się wydarzy.

O czym pa... o czym pan mówi?

Nie zdaje sobie pani sprawy z tego, co się dzieje, prawda?

Proszę mnie oświecić.

Bodajże dwanaście dni temu sprawiła pani, że na światło dzienne wyszedł – ponownie – pozaziemski robot, zdolny przechylić szalę w każdym lądowym konflikcie na świecie. Wbrew moim wyraźnym instrukcjom skierowała go pani na granicę północnokoreańską i tym samym sprowokowała tamtejszą armię do zaatakowania go, tylko po to, by zademonstrować jego potęgę. W ten sposób zaogniła pani sytuację na kontynencie azjatyckim, a także wyświadczyła niedźwiedzią przysługę Stanom Zjednoczonym i być może poirytowała siły nieskończenie bardziej potężne.

Nie zrobiliśmy nic przeciwko Stanom Zjednoczonym. Ko... Korea Północna to państwo rozbójnicze.

Rząd amerykański nie szczędził sił i środków, żeby

zlokalizować i zabezpieczyć części robota. Poszły na to ogromne pieniądze. Gdy gigant został ujawniony, władze amerykańskie uczyniły wszystko, co w ich mocy, by uniknąć międzynarodowego konfliktu i zagwarantować, że żaden kraj nie wykorzysta maszyny dla siebie. Pani w zasadzie wykradła to urządzenie, wyciągnęła je na światło dzienne i w efekcie spowodowała, że powstała dziura wielkości miasteczka na granicy Korei Północnej.

Niczego nie ukradłam! To był pański pomysł, żeby wydobyć go z dna oceanu. Gdy mnie pan tu ściągnął, prace konstrukcyjne trwały już w najlepsze.

Skoro, jak pani podkreśla, nie należę już do zespołu zajmującego się projektem, to wyglądałoby na to, że odpowiedzialność spoczywa wyłącznie na pani barkach.

Zrobiłam tylko to, do czego upo... upoważniła mnie rada. Musieliśmy zademonstrować światu skuteczność robota jako środka odstrasżającego. Proszę się o mnie nie ma... nie martwić. Wiem, co robię.

Niestety, nie wie pani. To oczywiste. Gdyby choć trochę orientowała się pani w sytuacji, nie posłałaby pani robota w świat, bez dostatecznej wiedzy o tym, do czego jest zdolny, i z pewnością nie ściągnęłaby go pani z powrotem tutaj.

A gdzie go miałam zabrać?

Może do bazy w Rosji. Wszędzie, tylko nie tutaj.

Baza w Rosji nie jest jeszcze gotowa.

Mogła to pani wziąć pod uwagę, zanim posłała robota

na przechadzkę. Jest to zdecydowanie coś, o czym powinna pani pomyśleć, zanim ściągnęła go pani z powrotem do Stanów Zjednoczonych, i to statkiem. Co zajęło ponad tydzień. Dziś nie istnieje takie państwo na świecie, które by nie znało jego dokładnej lokalizacji.

W skład konsorcjum wchodzi trzy państwa; była pani na terytorium jednego z nich. A jednak postanowiła pani przetransportować robota do jedyne go kraju, który ma prawo żądać go dla siebie na własność. Jedno jest pewne, już nigdy nie wywiezie go pani z Portoryko. Myślę, że rada też będzie co najmniej niezadowolona, ponieważ w praktyce umożliwiła pani rządowi amerykańskiemu przejęcie ich inwestycji.

W ostatnich dniach rozmawiałem kilkakrotnie z Białym Domem. Byli gotowi ogłosić blokadę, gdy zdali sobie sprawę, co pani zamierza. Jedyne powód, dla którego marines jeszcze nie szturmują tego miejsca, jest taki, że nie wiedzą, dlaczego w ogóle miałyby pani zrobić coś tak głupiego.

Wysłali jednak połowę Floty Atlantyckiej, by otoczyła wyspę. Szerokość morza terytorialnego Portoryko wynosi dziewięć mil morskich. Proszę mi wierzyć: nikt, a zwłaszcza Rosja, nigdy nie przekroczy tej linii. Pani też nie.

Co z pozostałymi krajami wchodzącymi w skład konsorcjum?

Emiraty nie mają okrętów zdolnych dotrzeć aż tutaj. A nawet gdyby miały, toby ich nie użyły. Można również założyć, że jednostki Korei Południowej nie wpłyną na amerykańskie wody terytorialne bez zaproszenia.

Więc co mamy robić?

Albo nakaze pani Rosjanom wypracować kompromis, albo pozwoli, żebym ja się tym zajął. Tak czy owak, mam nadzieję, że przywiozła pani ze sobą coś do czytania. Przez jakiś czas z pewnością nie opuści pani tej bazy.

Nie podejmę takiej decyzji bez konsultacji z...

Radą. Tak. Proszę się konsultować. Rosja i Korea zdały już sobie sprawę, co pani zrobiła, a prywatni partnerzy ucieszą się, że ktoś im wyjaśni, dlaczego wypadli z gry.

Podoba się to panu. Prawda?

Nie czerpię przyjemności z pani kłopotów, pani Papantoniou.

Ależ tak. Mógł mnie pan... ostrzec.

Czy wtedy by pani posłuchała? Kilkakrotnie wyraźnie wskazywałem, że może pani użyć tego robota wyłącznie w razie absolutnej konieczności i wyłącznie do samoobrony. Dobitnie powiedziałem, że nie ma zgody na działania ofensywne. Nie przeszkodziło to pani wkroczyć do strefy zdemilitaryzowanej, mimo że nikt nie atakował Korei Południowej.

Istniało bezpośrednie zagrożenie.

Manewry wojskowe w Korei Północnej. Niesłychane.

Gromadzili znaczne siły przy samej granicy.

Korea Północna jest wielkości stanu Ohio. Trudno im byłoby gromadzić się nie przy granicy.

To nie zmienia faktu, że mógł mnie pan wtedy ostrzec. Jak pan ostentacyjnie zauważył, nie poruszaliśmy się z prędkością ponad... ponaddźwiękową. Miał pan przeszło tydzień, żeby kazać mi zawrócić.

Istotnie. Ale wolałem tego nie robić.

Nie znam pana zbyt dobrze. Wiem, że mnie pan nie lubi, ale trudno mi sobie wyobrazić, że rozmyślnie pogrążyłby pan ten projekt dla samej satysfakcji pogrążenia mnie.

Domyślam się, że to wszystko było częścią jakiegoś większego planu. Więc co to za plan? Wkracza pan, ratuje sytuację i przejmuje projekt?

Proszę się nie obawiać, pani Papantoniou, nie mam ochoty zająć pani stanowiska. Nie chcę też porażki tego projektu. Zależy mi na ludziach, których do niego zwerbowałem. Chcę, żeby pogodziła się pani z panną Resnik.

Nic nie poradzę, jeżeli nie będzie miała ochoty współpracować.

Wciąż mieszka w bazie, codziennie przychodzi do pracy. Musiała spędzić ponad tydzień na statku towarowym, płynąc do Korei na misję, która nie powinna się wydarzyć. Teraz to jej decyzja, jaką procedurę pani na niej przeprowadzi. Wydawałoby się, że ma do tego prawo, nawet w tych szczególnych okolicznościach.

Kiedyś panu nie przeszkadzało rozporządzanie czyimś ciałem wbrew jego woli.

To samo mógłbym powiedzieć o pani.

Nie wiem, o czym pan mówi.

...Być może. A pani miała na myśli nogi pana Couture'a?

Tak.

Lekarz wykonał operację wbrew własnej woli, ale sam pan Couture poddał się jej bez żadnych oporów.

Wiedział, co mu pan zrobi?

Wiedział, że alternatywą będzie utrata nóg. Bez względu na to, jak bolesna była ta operacja, sądzę, że drugi raz zdecydowałby tak samo.

Zresztą nieważne. Jeżeli panna Resnik nie zgodzi się już na żadne procedury inwazyjne, to proszę robić to, na co się zgodzi. Ja tymczasem wrócę do Waszyngtonu i spróbuję znaleźć rozwiązanie pani problemu.

Dziękuję. Porozmawiam z...

Radą, tak.

Porozmawiam z radą, żeby zatrudniono pana jako konsultanta zewnętrznego, ale nic nie o... obiecuję.

To bardzo wspaniałomyślnie z pani strony.

DOKUMENT NR 253

OBSERWACJA SATELITARNA – TRANSKRYPT SATELITA SZPIEGOWSKI KH-9 („Big Bird”)

**Narodowe Biuro Rozpoznania (NRO),
Chantilly, stan Wirginia**

- [11:30] Wykryto ruch. Satelita geostacjonarny nad Portoryko. Wyjście z trybu czuwania. Włączono śledzenie ręczne.
- [11:31] Mężczyzna i kobieta, oznaczeni jako Alpha, Bravo, zauważeni przed bazą. Kierują się pieszo na zachód drogą dojazdową.
- [11:39] Kilku mężczyzn opuszcza bazę. Łącznie ośmiu, uzbrojeni, ubrani po wojskowemu. Oznaczeni jako Charlie 1 do 8.
- [11:42] Charlie 1–8 wsiadają do dwóch samochodów zaparkowanych przed bazą. Jadą na zachód.
- [11:46] Śledzę. Pojazdy zbliżają się do Alpha i Bravo. Mężczyzna i kobieta opuszczają drogę dojazdową, kierują się na północ przez las.
- [11:47] Pojazdy się zatrzymują. Charlie podejmują pościg pieszo.
- [11:52] Bravo leży.

- [11:53] Alpha podąża na północ. Bravo wciąż leży.
- [11:54] Charlie 1–4 stają przy Bravo. Charlie 5–8 kontynuują pościg na północ.
- [11:56] Charlie 1–4 niosą nieprzytomną Bravo do pojazdu.
- [12:01] Zgubiłem ślad Alphy. Charlie 5–8 zwalniają, rozdzielają się na dwie grupy.
- [12:08] Charlie 5–8 rezygnują z pościgu, wracają do samochodu.
- [12:17] Pojazdy jadą z powrotem do bazy.
- [12:24] Pojazdy w bazie. Charlie 1–8 przenoszą Bravo do budynku.
- [12:32] Nie wykryto ruchu. „Big Bird” przechodzi w stan czuwania.

DOKUMENT NR 254

WYWIAD VINCENT COUTURE, KONSULTANT, KONSORCJUM GAJA

**Miejsce: bar „El Batey”, San Juan,
Portoryko**

Gdzie panna Resnik? Spodziewałem się was obojga.

Nie dała rady.

Zostawił ją pan na pastwę losu?

Nie mogłem nic zrobić. Dostała z paralizatora. Próbowałem ją dźwignąć, ale oberwałem w ramię i stoczyłem się po zboczu. Gdy się ocknąłem, byłem sto metrów od brzegu.

Nie gonili pana?

Nie wiem. Nikogo nie widziałem, ale jakoś specjalnie się nie rozglądałem. Może akurat wiązali Karę, a może ich zbytnio nie obchodzi.

Proszę mi wierzyć, że bardzo im na panu zależy. Nawet gdyby pani Papantoniou zdołała odblokować hełmy, wciąż będzie potrzebowała pana do obsługi nóg i konsoli.

Tylko pan zna tę ich matematykę wystarczająco dobrze.

Nie jest taka trudna. Można się nauczyć.

Z pewnością, ale wyłącznie pan anatomicznie pasuje do upręży. Każdy inny musiałby stać odwrotnie, tyłem do konsoli. Mogliby wprowadzić trzeciego pilota, ale koordynacja działań, przy jednej osobie odwróconej plecami, byłaby koszmarem. Gdyby zdołali pana złapać, zrobiliby to na pewno. Łatwiej zastąpić pannę Resnik niż pana.

Jak dostał się pan do San Juan?

Niedaleko brzegu stała nieduża łódź rybacka. Podpłynąłem do niej i powiedziałem, że nurkowałem, a ludzie, którzy mnie przywieźli, odpłynęli beze mnie. Coś w tym stylu. Wie pan, że po hiszpańsku mówię piąte przez dziesiąte. W każdym razie odstawili mnie do Playa Sardinera. Stamtąd złapałem autobus.

Bardzo sprytnie. Ale co się w ogóle stało?

Uciekliśmy.

Miałem na myśli wcześniej. Kiedy postanowiliście uciec?

Wczoraj. To znaczy dzisiaj, ale wszystko zaczęło się wczoraj.

Proszę opowiadać.

Obudziłem się późno. Nie brałem prysznic, po prostu zbiegłem na dół na śniadanie. Byłem w trakcie jedzenia, kiedy wywołano ją przez interkom.

Pannę Resnik?

Tak. Powiedziała, że zaraz wróci. I że bym pilnował jej kawy.

Co dalej?

Nic. Czekałem pół godziny. Poszedłem do jej pokoju, do ambulatorium. Drzwi były zamknięte. Zacząłem pukać. Po pięciu minutach się otworzyły. Wiedział pan, że ten gnojek Ryan przyjedzie?

Tak.

Ale nie uznał pan za stosowne mnie poinformować?

Możemy porozmawiać o tym innym razem? Panna Resnik była w ambulatorium...

Tak. Próbowałem się do niej dostać. Leżała nieprzytomna na metalowym stole. Ze związanymi rękami i nogami. Musiała ostro się rzucać. Ryan miał rozciętą brew. Pewnie pomagał obezwładnić Karę, bo nie sądzę, żeby strażnicy – było ich dwóch – dali radę sami. Alyssa z pewnością by sobie nie poradziła.

Ryan chwycił mnie. Zapewniał, że nikt Kary nie skrzywdzi. Nie wierzyłem mu i się opierałem, ale on jest dużo silniejszy ode mnie. Alyssa wyjęła coś z szuflady i ukłuła mnie tym w kark. Straciłem przytomność, potem ocknąłem się w swoim pokoju.

Co panu zrobili?

Nie wiem. Obudziłem się z potwornym bólem głowy, ale nic poza tym.

Bolały pana plecy?

Nie, czemu?

Jakim badaniom Alyssa poddała pana przed wyjazdem

na misję koreańską?

Wysłała mnie do San Juan, gdzie zrobiono mi prześwietlenie. Poza tym pobrała masę próbek.

Czego?

Wszystkiego. Krew. Dużo krwi. Ślina, sperma, włosy. Dlaczego pan pyta? Co ona planuje, jak pan sądzi?

Nie wiem. Jak udało się panu uwolnić pannę Resnik?

Nie uwolniłem jej. Oni ją puścili. Najwyraźniej zrobili już, co mieli do zrobienia. Zapukała do moich drzwi.

Dobrze się czuła?

Nie, raczej kiepsko. Wciąż szumiało jej w głowie po tym, co zaaplikowała jej Alyssa. Złapała mnie za rękę, położyliśmy się spać. Gdy się obudziłem nad ranem, Kara była już ubrana. Wyglądała na zdenerwowaną. Oboje wiedzieliśmy, że musimy uciekać.

Jaki mieliście plan?

Żadnego nie mieliśmy. Próbowaliśmy wyjść głównymi drzwiami. Strażnicy zagrodzili nam drogę. Widziałem, że Kara gotowa jest z nimi walczyć, ale to było czterech uzbrojonych mężczyzn. Położyłem jej rękę na ramieniu, żeby ją powstrzymać. Trwało to kilka sekund, ale w końcu odpuściła. Wtedy wróciliśmy do mnie, żeby coś wymyślić.

I co wymyśliliście?

Na początku nic. Winda jest tylko jedna, pilnie strzeżona. Mogliśmy wykorzystać jedynie służbę podwodną i kanały wentylacyjne. Żadne z nas nie umie pływać łodzią podwodną, więc

pierwsza opcja odpadła. Ale z kolei jak się poruszać w pionowych kanałach? Mają ponad półtora kilometra. Wtedy przypomniał mi się Han Solo.

?

Wie pan, Han Solo: „Jeżeli zastosują standardową imperialną procedurę, to przed przejściem w prędkość nadświatlną wyrzucą śmieci, a my po prostu wylecimy na wolność”.

To ma jakoś pomóc?

Dzisiaj przyjeżdża śmieciarka. Co tydzień są wystawiane kosze ze wszystkim, czego nie dało się spalić – metal, szkło, wszelkie odpadki. Ukryliśmy się w jednym z pojemników i wywieźli nas z całą resztą śmieci.

Jestem zaskoczony, że panna Resnik zgodziła się na ten plan.

Też się zdziwiłem. Nie mogę powiedzieć, że sam byłem całkowicie przekonany do tego rozwiązania. Ale oboje wiedzieliśmy, że nie chcemy spędzić tam ani dnia dłużej. Wszystko lepsze niż nie próbować w ogóle.

Wydostaliśmy się z pojemników, gdy usłyszeliśmy, jak zamykają się drzwi. Zaczęliśmy iść. Przeszliśmy niecały kilometr, zanim zauważyliśmy samochody, które za nami wysłali. Skręciliśmy w las, puściliśmy się przed siebie biegiem. Dogonili nas naprawdę szybko. Resztę pan zna.

Nie możemy zostawić Kary w rękach tej psychopatki.

Zgadzam się.

Więc jaki jest plan?

Nie mam bladego pojęcia.

Nie może pan posłać plutonu marines i przejąć bazy?

Nie.

Delta Force, cokolwiek?

Chciałbym, ale to niemożliwe. Straciłem wpływy w wojsku. Dla amerykańskiego rządu jestem tymczasowo na cenzurowanym.

Musi pan mieć jakichś innych przyjaciół.

Mam koneksje w kilku krajach, ale jeżeli przez „przyjaciół” rozumie pan komandosów, którzy wtargną na terytorium Stanów Zjednoczonych w celu przeprowadzenia misji ratunkowej we wrogim otoczeniu, to nie, w tym momencie nie mam przyjaciół. Gdyby było dość czasu, zapewne zdołałbym zebrać grupę najemników, ale czegoś takiego nie robi się w ciągu kilku godzin czy nawet dni.

A ile potrzeba?

Co najmniej dwóch–trzech tygodni.

Ona nie może tam zostać tak długo. Zabiją ją dzisiaj, jutro. Może już nie żyje.

Spokojnie. Na razie nic straszego jej nie zrobią. Niech to nie zabrzmie bezdusznie, ale jest zbyt cenna. Oczywiście pobyt panny Resnik będzie wiązał się z nieprzyjemnościami. Papantoniou chwyci się wszystkiego, żeby odkryć sekret Kary, ale jej nie zabije.

Wiem, że nie zrobiłaby tego rozmyślnie, tylko że zna pan Karę. Potulna to ona nie jest. Boję się, że palnie coś głupiego. Założę się, że strażnikom nie wolno jej skrzywdzić. Taki dostali rozkaz. Ale jak Kara wpadnie w szal, to nie będą stali z założonymi rękami. W bazie jest wielu uzbrojonych ludzi, panuje napięcie. Wystarczy iskra.

Proponuję, żeby wrócił pan ze mną do Stanów. Może uda nam się przekonać administrację prezydenta, żeby nam pomogli.

Po co panu ja?

Zostanę aresztowany, jak tylko przekroczę próg Białego Domu. Jeżeli zamkną mnie na kilka dni, pan dostarczy wiadomość.

Nie zamkną pana, dopóki się nie dowiedzą, z czym pan przychodzi. Niech pan pojedzie. Przekona tych ludzi, że potrzebujemy ich wsparcia. Ja zostanę na miejscu i zobaczę, co da się zrobić.

Co takiego mógłby pan zrobić? Nie zna pan tu nikogo i nie mówi dobrze po hiszpańsku. Gdzie się pan ukryje?

Nigdzie. Fakt, nie porozumiałbym się w nawet niezbyt skomplikowanych sprawach. A zatem wrócę do bazy. Myślę, że pozwolą mi wejść.

Zamkną pana pod kluczem i nigdy nie wypuszczą.

Nie sędzę. Powiem im, że ten projekt to wszystko, na czym mi zależy, że nie mam dokąd iść. Pewnie z początku mi nie uwierzą – to zbyt oczywiste – ale jeżeli będę się trzymał swojej wersji, sami zechcą mi zaufać. To byłoby im naprawdę na rękę, gdybym rzeczywiście pragnął wrócić. Pokusa nie do odparcia. Dadzą mi

szansę.

A jeżeli nawet się złapią na tę dość oczywistą sztuczkę, to co dalej?

Poczekam na odsiecz. Zaopiekuję się Karą.

A gdyby jednak panu nie uwierzyli? Niepotrzebnie zaryzykuje pan życie i znowu straci wolność.

Może znajdę jakieś wyjście. Postaram się wymyślić coś lepszego od chowania się w śmietniku. Wywęszę, co Alyssa trzyma w zanadrzu. Jeżeli jest gotowa traktować nas jak więźniów, to znaczy, że tak naprawdę nie liczy na naszą współpracę. Musi być naprawdę blisko. Może już jej coś zadziało.

Zanim wyrzuciła mnie z bazy, zasugerowała, że znalazła sposób korzystania z hełmów niezależnie od was. Chociaż to chyba coś bardziej hipotetycznego niż konkretnego.

Wątpię. Alyssa ma rozdęte ego, ale czy będąc tak blisko, nie schowałby pan dumy do kieszeni na parę dni zamiast zapeszać realizację projektu przechwałkami? Poza tym to nie może być wszystko. Nie da się zrobić tak, żeby hełm działał cały czas. Wciąż potrzebowałaby nas, żeby od czasu do czasu uruchamiać robota. Tu chodziłoby o coś, czego nie musimy robić dobrowolnie. Trudno mi sobie wyobrazić, jak ktoś ciągnie do sterowni osobę, która się opiera. I tak trudno się tam wdrapać.

Proszę zapomnieć o zabawie w detektywa i skupić się na opracowaniu sposobu ucieczki. Obawiam się, że nie tylko Alyssa będzie zagrażać życiu pańskiemu i panny Resnik. Odsiecz, jak ją pan nazywa, może spowodować więcej szkody niż pożytku.

Mam się bać?

W tym planie jest wiele niewiadomych. Bo co na przykład, jeśli rząd Stanów Zjednoczonych uzna, że trzeba zminimalizować straty i zlikwidować cały projekt?

To znaczy rozwalić nas wszystkich na kawałki?

Nic tak dramatycznego. Naloty dywanowe na park narodowy w Portoryko nie zyskałyby zbytnej popularności w społeczeństwie.

Co za ulga. A już się martwiłem.

Przypuszczam jednak, że kilka torped celnie wymierzonych w służbę podwodną byłoby równie skutecznymi.

Super. Gdyby śluza puściła, utonęlibyśmy i nikt nie musiałby o tym wiedzieć.

Chce pan ponownie rozważyć swoją decyzję o powrocie?

Nie zostawię Kary. Poza tym jeżeli istnieje życie pozagrobowe, to nie zamierzam przez całą wieczność słuchać, jak to pozwoliłem jej samotnie pójść na dno w Portoryko.

DOKUMENT NR 255

WYWIAD PAN BURNS, ZAWÓD NIEZNANY

Miejsce: restauracja chińska „New Dynasty”, Dupont Circle, Waszyngton, D.C.

Jestem w drodze do Białego Domu.

Wiem. To ekscytujące! A jednak chciał pan zjeść lunch. Musi pan umierać z głodu.

Czas ucieka, dlatego nie będę marnował go na uprzejmości. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Pan prosi o pomoc? Z pustym brzuchem nie da się myśleć, a pan ostatnio jadł w San Juan.

Mogę zapytać, skąd pan tyle o mnie wie?

Zabawne.

Co takiego?

To, jakie to musi być dla pana dziwne. Zwykle to pan wie o ludziach różne ciekawe rzeczy.

Możliwe. Ale nietrudno się domyślić, dlaczego mam dostęp do takich informacji. Logiczne wydaje się przypuszczenie, że pan i ja obracamy się w różnych środowiskach, co oznaczałoby rozległą siatkę informacyjną, o której nikt nic nie wie.

W ustach kogoś, kto specjalizuje się w rozległych siatkach informacyjnych, o których nikt nic nie wie, to brzmi jak komplement... Opowiadałem panu kiedyś bajkę o rybaku i...

Nie, i nie opowie pan. Nie mam czasu na opowiadki ani na barwne metafory. Potrzebuję od pana faktów i pragmatyzmu. Jeżeli nie chce pan albo nie może mi pomóc, proszę mnie dłużej nie wstrzymywać.

A więc odpuścimy sobie opowiadanie, pańska strata, bo to była ciekawa bajka. Zbieram się.

Proszę zostać. Jeżeli zaniepokoiły pana niedawne wydarzenia w Korei Północnej, to zapewniam, że zrobiłem, co w mojej mocy, żeby im zapobiec.

Ja zaniepokojony? Gdyby pan wiedział, czego byłem świadkiem w ostatnich... w ostatnich latach, rozumiałby pan, że do zaniepokojenia mnie potrzeba o wiele więcej. Niech pan nie bierze tego do siebie, ale wydaje mi się, że mogłem pana przecenić. Naprawdę myślałem, że pan rozumie. W przeciwnym razie nie kontaktowałbym się z panem. Przykro mi.

Czegóż to nie zdołałem pojąć?

Nie wiem, od czego zacząć... Ach tak. Po pierwsze, nie chodzi o pana, panie zadufany w sobie dupku! W szerszej perspektywie każdy ma to gdzieś, na co się pan zgadza albo nie zgadza, czemu próbuje zapobiec albo co jadł pan na śniadanie. Chodzi o szerszą

perspektywę.

Po drugie, ja też jestem tu nieważny. Pochlebia mi, że prosi mnie pan o osobistą zgodę, ale to tak naprawdę bez znaczenia. Oni są zaniepokojeni. To jest pański podstawowy problem.

Zdaję sobie sprawę, że moja historyczna rola jest mocno ograniczona, natomiast ciekawi mnie, jak to się rzecz przedstawia z pańską. Czy przypadkiem nie jest bardziej znacząca, niż pan sugeruje?

Zanim oceni pan mnie, a tym samym całą ludzkość, proszę zrozumieć, że chociaż zrobiłbym bardzo dużo, żeby tylko nie drażnić wyżej rozwiniętych istot i uniknąć konfliktu o apokaliptycznych proporcjach w bliższej lub dalszej przyszłości, to przede wszystkim mam obowiązek sprawić, by odkrycie gigantycznej maszyny nie wywołało pandemonium tu i teraz.

Oczywiście! Ma pan robotę do wykonania. Nie musi się pan przede mną usprawiedliwiać.

[Dobry wieczór. Co dla panów?]

Dla mnie kurczak kung pao i mrożona herbata.

Ja poproszę to samo... Może jest jeszcze dla pana nadzieja.

Pomoże mi pan?

Chciałbym panu pomóc jakoś radośnie, ale pan nie lubi tego, co radosne. Chce pan rozmawiać o takich rzeczach jak sądny dzień, ostateczny sąd ludzkości. To nie jest radosne. Zróbmy coś, dzięki czemu trochę pan wyluzuje. Budował pan kiedyś drewnię? To jakby wznoszenie małego domu. Któregoś dnia zbudujemy drewnię i kiedy będzie gotowa, poczuje pan niesamowitą dumę.

Czuję, że sytuacja wymyka mi się spod kontroli.

Wie pan, na czym polega pański problem? Bierze pan na swoje barki los całego świata. Zdaje pan sobie sprawę, jak to się odbije na pańskim zdrowiu?

Proszę.

Czy odetchnie pan odrobinę, jeżeli powiem, że nie jest pan odpowiedzialny za to, jak to się wszystko skończy?

A pan wie, jak to się skończy? Proszę mnie nie dręczyć.

Hm, to musi być trudne dla pana, ale powinien pan popracować nad wyrazem twarzy. Nie może pan wypowiadać takiej kwestii z nieprzeniknioną miną. Co pan na to? Naprawdę nie mam pojęcia, co mógłby pan zrobić, żeby zapobiec inwazji potężnych kosmitów na tę planetę. Wcale zresztą nie wiem, czy taka inwazja się szykuje. Poza tym pewnie zaczyna pan już się orientować, że powiedziałem o wiele za dużo. Niech pan zrozumie – tak, to trudne – że wyjawiając więcej, prawdopodobnie tylko pogorszyłbym sprawę.

Czy nie istnieje szansa, że po prostu o nas zapomnieli?

Niestety. Jeżeli są w czymś naprawdę dobrzy, to w pamiętaniu. Poza tym wydajecie się im ciekawi. Z ewolucyjnego punktu widzenia większość układów, które nadzorują, jest albo na tyle bliskich, że wydają się przyziemne, albo znajduje się we wczesnej fazie rozwoju – często nie rozwinęły jeszcze życia inteligentnego czy nawet bardziej złożonego. Wasze „dojrzewanie” to rzadkie wydarzenie, ekscytujące i ważne. Może mi pan wierzyć na słowo, kiedy mówię, że pilnie się wam przyglądają.

Nasze dojrzewanie?

Tak. To, co się teraz dzieje, to wasza bar micwa. Kto potrafi manipulować atomem, siedzi z dorosłymi.

Co to oznacza dla nas?

Że dziecinne błędy nie będą wam już wybaczone.

Jak możemy być odpowiedzialni za nasze działania, jeżeli nie wiemy, czego się od nas oczekuje?

Niczego się od was nie oczekuje. Jak wspomniałem, to nie są kolonizatorzy. Ingerowanie to ostatnia rzecz, o którą im chodzi.

Nie rozumiem. Nie chcą, żebyśmy zabijali się bronią, którą nam zostawili, ale kiedy przez tysiąclecia mordowaliśmy się urządzeniami własnego wynalazku, nie zmarszczyli nawet brwi.

Oni nie mają brwi. Jak pan widzi, to bardzo trwała cecha genetyczna.

Dobrze, ale czy może mi pan powiedzieć, na czym polega różnica?

Na niczym. Nie obchodzi ich, czy pozabijacie się kijami czy czymś, co oni zbudowali. Nie interesuje ich nawet, czy w ogóle się pozabijacie. Możecie zgotować sobie zagładę, a oni się tym ani trochę nie przejmą. Nie o wasze przetrwanie lub wyginięcie tu chodzi.

A zatem musimy pokazać, że potrafimy odpowiedzialnie posługiwać się tą nowo nabytą mocą, w przeciwnym razie przyjadą i ją nam zabiorą. Tak?

Jeżeli uznają, że nie jesteście gotowi, to tak. Albo cofną was do epoki kamiennej i pozwolą dojrzewać przez parę tysiącleci.

Ile robotów musieliby przysłać, żeby nas zniszczyć?

Nie muszą przysyłać żadnych robotów, wystarczyłoby, żeby wytrącili Ziemię z orbity. Ale jeżeli już, to myślę, że kilka by wystarczyło, setka załatwiłaby sprawę szybciej, a tysiąc... sam pan rozumie.

Czy za pomocą naszego robota moglibyśmy się skutecznie bronić?

Nie sądzę. Proszę pamiętać, że ma sześć tysięcy lat. To antyk.

Ale nigdy nic nie wiadomo, a nuż dopisałoby wam szczęście. Ich uzbrojenie pewnie mocno się rozwinęło, ale wciąż opiera się na zasadzie skupionej energii. Technologia, której używają teraz, robi mniej więcej to samo co wasz robot, tylko skuteczniej.

Najbezpieczniej więc byłoby nie podejmować żadnych działań i czekać na zmiłowanie?

Mam nadzieję, że nie! Myślę, że powinniście walczyć do końca. Jeżeli postanowią pozbyć się ludzkości i zacząć wszystko od nowa, nic na to nie poradzicie. Na waszym miejscu ruszyłbym do boju.

Nie wierzę, że nasz robot zwyciężyłby w starciu na miecze, nie z naszymi pilotami.

Zgadzam się z panem. Dlatego nie walczyłbym w zwarciu.

A jak inaczej, skoro posiadamy tylko miecz?

Miecz? Nie mieczem unicestwiliście pół lotniska w Denver!

Więc wyładowanie energetyczne jest bronią. Myśleliśmy, że to tylko efekt uboczny, wynikający ze specyfiki materiału użytego do budowy robota. Może za słabo myślę, ale nie wiem, jak nieukierunkowane

wyładowanie energetyczne o bardzo ograniczonym zasięgu miałyby nam pomóc w walce na odległość.

Wdzięczna próba. Sami musicie do tego dojść. Powiedziałem już naprawdę wszystko, co mogłem. Niech pan już biegnie na spotkanie. Ja zapłacę.

Można wiedzieć, dlaczego nam pan pomaga? Czy to nie wbrew regułom?

Jestem tylko starym człowiekiem, który lubi opowiadać bajki. Nic nie poradzę, jeżeli jest pan na tyle szalony, żeby w nie wierzyć.

Ale dlaczego? Dlaczego nie mieliby postąpić z nami tak, jak uważają za stosowne?

Ja tu mieszkam. Znam ludzi, dobrych ludzi. Nie chcę, żeby przytrafiło im się coś złego.

Wiem, że urodził się pan tutaj i że w przeważającym stopniu jest pan człowiekiem. Nie powie nam pan, jak z nimi walczyć, ale wskazuje, że powinniśmy. Mówi pan o nich per „oni”, nie „my”, co sugeruje pewną dwuznaczność, ale w tym tkwi coś jeszcze. Wyczuwam znane mi emocje, gdy mówi pan o swoich przodkach. Nie bardzo potrafię je określić. Gniew? Gorycz?

Sporo pan wyczytał z jednego zaimka.

Porzucili was tu, prawda?

Urodziłem się w Michigan.

Waszych przodków. Zostawili tu waszych przodków, każąc im jedynie maksymalnie wtopić się w otoczenie. Zostawili wysoce rozwinięte istoty – rodzaj naukowców,

elitę – z półnagimi dzikusami, takimi co to pewnie nie wynaleźli jeszcze koła. Wieki tęsknoty za rzeczami absolutnie podstawowymi. Wiedza, że wasze dzieci nigdy nie osiągną szczytu swoich możliwości, bo nauczycie je poprzestawać na tym, co zwyczajne. Mogę sobie tylko wyobrazić, co bym czuł, ale wydaje się pewne, że nie byłbym zachwycony.

Fajne przemówienie! Co do jednego muszę przyznać panu rację: nie ma pan pojęcia, przez co ci ludzie przeszli i co czuli. Na odchodnym powiem jeszcze jedno. Proszę się tak nie przejmować! Daje pan z siebie wszystko?

Boję się, że to może być za mało.

Co ma być, to będzie. Najważniejsze to dawać z siebie wszystko. Niech pan już idzie. Następnym razem pan postawi i wysłucha bajki o rybaku i mewie. Poza tym jest mi pan winien przysługę. Dużą.

W zamian za pańskie rady?

Nie.

A więc nie rozumiem, dlaczego mam u pana dług.

Zobaczy pan... Ale dług jest, bez cienia wątpliwości. Proszę o tym pamiętać.

DOKUMENT NR 256

POŁĄCZENIE GŁOSOWE – TRANSKRYPT STARSZY CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA

Miejsce: okolice San Juan, Portoryko

Gdzie pan jest, panie Mitchell?

W gabinecie Alyssy. Włamałem się po jej telefon satelitarny i klucze. Niech mi pan pomoże, sir. Proszę! Muszę ją stąd wydostać. Może mi pan pomóc?

Rozumiem, że mówi pan o paninie Resnik. Grozi jej niebezpieczeństwo?

Jest w ambulatorium z Alyssą. Ona... Robią jej tam dziwne rzeczy.

Kto?

Alyssa. Ona... Później panu opowiem. Teraz trzeba ją stąd wyciągnąć. Może pan przysłać wojsko?

Na miejscu jest już pluton marines, ale nie wejdą do środka. Nie zaryzykują, nie wiedzą, co tam zastaną.

Ja wiem! Niech pan im każe wchodzić! Wyjaśnię wszystko. Ale niech się pośpieszą!

Panie Mitchell, marines nie są tam na mój rozkaz. I nie wysłano ich po to, żeby was odbić. Mają aresztować cały personel bazy.

Nieważne! Niech wchodzi. Niech nas aresztują. Ratujmy Karę!

Ja zostałem oskarżony o zdradę. Pan, panna Resnik, pan Couture... w oczach rządu Stanów Zjednoczonych wszyscy jesteśmy zdrajcami.

Więc dlaczego nie wchodzi i nas nie aresztują?

Mogę tylko się domyślać, panie Mitchell, ale gdybym ja dowodził, nie narażałbym swoich ludzi w tych okolicznościach. Baza może być mocno broniona, a wejście jest tylko jedno.

Co pan sugeruje, sir?

Że jeżeli marines mają wejść do środka, to musi pan otworzyć drzwi.

To otworzę, bez problemu.

Żartowałem! Bazy strzeże kilkunastu uzbrojonych mężczyzn. Większość to byli żołnierze. Nie zawahają się pana zastrzelić.

Mówię prawdę, sir. Mogę otworzyć wejście. Mogę przejąć kontrolę nad bazą.

Ma pan klucz do magazynu broni?

Właśnie teraz tam idę... Sir?

Tak, panie Mitchell.

Wiem, że gdyby to od pana zależało, gniłbym dalej w Fort Carson... Przykro mi, sir. Oczywiście, to nic nie znaczy, ale przepraszam za to, co zrobiłem. Chciałem wyrzucić z siebie złość.

...

Jestem przy magazynie. Szukam klucza. To na pewno ten...

Strzelał pan kiedyś do kogoś?

Nie z broni ręcznej, sir. Ale nie zamierzam nikogo zabijać.

Sam pan nie rozbroi kilkunastu mężczyzn.

Sir, wpakowałem się w tę kabałę, bo omal nie uśmierciłem Vincenta. Nie chcę naprawiać tego zabijaniem.

Panie Mitchell, proszę posłuchać...

Już w porządku, sir, znalazłem to, czego szukałem. Przypomniałem sobie, że do odstraszenia intruzów mają naboje XREP.

Co to takiego? Słabo znam się na broni.

Takie naboje, które rażą prądem. Zamieniają broń palną w paralizator. Kosztowne cacka. Pewnie jest ich więcej, ale znalazłem trzy paczki i dwie specjalne strzelby. Wezmę jeszcze parę granatów hukowych i garść opasek zaciskowych.

Opasek zaciskowych? Panie Mitchell, usilnie nalegam, żeby...

Ma pan rację, sir. Sam nie dam rady tego zrobić.

Dokąd pan idzie?

Do pomieszczeń mieszkalnych, przy wejściu powinien być najwyżej jeden strażnik. Mam nadzieję, że uda mi się to załatwić po cichu. Na chwilę się wyłączę.

... Panie Mitchell?

...

Jest pan tam?

Już jestem. Próbowałem ogłuszyć strażnika, ale trafiłem go w kark. Musiałem poprawić. Teraz żeby tylko znaleźć właściwy klucz... O! Wisiał na szyi.

Klucz do czego?

Ten ktoś nieszczególnie się ucieszy na mój widok...

Cześć! Potrzebuję twojej po... Nie... Przestań... Czy mógłbyś... Przestań się szarpać!

Potrzebuję twojej pomocy! Kara ma kłopoty! Musimy ją stąd wydostać. Możesz mi zaufać i pomóc albo wrócić do swojego pokoju, ale ciebie też ogłuszę, jak nie przestaniesz się rzucać.

Z kim pan rozmawia? Z panem Couture'em? Proszę mu powiedzieć, że mi się nie udało. Że odsiecz nie będzie.

Mówi, że odsiecz nie będzie... Kto? Wiesz kto – on! Możesz wreszcie zamknąć się na minutę? Świetnie. Pomóż mi wciągnąć tu tego gościa. Teraz zabierz mu klucz i zarygluj wszystkie drzwi w korytarzu. Zamykają się od zewnątrz. W bazie jest jeszcze dwunastu strażników. Jeżeli mamy szczęście, to co najmniej kilku

będzie u siebie w pokoju...

Czy panu Couture'owi nic się nie stało?

Nie, wszystko z nim porządku. Tak się w każdym razie wydaje. Jest dużo silniejszy niż kiedyś... Gotowe?

Mówi pan do mnie?

Dobra. Weź te opaski i schowaj do kieszeni. Teraz trzymaj tę strzelbę...

Nie, nie chcę, żebyś do kogokolwiek strzelał. Chcę, żebyś mi ją podał, kiedy wystrzelam naboje ze swojej i znów naładował tę pierwszą. To strzelba Mossberg 500. Magazynek mieści pięć naboii. Wkłada się je tak... A do komory wchodzi jeszcze jeden.

Nie, Vincent, nikogo nie zabijemy. Te naboje nie zabijają. Jak się czujesz? Dasz radę? Świetnie. Teraz naładuj swoją.

Pan Couture nie służył w wojsku. Obaj możecie przez niego zginąć.

Poradzi sobie... Nie, Vincent, świetnie ci idzie. Jeszcze jeden... Tak jest.

O tej porze warsztat mechaniczny jest zamknięty. Tak samo śluza podwodna i elektrownia. To oznacza, że większość strażników będzie przy wejściu albo w głównym korytarzu. Zajrzyj do torby. To są granaty ogłuszające. Gdy dotrzemy do holu, chwyć dwa, wyciągnij zawleczkę – tutaj – policz do trzech i rzuć jak najdalej. To powinno oszołomić strażników na kilka sekund. Miejmy nadzieję, że w tym czasie zdołam wszystkich trafić. Potem wchodzisz za mną i krępujesz im ręce opaską zaciskową...

Nie, to nie wszystko. Fajnie by było. Te granaty narobią sporo huk, strzelba też. Pozostali strażnicy albo na nas czekają, albo po nas przyjdą. Tak czy owak, będziemy musieli improwizować.

W razie konieczności strzelaj, potem przeładuj, strzel znowu, przeładuj – jak na filmach.

Panie Mitchell, podsłuchałem pański plan, jeżeli można tak go nazwać. Na pewno nie chce pan zmienić broni? Chyba nie muszę przypominać, że strażnicy, o których się pan martwi, żeby ich nie zranić, używają ostrej amunicji?

Wiem. Vincent, gotowy? Świetnie! Trzymaj się za mną...

Jesteśmy na rogu głównego holu. Widzę dwóch rozmawiających mężczyzn pod ścianą, dwóch kolejnych przy stole. Nie, trzech... Wyjmij granaty z torby. Pamiętaj, policz do trzech, potem rzucaj. Jeden spróbuj rzucić jak najdalej pod prawą ścianę. Och, i nie wpatruj się w nie. Uwaga, na mój znak, trzy... dwa... jeden... teraz!

...

Jeden strażnik.

...

Drugi.

Vincent, chodź!

Trzeci!

Czwarty!

...

Piąty. Nie! No już, przestań się ruszać. Piąty.

Vincent, zwiąż ich... Nie, nie tak, ręce na plecach. Nie bój się mocno ściągnąć. Ma być ciasno!

Pięciu strażników załatwionych, plus jeden przed pokojem Vincenta. Jeden jest z Alyssą w ambulatorium; zostaje maksymalnie pięciu przy głównym wejściu. Vincent, podaj mi swoją strzelbę i przeładuj... Na ziemię!...

Panie Mitchell, jest pan ranny?

Jeden strażnik był w łazience. Schował się z powrotem, kiedy usłyszał mój krzyk. Vincent, podaj mi strzelbę i weź granat z torby... Uwaga... Pięć, cztery, trzy...

Hej tam! Pewnie mnie pan nie słyszy, ale mój kolega skrępuje panu ręce z tyłu. Jeżeli będzie się pan wyrywał, strzelę, więc... proszę się nie ruszać. Zwiąż go, Vincent! No już, szybko!

Gotowe. Zostało główne wejście. Vincent, wyjmij granat z torby. Chodźmy!

Prawdopodobnie puszczą do nas serię, kiedy otworzę te drzwi. Przygotuj granat. I... uwaga... nie! Vincent, nie wyciągaj zawleczeni! Cholera, szybko, wrzuć go do kibla. Już! Już!

Co się dzieje, panie Mitchell?

Przy głównym wejściu jest tylko dwóch strażników. Ręce mają w górze, pistolety leżą na ziemi. Kilku było u siebie w pokoju. Cześć, chłopcy!... Tak, ja też się na to nie pisałem. Czy moglibyście podnieść ręce do góry? Mój kolega by was skrępował, dobrze? Tylko na parę minut, zaraz wjadą tu marines i wtedy was porządnie skują. Vincent, szybciej!

Jesteśmy przy ambulatorium. Z Alyssą powinien być tylko jeden strażnik. Vincent, będziesz pełnił honory? Po prostu wrzuć granat, a ja obezwładnię strażnika...

Kara leży nieprzytomna, przypięta pasami do stołu...

Mówiłem, że nic mu się nie stanie, sir. Mało tego, cały czas miał uśmiech na ustach. I prawie pęka z dumy, że tak mu sprawnie poszło z granatami i wiązaniem. Mam tylko nadzieję, że się nie domyśli, co tu się działo.

Mówi pan o próbkach tkanki, które pobiera Papantoniou?

Ona nie pobiera próbek tkanki, sir. Dlatego do pana

zadzwoń. Przysięgam, że nie miałem pojęcia, co ona zamierza, kiedy się w to wmixowałem. Po prostu chciałem pomóc.

Wierzę panu. A teraz proszę powiedzieć, co pan widział.

Cóż, wie pan, że Alyssa pobierała próbki od Kary i Vincenta: krew, naskórek, płyny ustrojowe. Gdy przyszedłem dziś rano, Kara leżała w... nie miała na sobie majtek... Zapytałem, o co chodzi, na co Alyssa odpowiedziała, że pobiera komórki jajowe.

To skłoniło pana do buntu?

Nie skończyłem jeszcze. Powiedziała, że nazajutrz spróbuje przeprowadzić zapłodnienie in vitro. Mogłaby to zrobić, sir?

Nie bardzo znam się na takich procedurach, ale nie sądzę, żeby dysponowała niezbędnym wyposażeniem. Ma jednak dostęp do materiału kriogenicznego. Zamroziłaby komórki jajowe i próbki nasienia od pana Couture'a, a potem zabrała to do kliniki poza bazą. Tam by je odmrożono. Te jajeczka, które przetrwałyby cały proces, zostałyby zapłodnione i odłożone na kilka dni. Większość klinik wykonuje dzisiaj coś, co nazywa się transferem blastocysty.

Nie rozumiem...

Blastocysta to zygota, w której podział komórkowy dokonał się dostateczną liczbę razy w ciągu pierwszych kilku dni. Zarodek na tym etapie rozwoju można wszczepić do organizmu po pięciu dniach; ogólnie dość skuteczna procedura.

Wszczepić innej kobiecie?

Zgadza się.

Ależ to szaleństwo!

Fakt. Podjął pan słuszną decyzję, żeby interweniować.

Gdybym o tym wszystkim wiedział, nigdy nie zgodziłbym się pomóc. Zdaje pan sobie z tego sprawę, sir. Prawda?

Tak. I już pan to mówił.

Vincent wraca z Karą... Halo, Śpiąca Królewno! Co to znaczy, że jej nie ma?

Panna Resnik zniknęła?

Nie, Alyssa... Jesteś pewien? Wszędzie sprawdziłeś? Rozumiem, że to nieduże pomieszczenie. Słuchaj, Kara ledwie stoi, usiądźcie tam...

Nie wiem, co powiedzieć, sir. Przeszukaliśmy praktycznie wszystkie zakamarki. Była tu dwadzieścia minut temu. Jeżeli nie schowała się w którymś z pokoi strażników, powinniśmy na nią wpaść. Przecież nie mogła wyjść.

Może mogła. To ona nadzorowała budowę tego kompleksu.

Muszę ją namierzyć.

Zostawmy to piechocie morskiej. Wy lepiej zajmijcie się panną Resnik, pewnie potrzebuje natychmiastowej opieki. Powinniście już wpuścić marines.

Zaraz. Powiem tylko tym dwojgu, co zrobiła Alyssa.

Ależ nie. Oboje wystarczająco dużo przeszli. Nie ma

sensu dodawać im cierpień i opowiadać o czymś, czego nie zmieniają.

Sir! Mogą mieć za rok dziecko i nic o tym nie wiedzieć!

Mogą mieć nawet całą gromadkę. Nic im pan nie powie, panie Mitchell. Czy to jasne?

Sir! Oni mają prawo wiedzieć.

Mają. Powiem im, kiedy przyjdzie czas.

Daje pan słowo?

Tak. A teraz proszę otworzyć drzwi i wpuścić marines.

Dobra. Wsiadam do windy. Co się stanie, kiedy tu wejdą?

Skują was. Zapewne rozdziela, dopóki nie przesłuchają całej załogi. Myślę, że to będzie... wnikliwe przesłuchanie. Co potem – nie wiem. W najlepszym razie wróci pan do Fort Carson odsiedzieć resztę wyroku. W najgorszym – dostanie śmiertelny zastrzyk.

Co powinienem im powiedzieć?

To bez znaczenia. I tak prawie wszystko wiedzą. Proszę ułatwić sobie zadanie i mówić to, co chcą usłyszeć.

W porządku. Dziękuję za wszystko, sir. Otwieram główne drzwi. Uwaga...

Hej, chłopaki! Witajcie w Portoryko!... Aj, to bolało! Dajcie spokój! Właśnie zabezpieczyłem dla was bazę! Czy to musi być tak ciasno? Daj spokój, człowieku! To boli!...

DOKUMENT NR 257

WYWIAD INES TABIB, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO

Miejsce: Biały Dom, Waszyngton, D.C.

Chce pan coś powiedzieć, zanim każę aresztować pana i postawić przed sądem za zdradę?

Nie widzę sensu, żeby cokolwiek mówić, ale pani niech sobie przez chwilę poużywa. Jak się czują panna Resnik i pan Couture?

Pańscy piloci są wciąż przesłuchiwani w Portoryko. Nic im nie jest. Możecie stanąć przed sądem całą rodziną.

Oboje wiemy, że nie stanę przed sądem. Dla kogoś, kto pracuje w moim fachu, sprawiedliwość jest zwykle dużo szybsza. Przychodzi bez zapowiedzi, najczęściej od tyłu i z tego, co wiem, nigdy nie poprzedza jej spotkanie w Białym Domu. Co się wydarzyło? Pani prezydent panią powstrzymała, gdy próbowała mnie pani aresztować, czy interweniował ktoś inny? Siedzi pani w tej branży od niedawna, więc zakładam, że zabicie mnie nie byłoby

rozwiązaniem, które pierwsze przyszłoby pani do głowy.

Powiedziała, że zajmie się tym osobiście. Skąd pan wiedział?

Nie wiedziałem. To wydawało się logiczne.

Logiczne? Finansuje pan projekt z publicznych pieniędzy, wykorzystuje amerykańskich żołnierzy, państwowe helikoptery i drony, żeby zlokalizować i zabezpieczyć części robota w różnych krajach świata – nielegalnie, mogłabym dodać. Po drodze powoduje pan śmierć kilku obywateli amerykańskich i obcokrajowców. Składa pan to urządzenie na terytorium Stanów Zjednoczonych, wykorzystuje naukowców opłacanych z rządowych pieniędzy, by poznać jego tajniki. To wszystko dzieje się w amerykańskiej bazie, którą oczywiście ostatecznie pan niszczy, omal nie wywołując III wojny światowej.

Za pańską radą prezydent Stanów Zjednoczonych zgadza się zatopić robota w oceanie, co ma być, jak sam pan to określa, rozwiązaniem tymczasowym. Potem zmienia pan front i oddaje zdobytą z takim trudem technologię Rosji i Emiratom Arabskim. Czy prawidłowo podsumowałam? Które z powyższych działań nie stanowi w pańskiej opinii aktu zdrady?

Na które z pytań mam odpowiedzieć najpierw?

Jak pan woli.

Nie.

Nie odpowie pan?

„Nie” to odpowiedź na pani pierwsze pytanie.

A mianowicie?

„Czy prawidłowo podsumowałam?”. Nie,

nieprawidłowo.

Co pominęłam?

Pierwsza część pani wypowiedzi, jakkolwiek zbyt uczuciowa i melodramatyczna, była zasadniczo zgodna z prawdą. Za powodzenie projektu, poza osobami bezpośrednio w nim uczestniczącymi, w dużym stopniu odpowiada rząd Stanów Zjednoczonych. Jeśli chodzi o drugą część – zapomniała pani o Korei Południowej. A co najważniejsze: nikomu robota nie „oddałem”. Nie należał do mnie i nie był bezpieczny.

Tak naprawdę nie interesuje mnie, co ma pan do powiedzenia.

Pytała pani. Jak już ustaliliśmy, zamierzała pani aresztować mnie i postawić przed sądem. Oboje zdajemy sobie sprawę, że do tego nie dojdzie. Oferuję pani rozwiązanie alternatywne, które będzie z wielką korzyścią dla Stanów Zjednoczonych. W tym scenariuszu unikam również niespodziewanego ataku serca albo śmiertelnej reakcji na ukąszenie pszczoły.

Ale dlaczego? Dlaczego szefowa nie miałaby pana aresztować?

Będzie ją pani musiała zapytać.

Ona wiedziała. Prawda? Wiedziała przez cały czas. Poprzedni prezydent też wiedział?

Ja...

Proszę nie odpowiadać. Wiem, że nie usłyszę prawdy. A więc to takie buty, hm? Od początku taki był plan, co?

Przecież kazała mi pani nie odpowiadać.

Nie rozumiem.

To nie był żart.

Nie rozumiem, dlaczego pańskie rozwiązanie miałoby być dla nas korzystne.

Może gorycz wywołana faktem, że jednak mnie pani nie aresztuje, zaburza pani osąd. Powtórzę to, co przed chwilą powiedziałem. Nic nikomu nie dawałem. Po pierwsze, to nie było moje. Po drugie, nie było też wasze. Poprzedni prezydent zgodził się zatopić robota, bo gdyby się upierał, żeby go zatrzymać, wywołałby globalny konflikt. Zgadza się?

Czy to ma znaczenie? Niech będzie, że tak.

A dlaczego doprowadziłby do światowego konfliktu?

Bo Rosja nie chciałaby słyszeć o tym, żebyśmy zatrzymali maszynę.

Otóż to. Rosjanie nie znieśliby takiego zaburzenia równowagi sił. I nie oni jedni. Na Bliskim Wschodzie zapanowałby jeszcze większy chaos. Wiedzieliby, że wcześniej czy później użycie tam tego robota. Azja też by się wściekła.

Jak brzmi pański argument?

Ustaliliśmy, że urządzenie nie należało do nas; chyba nie muszę pani przekonywać, że nie należało też do Rosji.

Myślałam, że to mój argument.

Rzeczywiście. Moskwa dobrze o tym wie. Teraz, gdy

sami wmieszali się w sprawę, myśli pani, że mają prawo tak jak kiedyś podnosić kwestię naszej moralności?

Domyślam się, że odpowiedź powinna być przecząca.

A Bliski Wschód? Powiedzmy, gdyby Emiraty były zaangażowane... A Europa? Azja? Czy niemiecka firma wchodząca w skład konsorcjum pomogłaby? Japonia, Korea... Stojąc przed perspektywą utraty wszystkiego, co zainwestowały w ten projekt, czy myśli pani, że sprzeciwią się udziałowi w nim Stanów Zjednoczonych?

Już chwytam. Sprytnie. A więc dzielimy się robotem z Rosjanami, skoro pozwolili nam...

Mniej więcej. Ale umyka pani prawdziwy urok całej sytuacji. Jak już zaznaczyłem, nic nikomu nie dałem. To coś nie było niczyje. Kraje, które weszły w to przedsięwzięcie, wydały około dwustu miliardów dolarów na wydobycie robota i budowę bazy w Portoryko. Gdyby Stany Zjednoczone próbowały dokonać tego na własną rękę, same musiałyby wydać taką kwotę. Zrobienie tego po cichu byłoby niemożliwe, bo nie da się wydać takich pieniędzy, nie zwracając uwagi opinii publicznej.

A więc nie dość że sprytnie, to jeszcze zaoszczędziliśmy kupę grosza. Chce pan ode mnie jakiś medal czy co?

Wystarczyłoby zwykłe podziękowanie.

Wciąż nie rozumiem. Jeżeli pani prezydent wiedziała, a na to wygląda, to dlaczego nie wtajemniczyła mnie w pański chytry plan?

Nie potrafię powiedzieć, co pani prezydent wiedziała albo nie, bo to nie ja prowadzę narady. Jak kilkakrotnie

nadmieniałem pani poprzednikowi, wiele kwestii przekracza horyzont czasowy ośmiu lat. W efekcie wiele kwestii w ogóle nie staje tu na porządku dziennym. Co do planu, to musi pani zdać sobie sprawę, że gdyby istniał, nigdy nie byłby tak precyzyjny. Wszystko, co wiązało się z robotem, wywoływało zbyt duży skandal – choćby to, jak pozyskiwaliśmy poszczególne części. Teoretycznie poprzedni prezydent mógł uznać, że inne kraje powinny częściowo wziąć na siebie ciężar projektu, w tym koszty finansowe. Wtedy zebrałbym grupę zainteresowanych i rozpoczął budowę bazy w Portoryko.

Chce pan powiedzieć, że kazał zbudować tę bazę, zanim wrzuciliśmy robota do oceanu?

Lubię myśleć, że jestem znany z dotrzymywania słowa.

Nie wiem, czy postawiłabym na to dwieście miliardów dolarów.

To byłby jedyny sposób, żeby projekt nie ugrzązł po roku czy dwóch. Zespół kontynuowałby treningi, a prace budowlane już by trwały. Gdybym – hipotetycznie – od początku przyrzekł zatopić robota, wypadek w Denver stanowiłby idealną okazję.

W tym świetle to niedobrze, że tak wcześnie pokazaliby go publicznie, nie mówiąc już o odwożeniu z powrotem do Portoryko.

Hipotetycznie...

Nie. To akurat prawda. Niestety, chyba też ponoszę odpowiedzialność za to, że do projektu nieświadomie zatrudniono idiotów. Gdyby nie ich czysta głupota, do tej rozmowy nie doszłoby przez lata, dziesięciolecia.

No dobrze, więc jak to ma funkcjonować? Umawiamy się z Koreą Południową, Rosją i Emiratami i każdy przez trzy miesiące w roku używa robota do defilad? Przy takich partnerach nie mielibyśmy przeciwko komu go użyć.

Myślę, że równie dobrze teraz mogę przekazać pani złe wieści. Nie spodoba się pani to, co powiem.

I tak nie jestem szczególnie zachwycona.

Podzielicie się robotem nie z trzema krajami, ale ze stu dziewięćdziesięcioma dwoma.

Chce go pan oddać Organizacji Narodów Zjednoczonych?

Nie, wy chcecie.

Dlaczego miałabym tego chcieć?

Tak musi być, więc proszę znaleźć dobry powód. Jeżeli brakuje pani pomysłów, kilka zasugeruję, na przykład zachowanie pokoju na świecie. Ale to musi wyjść od was. Konsorcjum musi być absolutnie przekonane, że nigdy nie uwolnicie robota.

Teraz naprawdę nie będziemy mogli go użyć.

I tak nie mogliście. To powinno być już dla pani jasne. Ani wam, ani nikomu innemu nigdy nie wolno użyć robota przeciwko innemu człowiekowi. To oznacza, że nie unicestwicicie Watykanu, mimo że nie należy do ONZ. Zamiast jednak żałować wszystkich wojen, potencjalnie przez was wygranych, radzę modlić się do boga, w którego pani wierzy, i błagać go, żebyśmy nie musieli użyć tego robota, bo zapewne to oznaczałoby koniec wszystkiego.

Z drugiej strony myślę, że w rewanżu ONZ zgodzi się częściowo anulować wasz dług. Wisicie im sporo forsy. I tak, raz na jakiś czas będziecie mogli poparadować sobie robotem po ulicach, chociaż pewnie nie przez trzy miesiące na rok.

Kiedyś powiedziała mi pani, że to odkrycie na zawsze zmieni nasze postrzeganie samych siebie, sprawi, że mniej skupimy się na różnicach, a bardziej na tym, co nas łączy. Liczę na to, że mówiła pani szczerze, bo dzisiaj pani i prezydent macie okazję zrobić coś dobrego dla ludzkości, a nie coś, co – jak powiedział jakiś analityk w CIA – pomoże uspokoić sytuację na Bliskim Wschodzie albo obniżyć ceny ropy. Macie okazję zrobić coś niezaprzeczalnie dobrego, i to dla wszystkich. Proszę się zastanowić: jak często coś takiego się zdarza?

A jeżeli odmówię?

Głęboko szanuję zasadę wolności wyboru. W istocie większość moich działań ma na celu to, żeby ją zachować. Ale to nie jest ten moment. Proszę spokojnie rozważyć wszelkie aspekty przez kilka dni, zanim odpowie pani pozytywnie. Prosiłbym również o natychmiastowe zwolnienie panny Resnik i pana Couture'a z aresztu.

Pani prezydent nie wspominała nic o pilotach. Tych dwoje będzie musiało stanąć przed sądem.

Sądy to chyba jakaś pani obsesja. W takim razie proszę osądzić strażników. Jak również panią Papantoniou, jeżeli uda wam się ją złapać.

Mowa o tej psychopatce, którą zatrudnił pan jako kierowniczkę projektu, tej, która trzymała wszystkich pod kluczem, żeby

przeprowadzać szalone eksperymenty?

Tak, właśnie o tej. Byłbym niezmiernie wdzięczny, gdybyście zdołali szybko ją schwytać. Piloci jednak muszą wyjść na wolność.

Może nie mam takiej władzy, żeby pana aresztować, ale nie muszę robić wszystkiego, co pan powie.

To prawda. Proszę skonsultować się z panią prezydent i podjąć decyzję bez oglądania się na mnie. Wie pani, że prezydent będzie chciała obrócić to, co się wydarzy, na własną korzyść. Stany Zjednoczone oddają pozaziemskiego robota ludzkości, tworząc pierwszą ogólnoswiatową siłę zbrojną. Dar nadziei od prezydent Stanów Zjednoczonych dla całej planety. Wyobrażałbym sobie defiladę, pokaz sztucznych ogni oraz bardzo długie i inspirujące przemówienie. Na pewno łatwiej je napisać, gdy w więzieniu nie siedzą zasłużeni piloci, niesłusznie oskarżeni o zdradę. Defilada też robi lepsze wrażenie, jeśli nie będziecie musieli ciągnąć robota na lawecie.

...

Czy to już wszystko? Niedługo odlatuje mój samolot.

DOKUMENT NR 263

WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA

**Miejsce: garnizon armii amerykańskiej
Fort Buchanan, Portoryko**

Nie mogę uwierzyć, że Ryana przedstawiono jako bohatera. Typowe.

Jednak pomógł wam uciec.

Jasne. Zabrał mnie z tego samego stołu operacyjnego, do którego wcześniej – dwukrotnie – pomógł mnie przywiązać. To palant. Ale uwielbia wielkie gesty.

Nie przeczę, ma skłonność do dramatyzmu, ale powinna pani uwzględnić fakt, że nie działał wyłącznie dla własnego interesu.

Po prostu chciał się lepiej poczuć. Kiepsko sobie radzi z wyrzutami sumienia.

Pokuta to nie najgorsza motywacja. Wątpię, by zdawał sobie sprawę, na co się decyduje, gdy podpisywał kontrakt z panią Papantoniou.

Cóż, zajęło trochę czasu, zanim się połapał, w czym rzecz. Dlaczego ni stąd, ni zowąd go pan broni? To pan kazał wtrącić go do więzienia.

I znów go tam pošlę, gdy już mu podziękuję za to, że was uratował. Podkreślam tylko, że pan Mitchell nie jest z gruntu zły. Narazając życie, obezwładnił kilkunastu strażników, żeby was ocalić.

Nie całkiem zły... No dobrze, niech będzie. A co czeka tych strażników?

Zakładam, że nic. Byli legalnie zatrudnieni przez legalnie działającą firmę, a większość z nich nie zrobiła nic złego.

Alyssa?

Czy będzie ukarana za krzywdę, jaką pani wyrządziła?

Mnie? Tak. Mnie, Vincentowi. Każdemu.

Nie sądzę, żeby dosięgła jej sprawiedliwość. Tłumaczyłaby, że podejmowane przez nią działania były sankcjonowane – może nawet bezpośrednio zlecone – przez rządy państw uczestniczących w projekcie. Proces byłby co najmniej skomplikowany.

Więc po prostu puszczą ją wolno?

Nikt nie wie, gdzie ona jest. Musiała wcześniej opuścić bazę.

Dokąd mogła uciec?

Trudno zgadnąć. Marines szukali jej na lotnisku.

Nazwiska „Papantoniou” nie ma na liście pasażerów żadnego lotu tamtego dnia. Wyszunęli kilka hipotez. Najbardziej prawdopodobne, że poleciała czarterem na którąś z pobliskich wysp. Stamtąd na inną, i jeszcze jedną, zanim wsiadła do samolotu do Ameryki albo Europy.

Więc mamy o wszystkim zapomnieć? Nie jestem aż taka wspaniałomyślna.

Ja też nie. Dziś rano rozmawiałem z rządem Bośni i Hercegowiny. Przekazałem im pewne dowody. Może to wystarczy, żeby zażądali ekstradycji, gdy pani Papantoniou zostanie schwytana.

Dowody czego? I co ona ma wspólnego z Bośnią?

Tam się urodziła.

Papantoniou?

To nazwisko jej męża. Zachowała je po jego śmierci.

Co to za dowody?

W jej historii zatrudnienia jest trzynastomiesięczna luka. A jednak wydawała w tym czasie praktycznie tyle samo pieniędzy ile wcześniej.

Coś takiego. Dobre sobie: myśli pan, że jest przestępczynią, bo nie zmniejszyła wydatków, mimo że nie pracowała. Może miała oszczędności. Albo pomagali jej rodzice.

Oboje nie żyją. Co ważniejsze, ta trzynastomiesięczna luka nastąpiła w tym samym czasie co masakra w Srebrenicy.

W Srebrenicy?... Myśli pan, że ona jest tą lekarką, która torturowała tam więźniów? Która zmuszała muzułmanki do... nie... nie mogę...

Spokojnie.

Czy dlatego posłał mnie pan na Bałkany, żeby znaleźć Fatę?

Posłałem panią w poszukiwaniu ewentualnego świadka. Jak wspominałem, nie mam twardych dowodów. Papantoniou jest z zawodu lekarką. Wcześniej pracowała w szpitalu oddalonym zaledwie sto kilkadziesiąt kilometrów od Srebrenicy. I nie wiadomo, z czego żyła w czasie, gdy dokonywała się masakra.

Znalazłem wdzięcznego słuchacza w rządzie bośniackim. Postawienie przed sądem Rzeźniczki ze Srebrenicy oznaczałoby duże polityczne zwycięstwo, więc przyjrzą się sprawie bliżej. Wyślą prokuratora do wioski, gdzie znalazła pani Fatę, i pokażą jej parę zdjęć.

Jest pan pewien, że to Alyssa? Naprawdę pewien?

Jestem pewien na jakieś dziewięćdziesiąt osiem procent, że nie miała zupełnie nic wspólnego z tym, co się stało w Srebrenicy. Przyznaję szczerze, to całkiem naciągany scenariusz. Ale już nieraz się myliłem. Może rząd bośniacki zdoła przygotować przeciwko niej akt oskarżenia bez względu na to, czy dopuściła się tej konkretnej zbrodni.

Muszę pamiętać, żeby nigdy nie nastąpić panu na odcisk. Kiedy będziemy wiedzieli?

Powiedziałbym, że za jakieś dziesięć lat.

Dziesięć lat?! Tyle trwa pokazanie zdjęcia kobiecie w Bośni?
Czy tyle potrwa proces?

Nie wiem, jak szybko miały bośniackie młyny sprawiedliwości. Tak czy inaczej, proces nie rozpocznie się, dopóki nie nastąpi ekstradycja, a ekstradycja nie nastąpi, jeżeli Papantoniou będzie odsiadywać wyrok za inne przestępstwo.

Jakie inne przestępstwo? Zabiła Kennedy'ego? Co znowu zrobiła?

Jeszcze nic. Ale jeżeli wyląduje na jednym z głównych lotnisk, gdzie mam kontakty, znajdą przy niej parę kilogramów heroiny albo innego narkotyku. To powinno znacząco przedłużyć jej pobyt, gdziekolwiek akurat będzie. W oparciu o średnią wyroków za przemyt narkotyków szacowałbym, że o jakieś dziesięć lat.

Nie ma z panem żartów, co?

Lubię być dokładny.

Staram się nie myśleć o sobie, że jestem mściwa, ale...

Ale jest pani.

No właśnie. Więc dziękuję. Ona na to zasłużyła. I jak to się stało, że w ogóle zatrudnił pan tę heterę? Nie, niech pan nie odpowiada, nie chcę wiedzieć.

Odpowiedź jest bardzo prosta. Tylko jej jednej sam nie wybrałem. A ludzie pytają mnie, dlaczego nalegam, abym decydował o każdym detalu...

Więc możemy już jechać do domu?

To osobna kwestia, którą musimy omówić przed rozstaniem. Dotyczy osobiście pani i pana Couture'a.

Zacząć się bać?

Chciałaby pani przejść do historii?

Och. Co za kicz. Czy nie to robiliśmy przez cały czas?

W takim razie: czy chciałaby pani służyć w Korpusie Obrony Ziemi?

A co to takiego?

Zbrojne ramię Organizacji Narodów Zjednoczonych służące obronie planetarnej. To będzie pierwsza w historii siła militarna utrzymywana bezpośrednio przez ONZ.

Armia z żołnierzami z całego świata?

Na razie głównie ze Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Czyli tylko ja i Vincent...

Zgadza się. Wstępny plan zakłada stworzenie w ciągu dwóch lat ośrodka dowodzenia i badań. Potrzeba podstawowego zespołu. A potem tak, ma pani rację: personel przyjedzie z całego świata.

Czym będziemy się zajmowali?

Głównie badaniem możliwości robota, a na podstawie wyników rozwijaniem nowych technologii w kontekście obrony planetarnej.

Chodzi mi o to, czym Vincent i ja będziemy się zajmowali.

Zasadniczo obsługą defilad i pozowaniem do zdjęć. Chyba że Ziemia zostanie zaatakowana przez kosmitów, wtedy zapewne polegniecie szybką i bezsensowną śmiercią w starciu z przeważającymi siłami wysoce rozwiniętej cywilizacji.

W pana ustach wszystko brzmi tak ekscytująco. Jestem pod wrażeniem. A kto będzie kierował tym korpusem?

Nie wiem. Poruczono mi znalezienie odpowiedniej osoby. Obiecuję nie brać pod uwagę żadnych socjopatów. W tym momencie liczy się to, że projekt nie ruszy bez pani, a chciałbym móc zapewnić przedstawicieli ONZ, że mogą liczyć na pani współpracę.

Mam podjąć decyzję teraz?

To najlepszy moment.

...Jasne. Co mam powiedzieć? Że nie chcę kierować tym niesamowitym robotem? Wiem, że Vincent za nic nie przepuściłby takiej szansy. W każdym razie ja nie zamierzam go pozbawić tej frajdy.

Miło mi to słyszeć. Ale biorąc pod uwagę pani ostatnie przeżycia, uznałem, że muszę zapytać.

Mięczak. Gra pan twardziela, ale w środku jest delikatny.

Och, przypomniałem sobie o czymś: pani matka chciałaby się z panią zobaczyć.

Moja mama? Gdzie ona jest?

W Guantanamo.

No nie... Naprawdę? Zapuszkował ją pan, na wypadek gdybym odmówiła?

Chociaż nie jest rzeczą niewyobrażalną, że mógłbym szantażować panią losem bliskich, to jednak proszę przyjąć do wiadomości, że nigdy nie kazałbym uwięzić pani mamy. Przecież tak naprawdę mięczak ze mnie. Jest w bazie Guantanamo, nie w więzieniu. Jej samolot wiozł kilku wojskowych i miał tam międzylądowanie. Powinna być tu za godzinę. Możecie razem odlecieć do Stanów.

Dupek z pana. Vincent uprzedzał, że coś takiego pan wywinie.

Jak się miewa pan Couture? Nie miałem okazji jeszcze się z nim spotkać.

Czuje się dobrze. A nawet świetnie. Uwielbia być bohaterem. To trochę przerażające.

Ale co w tym złego?

Nie wiem. Wciąż się na niego gniewam.

Czym sobie zasłużył na pani gniew? Ostatnio zachowywał się, jak pani słusznie zauważyła, całkiem heroicznie.

No właśnie. Jak mógł być taki głupi, żeby po mnie wrócić?

Myśli pani, że miał jakiś ukryty powód?

Nie, po prostu mu na mnie zależało. O to właśnie chodzi. Wie pan, że niełatwo ufam ludziom.

A czy jest jeszcze ktoś, kto o tym nie wie?

Cóż, jakże teraz miałabym mu nie ufać? Zdaje pan sobie sprawę, czym to się skończy, prawda? Spuszczę gardę, zacznę mówić głupoty, których potem będę się wstydzić, zamienię się w piętnastolatkę. W którymś momencie Vincent poprosi mnie o rękę, a ja będę zbyt oszołomiona, żeby się wywinąć.

Pan Couture nie wygląda mi na typ mężczyzny, który się oświadcza.

Tak? No to coś panu powiem: szuka odpowiedniego pierścionka, hm?

...

Też mnie zatkało, kiedy się dowiedziałam. Cóż, staram się zachowywać zimną krew. Udaję niepewną swoich uczuć. Jak dotąd skutecznie, bo na razie siedzi cicho.

Może za maską twardzielki kryje się mała dziewczynka, która desperacko pragnie, by oświadczył jej się księżę z bajki.

Oczywiście, że tak. Tyle że na razie udawało mi się ją trzymać w ryzach, żeby za bardzo się nie wychylała.

Która z was odpowie, gdy pan Couture wreszcie się odważy?

Bardzo śmieszne. Nie odważy się nigdy. Będę dla niego taka oschła przez następne czterdzieści lat, że idealny moment po prostu nie nadejdzie.

Widzę, że jednak ma pani tę małą pod kontrolą. Do widzenia, panno Resnik.

EPILOG

DOKUMENT NR 360

WYWIAD NN

Miejsce: ambasada Stanów Zjednoczonych, Dublin, Irlandia

Jak się pani czuje? Potrzebuje pani opieki lekarskiej?

Czuję się dobrze. Dziękuję.

Czy mogę zrobić coś, żeby poczuła się pani bardziej komfortowo? Porządnie pani przemarzła.

Nie, naprawdę nic mi nie jest. Pozwolono mi wziąć prysznic i dostałam ciepłe rzeczy. Dziękuję panu.

Wie pani, kim jestem?

Nie, przykro mi. Nie znam nikogo w Irlandii.

Co pani tu robi?

Zostałam porwana! Powtarzam to już chyba z dziesiąty raz. Nie wiem, jak trafiłam do Europy. Kierowca ciężarówki znalazł mnie dzisiaj przy szosie – naga, na miłość boską.

Czyli twierdzi pani, że została porwana. Jak to się

stało?

Wracałam po pracy do domu. Samochód przede mną nagle zahamował i dość mocno się z nim zderzyłam. Ktoś wyciągnął mnie z auta. Potem chyba straciłam przytomność.

„Do domu” to znaczy gdzie?

Jestem Amerykanką. Mieszkam w Chicago.

Zemdlała pani i ocknęła się na poboczu drogi pod Dublinem.

Tak... ja... Tak, zgadza się.

O co chodzi?

Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że w pewnym momencie na krótko odzyskałam świadomość. Nic nie widziałam, ale słyszałam głosy.

Ile ich było?

Cztery albo pięć. Głowy nie dam. Nie wiem nawet, czy mi się to nie śniło.

Co mówiły?

Nie mam pojęcia. Nawet nie kojarzę, jaki to był język. Przypominał... no nie wiem. Może szwedzki, może lakota^[12] z niemieckim akcentem. Naprawdę trudno mi powiedzieć. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie słyszałam.

Skąd pani wie, jak brzmi język lakota?

W gruncie rzeczy nie wiem. *Tańczący z Wilkami*? To jedyny

język rdzennych Amerykanów, jaki przychodzi mi do głowy. Urodziłam się w Dakocie Południowej. W okolicy jest parę rezerwatów. Cały tamten teren należał kiedyś do Lakotów.

Nie ma pani dokumentów, żadnego dowodu tożsamości. Czy to się zgadza?

Już mówiłam. Byłam zupełnie naga, gdy odzyskałam przytomność. Pojęcia nie mam, co się stało z moją torebką.

Powinna pani wiedzieć, że lekarze, którzy panią badali, nie stwierdzili śladów gwałtu.

Uff, dziękuję.

Czy jest coś, co pomogłoby nam potwierdzić pani tożsamość?

Nie, nie w Irlandii. Ale chwilowy brak dokumentów to chyba nie zbrodnia, co? Jeżeli odstawicie mnie do kraju, będziecie mogli porozmawiać z moimi przyjaciółmi, współpracownikami.

Chciałbym pokazać pani kilka zdjęć.

Proszę bardzo.

Rozpoznaje pani tę kobietę?

Nie, pierwsze widzę. Ładna.

A tego mężczyznę?

Jego też nie znam. Kto to?

Pewien lingwista z Kanady.

Lingwista...? Myśli pan, że to ci dwoje mnie porwali?

Nie. A wręcz jestem pewny, że to nie oni.

To po co pokazuje mi pan te zdjęcia?

Chciałem się przekonać, czy ich pani rozpozna?

A powinnam? Na pewno nie cierpię na amnezję. Poza kilkoma godzinami, kiedy byłem nieprzytomna, wszystko doskonale pamiętam.

Przepraszam, zadam pani bardziej osobiste pytanie, zgoda? Ile ma pani lat?

Dwadzieścia siedem.

Czy dla porządku może pani jeszcze raz się przedstawić?

Nazywam się Rose Franklin. Pracuję na Uniwersytecie Chicagowskim.

Pani profil DNA jest istotnie zgodny z profilem doktor Franklin.

Wydaje się pan zaskoczony. Wiem, kim jestem. Mogę już jechać do domu? Mój kot od wczoraj nie jadł.

...Pani Franklin, z tego co się orientuję, to było ponad cztery lata temu.

Co takiego? To bez sensu. Zostałam porwana. Nie zapadłam w śpiączkę. Nie przespałam czterech lat.

Wierzę pani. Co ciekawe, nie istnieje naukowa metoda

określenia ludzkiego wieku. Jednak wyniki badania lekarskiego i rentgen uzębienia sugerują, że istotnie ma pani dwadzieścia siedem lat.

Jasne, przecież mówiłam.

Tyle że brakuje pani świeżych blizn i śladów leczenia dentystycznego, jakie doktor Franklin przeszła w późniejszym wieku.

Ja... nie rozumiem.

Doktor Franklin miałaby dzisiaj trzydzieści jeden lat.

„Miałaby”? Proszę jaśniej, dobrze?

Zapraszam ze mną, musimy omówić wiele spraw...

PODZIĘKOWANIA (W ODWROTNYM PORZĄDKU CHRONOLOGICZNYM)

Składałam wielkie jak robot gigant podziękowania swojemu redaktorowi Markowi Tavaniemu i wszystkim w wydawnictwie Del Rey. Dziękuję ci, Mark, za to, że dałeś tej książce dom, za twój entuzjazm i rady, i za to, że zniosłeś moje uzależnienie od średników. Dziękuję Sethowi Fishmanowi, mojemu uskrzydlonemu agentowi; a także Rebecce Gardner i Willowi Robertsowi z firmy The Gernert Co. Seth, rządzisz. Dzięki tobie nie muszę być wydawcą.

Nie pisałbym tego wszystkiego, gdyby nie mój agent filmowy Jon Cassir z CAA (nie mógłbym również używać takich określeń jak „mój agent filmowy”). Dziękuję ci, Jon. Następny w kolejce jest Josh Bratman. Josh, ty wiesz najlepiej, co dla mnie zrobiłeś. Dziękuję, że odmieniłeś moje życie.

Bardzo dziękuję swoim betacytelnikom, zwłaszcza Toby’emu i Andrew. Prawdziwe z was alfy. Dziękuję ci, Barbaro, że pozwoliłaś mi ignorować się przez kilka godzin co wieczór, chociaż podejrzewam, że w gruncie rzeczy cieszyłaś się, że masz więcej czasu na czytanie.

Dziękuję ci, Teodorze. Zadałeś mi tyle pytań, kiedy obiecałem zbudować ci robota zabawkę, że musiałem napisać o tym książkę. Dziękuję ci, Jean, że zaszczepiłaś mi miłość do języka. Dziękuję ci, Thérèse, za to, że dałaś mi odwagę, by w ogóle podjąć próbę.

- [1] Teodorowi. Teraz będziemy mogli się uczyć czytania i... angielskiego (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza i redakcji).
- [2] National Security Agency (NSA) – amerykańska wewnętrzna agencja wywiadowcza.
- [3] Harran – stanowisko archeologiczne na terenie starożytnego tureckiego miasta. Dawniej Harran był ważnym ośrodkiem handlowym i głównym miastem boga Sina. Miasto utrzymywało swoje znaczenie aż do czasów zmierzchu kultury islamskiej; pod koniec XIX wieku pozostały już tylko ruiny.
- [4] Neutrino – włoskie zdrobnienie słowa „neutron”. Nazwa została zaproponowana przez włoskiego fizyka Enrica Fermiego.
- [5] MARDS – mobilny system wykrywania argonu.
- [6] Cheyenne Mountain Air Station – stanowisko dowodzenia Armii Stanów Zjednoczonych NORAD, znajdujące się wewnątrz góry w Kolorado.
- [7] W. Shakespeare, *Romeo i Julia*, akt II, scena II, tłum. Adam Mickiewicz.
- [8] Telefon podwodny, zwany również UQC, wprowadzony do użytku przez marynarkę wojenną USA w 1945 roku.
- [9] „Deepsea Challenger” – batyskaf w tajemnicy zaprojektowany i zbudowany po to, by osiągnąć dno Głębi Challenger (największą głębokość na Ziemi).
- [10] Defense Advanced Research Projects Agency – DARPA (Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności) – amerykańska agencja rządowa zajmująca się rozwojem technologii wojskowej.
- [11] Tłumaczenie: Biblia Tysiąclecia.
- [12] Język używany przez Dakotów Teton – Indian żyjących głównie w północnych stanach USA, na granicy z Kanadą.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz

Spis treści

Strona tytułowa	2
Strona redakcyjna	3
Dedykacja	4
Spis treści	5
PROLOG	10
CZĘŚĆ PIERWSZA CZĘŚCI CIAŁA	12
DOKUMENT NR 3 WYWIAD DR ROSE FRANKLIN, STARSZY PRACOWNIK NAUKOWY, INSTYTUT ENRICO FERMIEGO	13
DOKUMENT NR 4 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	25
DOKUMENT NR 7 WYWIAD DR ROSE FRANKLIN, STARSZY PRACOWNIK NAUKOWY, INSTYTUT ENRICA FERMIEGO	34
DOKUMENT NR 9 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	42
DOKUMENT NR 17 WYWIAD CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA	53
DOKUMENT NR 31 DZIENNIK OSOBISTY STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	62
DOKUMENT NR 33 ARTYKUŁ PRASOWY REPORTERKA CATHERINE MCCORMACK, „THE ARIZONA REPUBLIC”	68
DOKUMENT NR 34 WYWIAD ROBERT	

WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA STANÓW ZJEDNOCZONYCH DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO	70
CZĘŚĆ DRUGA POŁAMANIA NÓG	79
DOKUMENT NR 37 WYWIAD DR ROSE FRANKLIN	80
DOKUMENT NR 39 ZAPIS GŁOSOWY Z EKSPERYMENTU STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	88
DOKUMENT NR 41 DZIENNIK OSOBISTY DR ROSE FRANKLIN	91
DOKUMENT NR 42 ZAPIS GŁOSOWY Z EKSPERYMENTU STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	96
DOKUMENT NR 47 WYWIAD VINCENT COUTURE, STUDENT OSTATNIEGO ROKU	100
DOKUMENT NR 92 WYWIAD CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA	108
DOKUMENT NR 93 RAPORT Z MISJI – OPERACJA „SPRZĄTANIE ŚWIATA” STARSZY SIERŻANT DYLAN RODRIGUEZ, SPECJALISTA DS. TRANSPORTU, ARMIA USA	115
DOKUMENT NR 94 WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO	117
DOKUMENT NR 118 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	125
CZĘŚĆ TRZECIA ŁOWCY GŁÓW	132

DOKUMENT NR 120 WYWIAD VINCENT COUTURE, STARSZY DORADCA DS. WYWIADOWCZYCH	133
DOKUMENT NR 121 WYWIAD DR PAVEL HAAS, ORDYNATOR ODDZIAŁU CHIRURGII	141
DOKUMENT NR 126 WYWIAD DR ALYSSA PAPANTONIOU, GENETYK	149
DOKUMENT NR 129 WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO	153
DOKUMENT NR 141 WYWIAD DOKTOR ROSE FRANKLIN	161
DOKUMENT NR 143 WYWIAD KAPITAN DEMETRIUS ROOKE, MARYNARKA USA	169
DOKUMENT NR 161 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	177
DOKUMENT NR 182 DZIENNIK OSOBISTY DR ROSE FRANKLIN	185
DOKUMENT NR 188 RAPORT WSTĘPNY – ZAGINIĘCIE LOTU ICELANDAIR 670	191
DOKUMENT NR 189 WYWIAD VINCENT COUTURE, STARSZY DORADCA DS. WYWIADOWCZYCH	193
CZĘŚĆ CZWARTA MOCNY CIOS	201
DOKUMENT NR 211 WYWIAD ROBERT WOODHULL, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO	202

DOKUMENT NR 229 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	212
DOKUMENT NR 230 WYWIAD NN	222
DOKUMENT NR 233 WYWIAD INES TABIB, ASYSTENTKA PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO	231
DOKUMENT NR 237 WYWIAD VINCENT COUTURE, BEZROBOTNY	238
DOKUMENT NR 239 WYWIAD ALYSSA PAPANTONIOU, PREZES, FIRMA NR 462753, ZAREJESTROWANA NA BRYTYJSKICH WYSPACH DZIEWICZYCH	245
DOKUMENT NR 249 WYWIAD VINCENT COUTURE, KONSULTANT, FIRMA NR 462753, ZAREJESTROWANA NA BRYTYJSKICH WYSPACH DZIEWICZYCH	253
DOKUMENT NR 250 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	262
CZEŚĆ PIĄTA ZBROJNE RAMIĘ	271
DOKUMENT NR 251 POŁĄCZENIE GŁOSOWE – TRANSKRYPT STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	272
DOKUMENT NR 252 WYWIAD ALYSSA PAPANTONIOU, PREZES I KIEROWNIK NAUKOWY, KONSORCJUM GAJA	280
DOKUMENT NR 253 OBSERWACJA SATELITARNA – TRANSKRYPT SATELITA	289

SZPIEGOWSKI KH-9 („Big Bird”)	
DOKUMENT NR 254 WYWIAD VINCENT COUTURE, KONSULTANT, KONSORCJUM GAJA	291
DOKUMENT NR 255 WYWIAD PAN BURNS, ZAWÓD NIEZNANY	300
DOKUMENT NR 256 POŁĄCZENIE GŁOSOWE – TRANSKRYPT STARSZY CHORAŻY RYAN MITCHELL, ARMIA USA	308
DOKUMENT NR 257 WYWIAD INES TABIB, ASYSTENT PREZYDENTA DO SPRAW BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO	318
DOKUMENT NR 263 WYWIAD STARSZY CHORAŻY KARA RESNIK, ARMIA USA	327
EPILOG	336
DOKUMENT NR 360 WYWIAD NN	337
PODZIĘKOWANIA (W ODWROTNYM PORZĄDKU CHRONOLOGICZNYM)	342
Przypisy	343
Wydawca	344